

KIM HYON HUI

ŁZY MOJEJ DUSZY

SKOŃCZONA, BY ZABIJAĆ - ZABIŁA
CHCIAŁA ŚMIRZEĆ - PRZEŻYŁA
ZOSTAŁA SKAZANA NA ŚMIERĆ
TRAGICZNA HISTORIA LOTU 858

Kim Hyon Hui

Łzy mojej duszy

Przełożyła Marta Bręgiel-Benedyk

Książka ta dedykowana jest rodzinom ofiar lotu 858.
Całość honorariów należnych autorce z tytułu praw do książki zostanie przekazana właśnie im.

PROLOG

26 kwietnia 1989 roku. Seul, Korea Południowa

Siedziałam w szarej, ponurej poczekalni dla podsądnych i ze ściśniętym gardłem czekałam na wyrok. Na zewnątrz, w holu wiodącym do sali rozpraw, wściekły tłum napierał na drzwi i przez chwilę bałam się, że zawiasy nie wytrzymają. Z gardeł ludzi dobywał się okropny ryk. Wydawało się, że cały budynek trzęsie się od wyzwisk.

Morderczyni, morderczyni, morderczyni...

Kurczowo zaciskałam pięści, drżałam na całym ciele. Krzyczeli o mnie. Nie. Krzyczeli na mnie.

Słuchając ich wrzasków, przypomniałam sobie procesy zdrajców, które odbywały się w Sądzie Ludowym zaraz po wyzwoleniu Korei spod władzy Japonii. [Japonia okupowała Koreę przez trzydzieści pięć lat, od 22 sierpnia 1910 roku do 15 sierpnia 1945 roku (wszystkie przypisy pochodzą od redaktora merytorycznego).] Uczyliśmy się o nich w szkole. Teraz sama odczułam, jak przerażeni musieli być oskarżeni. Choć w pokoju znajdowały się także inne osoby – lekarz, pielęgniarz i trzech agenci specjalni, którzy właściwie mieszkali ze mną przez ostatni rok – nigdy nie czułam się bardziej osamotniona. Nieważne, jak bliscy byli dla mnie ci ludzie – to ja miałam zostać skazana, nie oni. Jakże zazdrościłam im w tamtej chwili niewinności i przyszłości! Serce ścisnął mi przejmujący żal.

Próbowałam przypomnieć sobie pokrzepiające wer-
sety z Biblii, które wcześniej zapisał mi pastor, ale oto
drzwi się otworzyły i do środka weszło czterech policjan-
tów w wykrochmalonych mundurach i ze lśniącymi od-
znakami, by odprowadzić mnie do sali rozpraw. Otoczyli
mnie opiekuńczym kręgiem i w ten sposób torowali drogę
przez rozwścieczony, kotłujący się tłum i dalej, do środka.
Wśród zgromadzonych wybuchł wrzask. Oto po raz
pierwszy pojawiłam się przed publicznością, której zaka-
zywano dotąd udziału w procesie, ale teraz pozwolono być
świadkiem ogłoszenia wyroku. Ludzie wykrzykiwali
obelgi i przekleństwa niczym zajadłe bestie. Gdyby im
tylko pozwolono, chętnie rozdarliby mnie na strzępy.

– Jebana suka – syknęła w moją stronę stara kobieta. –
Zabiłaś mi jedyne go syna. I kto się mną teraz zajmie?

Wydawało mi się, że droga do boksu dla podsądnych
trwa całą wieczność. A kiedy wreszcie mogłam usiąść, nie
byłam w stanie panować nad sobą ani chwili dłużej. Serce
waliło mi jak oszalałe, całe moje ciało dygotało niekon-
trolowanie. Płakałam i w kółko powtarzałam sama do sie-
bie tylko jedno słowo: mama.

Jakikolwiek los przewidziała dla mnie matka, czegoś
takiego zapewne nigdy sobie nie wyobrażała. Wychowy-
wała mnie z niezmierną dobrocią i całkowitym oddaniem
i jedyne, co w tamtej chwili myślałam, to że całkowicie ją
zawiodłam. Przypomniałam sobie, jak się nade mną trzę-
sła, jak ubierała mnie w szkolne mundurki i jak przyozda-
biała je lamówkami własnej roboty. Gdyby mnie teraz

zobaczyła, pękłoby jej serce. Ale było coś jeszcze gorszego. Zawiodłam nie tylko ja, ale także swój kraj. Wyznanie prawdy władzom Korei Południowej musiało być w oczach rządu największą możliwą zdradą. Z powodu mojej porażki i hańby moi krewni zostaną niemal na pewno wywiezieni i zamknięci w jakimś potwornym obozie pracy niewolniczej, skąd prawdopodobnie nigdy już nie wyjdą. [W Korei Północnej praktykuje się zasadę odpowiedzialności zbiorowej. Kiedy jedna osoba popełni przestępstwo, nie tylko ona ponosi za nie odpowiedzialność, ale również cała jej rodzina.] Zrujnowałam nie tylko swoje, ale – nieodwołalnie – również ich życie.

Monotonne postępowanie sądowe rozpoczęło się, ale nie mogłam skupić na nim uwagi. Wydawało się z góry przesądzone, że zasądzona zostanie kara śmierci. Spowodowałam katastrofę samolotu Korean Air 858, byłam odpowiedzialna za śmierć stu piętnastu osób. Co dziwne jednak, cała potworność tego czynu uderzyła mnie dopiero tu, w tej pełnej emocji sali. To ja ukryłam bombę na pokładzie samolotu, ale nie widziałam ani wybuchu, ani miejsca katastrofy i do tej chwili miałam dziwne poczucie, że nie mam z tą zbrodnią wiele wspólnego, tak jakby to się wcale nie zdarzyło albo tak naprawdę nie było moją winą. Ale teraz, stojąc twarzą w twarz ze zrozpaczonymi rodzinami ofiar, poczułam wreszcie gdzieś głęboko, jak bezsprzecznie straszliwy czyn popełniłam. Nie mogłam się zdobyć na to, by spojrzeć na zgromadzonych. Każdy z nich przedstawiał życie, które zniszczyłam. Byłam zbyt słaba, brakowało mi odwagi.

Największą udrękę odczuwałam z powodu kilku starych kobiet, które wciąż jeszcze kurczowo trzymały się nadziei, że całe zdarzenie jest tylko wymysłem, a ich bliscy zostali gdzieś ukryci przez południowokoreańskie władze i nadal żyją.

Płakałam coraz rozpaczliwiej. Chciałam wyciągnąć do nich ręce, objąć ich wszystkich i powiedzieć, jak szczerze żałuję swego czynu.

Kiedy jakieś dwa lata wcześniej rozpoczynałam swoją misję, powiedziano mi, że wyświadczam swojemu krajowi największą możliwą przysługę. Wierzyłam ślepo, że nasz Wielki Przywódca Kim Ir Sen jest wybawcą Korei Północnej. Teraz jednak wiedziałam, jak nieprawdopodobnie byłam naiwna. Nie doprowadziłam do zjednoczenia Korei, na co liczyli tajni agenci Kima. Nie zostałam bohaterką narodową, jak obiecywali. W rzeczywistości nie byłam już nawet człowiekiem. Byłam bezwartościowym, zasługującym na pogardę potworem.

Nagle zdałam sobie sprawę, że trzymam w dłoni zapisane przez pastora wersety. Nie mogłam odczytać ich przez łzy, ale wciąż pamiętałam ich treść:

Nie lękaj się, bo Ja jestem z tobą;
nie trwóż się, bom Ja twoim Bogiem.
Umacniam cię jeszcze i wspomagam,
podtrzymuję cię moją prawicą sprawiedliwą.

Wypowiedzenie tych słów nie przyniosło mi ulgi. Nie

wierzyłam, że jakikolwiek Bóg, nawet najbardziej miłośniwy, mógłby przebaczyć mi to, co zrobiłam.

Podczas długich miesięcy internowania jedyną pociechą była dla mnie myśl, że już niedługo wolno mi będzie umrzeć. Raz już oszukałam śmierć: kiedy mój współspiskowiec Kim Seung Il i ja zostaliśmy aresztowani na lotnisku w Bahrajnie, zgodnie z rozkazem próbowaliśmy popełnić samobójstwo, rozgryzając kapsułki z cyjankiem ukryte w papierosach. Pan Kim miał więcej szczęścia i umarł natychmiast, gdy tymczasem mnie wskrzeszono, przywrócono do życia, bym cierpiała, miesiąc za miesiącem, ból i winę za popełnioną zbrodnię i za żalobę, której byłam przyczyną. Wydawało mi się nawet właściwe, że ja, młodsza agentka, będę żyła nieco dłużej, by cierpieć.

Niespodziewanie kazano mi wstać i zdałam sobie sprawę, że wreszcie zostanę skazana. Sędzia zapytał, czy mam cokolwiek do powiedzenia, zanim odczyta wyrok. Spróbowałam zapanować nad sobą i wreszcie udało mi się wyjąkać niepewnie:

– Zdałam sobie wreszcie sprawę z ciężaru mojej zbrodni. Jestem wdzięczna za to, że dano mi szansę powiedzieć i poznać prawdę. Szczerze nienawidzę Kim Ir Sena i wiem, że wszelkie moje przeprosiny wobec rodzin ofiar są całkowicie niewystarczające. – Przerwałam, próbując zebrać się na odwagę, by poprosić o łaskę. Mimo że wiedziałam, iż zasługuję na śmierć, i miesiącami myśl o niej była mi miła, teraz, gdy stawała się coraz bliższa, coraz bardziej realna, drżałam ze strachu. Ale nie byłam

w stanie wydusić z siebie ani słowa więcej. Przełykałam ślinę i milczałam, próbując wytłumaczyć sobie, że pozostanie przy życiu byłoby gorsze od śmierci, że błaganie o litość byłoby małostkowe i haniebne. Lecz mimo to jakiś wewnętrzny instynkt wciąż mieszał mi w głowie, próbując zmusić do mówienia. Nagle wydało mi się, że coś jeszcze muszę zrobić, wykonać jakieś zadanie czy odbyć pokutę. Musiałam przeżyć, musiałam...

Ale sędzia już brnął dalej, interpretując moje milczenie jako ostateczne, i oto usłyszałam te słowa:

– Otrzymałszy rozkaz od Kim Dzong Ila, syna Kim Ir Sena, by zniszczyć przy użyciu bomby samolot Korean Air 858, i wykonawszy niniejszy rozkaz, zabijając w ten sposób sto piętnaście niewinnych osób... By wyrazić nasze najwyższe pragnienie zapobieżenia tego rodzaju aktom, sąd nakłada najwyższą karę. Niniejszym zasądza się karę śmierci.

Tłum wybuchł donośnym rykiem. I choć była to kara, której się spodziewałam, byłam teraz jak zamroczona, w żołądku czułam słabość. Krew zmroziła mi się w żyłach i na chwilę zastygłam, a do oczu znów napłynęły łzy. Żegnajcie, matko i ojczy, siostrzy Hyon Ok i bracie Hyon Su. Jestem dla was stracona.

Wyprowadzono mnie z sali rozpraw tak roztrzęsioną, że na szczęście nie byłam świadoma obelg, które za mną ciskano. W więziennym samochodzie z całego serca pragnęłam choć raz przed śmiercią zobaczyć moją rodzinę, choć dobrze wiedziałam, że taka nadzieja jest daremna.

Myślałam o moim psotnym bracie i ślicznej siostrze i modliłam się, by lepiej na siebie uważali i nie skończyli tak jak ja. I raz jeszcze wyobraziłam sobie, jak bezlitosne będą dla nich władze Korei Północnej. Mimo że moi krewni nie mieli najmniejszego pojęcia o mojej misji (w rzeczywistości nigdy nie dowiedzieli się nawet, że zostałam szpiegiem), także i im przyjdzie zapłacić potworną cenę za moje wyznanie, za moją zdradę ojczyzny.

Cierpiałam katusze. Teraz mogłam już jedynie zacząć odliczać. Tak, zacząć odliczać dni do chwili, gdy mnie zabiją.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kiedy myślę o tysiącach dzieci rodzących się każdego roku w Korei Północnej i wracam myślą do tych wszystkich, które przyszły na świat w ciągu ostatnich czterdziestu lat, czyli odkąd Korea uwolniła się od rządów Japonii, czuję wzburzenie. Każde z nich było i będzie uczone dokładnie tych samych rzeczy co ja i wierzyć będzie w te same kłamstwa. Jakież to okropne marnotrawstwo ludzkiego życia! Może jednak chociaż trochę wyjaśnia to, dlaczego zrobiłam to, co zrobiłam.

Przyszłam na świat 27 stycznia 1962 roku. Ponieważ byłam pierworodnym dzieckiem, wszyscy, a szczególnie moi dziadkowie, mieli nadzieję, że urodzi się chłopiec. Oczywiście kiedy na świat wychynęłam ja, poczuli się rozczarowani.

Stało się to w domu dziadków ze strony matki, w Kaesong. Mój ojciec wyjechał, więc dziadkowie pomagali się mną opiekować. Wkrótce rozczarowanie minęło. Matka twierdziła później, że pokochali mnie od pierwszej chwili i traktowali jak najdroższą lalkę.

Ojciec miał dobrą pracę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, o której reszta rodziny wiedziała niewiele. Kiedy wrócił z zagranicznej misji i ujrzał mnie po raz pierwszy, odniósł się do mnie z takim samym szacunkiem i życzliwością, co dziadkowie, i pozostał taki aż do czasu, gdy cztery lata temu widzieliśmy się po raz ostatni.

Według południowokoreańskich standardów trudno by nas było zaliczyć nawet do klasy średniej, ale w Korei Północnej należeliśmy do grupy uprzywilejowanej. Luksem było na przykład mieć w domu olej i móc zawsze usmażyć jedzenie. Znacznie później dowiedziałam się, że na Południu olej był czymś zupełnie normalnym i że każdy mógł smażyć, ile chciał.

Mieszkaliśmy w stolicy Korei Północnej, Pjongjangu, w małym mieszkaniu, które ku naszej radości należało tylko do nas. Większość ludzi, którzy, jak mój ojciec, stanowili elitę władzy, otrzymywało własne domy, gdy tymczasem klasa pracująca zajmowała wspólne mieszkania. Często aż dziesięć rodzin musiało korzystać ze wspólnej łazienki.

Kiedy miałam mniej więcej rok, ojciec otrzymał posadę na Kubie i w ten sposób przez kolejne kilka lat mieszkałam w pobliżu ambasady Korei Północnej w Hawanie. Fidel Castro dopiero co został prezydentem i choć klimat polityczny na wyspie wciąż był nieco niestabilny, to jednak kraj prosperował o niebo lepiej niż Korea Północna. Wraz z innymi rodzinami pracowników ambasady zamieszkiwaliśmy ogromną rezydencję, która przed rewolucją należała do jakiejś burżuazyjnej rodziny. Dom ogołociono i przerobiono, bo dawniej znajdowało się w nim mnóstwo rzeźbień i wytwornych ozdób, takich jak kryształowe żyrandole i złoczone meble. Usunięto je, by oczyścić dom z atrybutów burżuazji.

W tamtych czasach na Kubie panowała znacznie

większa wolność niż w Korei Północnej. Uważaliśmy się przy tym za dość dobrze sytuowanych. Matka twierdziła później, że lata spędzone na Kubie były najszcześniejszym okresem jej życia. Uwielbiała robić zakupy w supermarketach, gdzie znaleźć można było zdumiewającą dla nas różnorodność jedzenia. W swojej nieświadomości sądziłam, że wszystkie dzieci na świecie żyją w taki sposób.

Codziennie w południe w naszej okolicy pojawiał się samochód sprzedawcy lodów, a ja biegłam za nim z kilkoma monetami w dłoni, krzycząc: „*Heladero! Heladero!*” (Lodziarz! Lodziarz!). Miałam w tym okresie obsesję na punkcie czekolady i mama przezywała mnie Czekoladowym Generałem.

Często bywaliśmy na dyplomatycznych kolacjach i bardzo ciekawili mnie ciemnoi jasnoskórzy cudzoziemcy. Największe wrażenie robili na mnie goście o blond włosach, którzy wydawali się tak bardzo obcy i egzotyczni! Ja z kolei byłam uwielbiana przez pracujące w sekretariacie ambasady Kubanki, które nieustannie mnie przytulały i brały na kolana.

Na pierwszym piętrze naszej rezydencji stał fortepian i mama codziennie udzielała mi lekcji gry. Sama nauczyła się grać w dzieciństwie i była naprawdę utalentowana. Po powrocie do Korei Północnej zrozumiałam, że dla zwyczajnej rodziny posiadanie fortepianu było rzeczą absolutnie nie do pomyślenia. Jedynie ktoś, komu pozwolono się szkolić, by zostać zawodowym muzykiem, mógł o tym

marzyć.

Dni spędzone na Kubie zlewają się w mojej pamięci w całość jak piękny sen. Często bawiłam się z innymi dziećmi, z których najbardziej zapadł mi w pamięć syn ówczesnego ambasadora Kim Jae Bong. Miał w zwyczaju bić mnie, ot, dla własnej przyjemności, i wciąż znęcał się nade mną z jakiegoś powodu. Zniszczył mi dmuchaną tratwę, ukochany urodzinowy prezent, przebijając ją pałeczkami. Kiedy starałam się go unikać, stał pod naszym domem i wrzeszczał: „Hyon Hui, chodź się bawić!”. Był jak kot; piszczał tak długo, aż wreszcie dawałam za wygraną i wychodziłam na zewnątrz.

Co ciekawe, po wielu latach, kiedy byłam już w szkole średniej, spotkałam go w Korei Północnej. Mijaliśmy się na ulicy i zanim zdążyłam zareagować, spojrzał na mnie z zakłopotaniem i odszedł. Wiedziałam, że mnie rozpoznał, i nawet ucieszyło mnie, że pamiętał, jakim był utraconiem.

Jednym z moich najmiłszych wspomnień z tego okresu jest dzień, w którym zastałam otwarte drzwi na dach. Zawołałam moją młodszą siostrę Hyon Ok i jeszcze kilkoro dzieci i poszliśmy się tam bawić. Godzinami siedzieliśmy na skraju dachu, machając nogami i spoglądając w przestrzeń ponad dachami domów. Wreszcie jakiś Ku-bańczyk pracujący w budynku zauważył nas i zawiadomił naszych rodziców, a oni przybiegli bladzi ze strachu, by zagonić nas na powrót w bezpieczne miejsce.

Już w tych beztróskich latach wpajano nam nauki Kim

Ir Sena. Pierwszymi słowami, jakich nas uczono, były: „Dziękujemy ci, Kim Ir Senie, nasz Wielki Przywódco”. Uczono nas odczuwać nienawiść na dźwięk słowa „Ameryka”, tak że nawet małe dzieci miały głęboko zakorzeniony antyamerykanizm. W Korei Północnej o Ameryce mówi się jako o „odwiecznym wrogu, z którym nie możemy nigdy żyć pod tym samym niebem”. W czasie naszego pobytu na Kubie ojciec wspominał o „nieuchronnym ataku jankeskich imperialistów”, a raz, kiedy byliśmy na plaży (która początkowo wydała mi się magicznym światem z wodą i piaskiem po horyzont), wskazał na ledwie majaczący w oddali ląd i powiedział: „To jest Ameryka, Hyon Hui, najgorsze miejsce na świecie”. Po tych przerażających słowach zaczęłam się obawiać, że moja dmuchana tratwa może zostać zniesiona w tamtą stronę. Bałam się też pustych butelek i puszek wyrzucanych na brzeg, o których mówiono, że przyplłyły z Ameryki. W końcu bałam się w ogóle przychodzić na plażę.

Mieszkaliśmy na Kubie przez pięć lat, zanim ojca wezwano na powrót do Pjongjangu. W tym czasie na świat przyszedł mój brat Hyon Su. Przed wyjazdem mama zabrała mnie do fryzjera, żeby zrobić mi trwałą ondulację, mówiąc, że w Korei Północnej coś takiego będzie niemożliwe. [Trwała ondulacja, bardzo modna w Korei Południowej, jest uznawana za dekadencją w Korei Północnej.] Wówczas o tym nie wiedziałam, ale moje życie miało się właśnie zmienić na zawsze.

Po powrocie do Korei Północnej zapisano mnie do

publicznej szkoły podstawowej Hashin. Tutaj na poważnie rozpoczął się trening ideologiczny. Tak naprawdę właściwa nauka zajmowała nam mniej niż połowę czasu. Przez większość dnia poznawaliśmy życiorys Naszego Wielkiego Przywódcy Kim Ir Sena. Nauczono nas piosenki *Głowa jak dynia*, która opowiadała o dawnym zwycięstwie Kim Ir Sena nad Japończykami. Mówiła, że pobił ich tak bardzo, że japońscy żołnierze nie byli w stanie zabrać do domu wszystkich ciał i zabierali tylko głowy. Wszyscy uczniowie byli zapisani na zajęcia pozalekcyjne o tematyce ideologicznej, które były tak intensywne, że często wracaliśmy do domu dopiero o dziesiątej wieczorem.

Zimą mojego trzeciego roku w szkole dziesięcioro spośród nas wybrano do występu podczas festiwalu młodzieży, na którym, jak nam powiedziano, miał gościć sam Kim Ir Sen. Przez dwa miesiące odbywaliśmy próby, ćwicząc piosenkę pod tytułem *Kochamy mundur, który podarował nam Nasz Wielki Przywódca*. Kiedy kończyły się próby, musiałam godzinami czekać na wieczorny autobus i strasznie marzły mi stopy. I chociaż tęskniłam za domem podczas prób, nigdy nie narzekałam, bo wiedziałam, że to wielki zaszczyt śpiewać dla Naszego Ukochanego Przywódcy.

Tego roku miała miejsce wielka powódź, z powodu której wszystkie rodziny mieszkające na parterze naszego budynku musiały przenieść się wyżej i zamieszkać razem z nami. Dla dzieci oznaczało to wspaniałą zabawę, całymi nocami przesiadywaliśmy bowiem na dachu, obserwując,

jak poziom wody stopniowo się obniża.

Krótko po powodzi gruchnęły straszne pogłoski o możliwym wybuchu wojny z Ameryką wywołanym zatopieniem u.s.s. Pueblo. [Żołnierze północnokoreańscy zajęli amerykański okręt Pueblo w 1968 roku. Zdarzenie to jest znane jako incydent Pueblo.] Atmosfera w Pjongjangu stała się bardzo napięta, mieszkańcy pakowali jedzenie i ubrania, przygotowując się do ewakuacji miasta. Na wszystkich ulicach pojawiły się plakaty z hasłem: konfrontacja spotka się z konfrontacją, odwet z odwetem. Dorośli w oczekiwaniu na nieuniknioną wojnę pracowali do granic wyczerpania, ale dla dzieci była to wyśmienita zabawa: wykradaliśmy zapasy jedzenia i obserwowaliśmy przygotowania z wielkim zainteresowaniem. Czasami późną nocą budziły nas syreny alarmowe – wtedy wychodziliśmy na dach i patrzyliśmy, jak Pjongjang pogrąża się w ciemnościach. Kiedy indziej, zazwyczaj około czwartej nad ranem, rozlegały się syreny przeciwlotnicze – musieliśmy się gramolić z łóżek i biec na pobliskie wzgórze, gdzie znajdował się schron przeciwlotniczy.

W tym okresie dwaj bliscy doradcy Kim Ir Sena – Ho Bong Hak i Kim Chang Bong – zostali „usunięci” w wyniku czystek partyjnych. Władze wydały nakaz wymazania ich nazwisk ze szkolnych podręczników. I tak, w typowo orwellowski sposób, wszyscy zgodnie zaczerpnialiśmy wzmianki o nich atramentem albo wyskrobywaliśmy scyzorykiem. Stali się „nieлюдźmi”.

Ponieważ zajęcia ideologiczne były ważniejsze niż

nauka, większość czasu spędzaliśmy, służąc w Korpusach Młodzieżowych. Kiedy Kim Ir Sen zarządził, że kobietom nie wolno latem nosić spodni, dzieci patrolowały ulice i skwapliwie sprawdzały garderobę przechodniów. Jeśli jakaś kobieta rzeczywiście miała na sobie spodnie albo jeśli ktoś zapomniał przypiąć do marynarki odznakę z podobizną Kim Ir Sena, my, dzieci, żądałyśmy, by taka osoba podała nam nazwisko, i natychmiast donosiłyśmy o tym jej przełożonym.

Uczono nas, że aby pokonać amerykańskich imperialistów, nasz kraj będzie musiał kupować broń za granicą, wysyłano nas więc codziennie, byśmy godzinami zbierali złom, butelki i inne surowce wtórne, które można by sprzedać w zamian za obcą walutę. Wyznaczano nam normy do zebrania i dzieci, którym nie udało się sprostać zadaniu, były publicznie strofowane. Wkrótce to, kto zbierze najwięcej, stało się źródłem zażartej rywalizacji między nami.

Polecono nam też zbierać skóry królików i psów, a także (dziś już nie pamiętam dlaczego) czerwie. Te ostatnie najłatwiej było znaleźć w stertach łajna i publicznych wychodkach, gdzie toaleta nie miała spłuczki. Także i tu konkurowaliśmy ze sobą bez wytchnienia. Jeśli idzie o samo łajno, to i je kazano nam zbierać! Gdy zgromadziły się wielkie sterty, wysyłano je do rolników, którzy używali go jako nawozu. Każdy z nas otrzymywał ocenę w zależności od ilości i jakości zebranego łajna. Później, kiedy zaczęto wydawać kartki żyw-

nościowe, uzyskane przez nas stopnie zaczęto brać pod uwagę.

Ale i tak najtrudniejsze ze wszystkiego było zbieranie kwiatów. Mieliśmy za zadanie układać je przed licznymi pomnikami Kim Ir Sena w naszej dzielnicy. Ponieważ jednak w Korei Północnej nie ma kwiaciarni, jedynym sposobem, byśmy mogli sprostać wyznaczonym limitom, było przekupywanie dozorczy miejscowej szklarni.

To właśnie tego typu zajęcia wypełniały nam całe dni. Nawet podczas przerwy letniej rzeczą nie do pomyślenia był rodzinny wyjazd na wakacje. Zamiast tego byliśmy zobowiązani wykorzystać dodatkowy czas wolny na udział w projektach Korpusu Młodzieży

W tym czasie na świat przyszedł mój najmłodszy brat – rozkoszny chłopczyk, którego rodzice nazwali Bum Su.

Jednak najbardziej niezwykłą rzeczą, jaka przydarzyła mi się w dzieciństwie, było to, że zostałam gwiazdą kina. Choć wcale nie zdawałam sobie z tego sprawy, agent, który pewnego dnia odwiedził naszą szkołę w poszukiwaniu chłopca i dziewczyny do najnowszoego filmu, dostrzegł i wybrał właśnie mnie. Film miał nosić tytuł *Młody Su i Młoda Ok odnajdują swą socjalistyczną ojczyznę*. Nie muszę mówić, że jak na zachodnie standardy był to dość dziwny tytuł, ale i tak byłam zachwycona faktem, że rola Młodej Ok przypadła właśnie mnie.

Był to film pod każdym względem propagandowy, ledwie udający zwykłą produkcję. Fabuła dotyczyła rodziny rozdzielonej w wyniku podziału Korei. W finale

amerykańscy żołnierze zabierają matkę w ramach kary za udzielenie schronienia żołnierzom Korei Północnej. Kiedy teraz myślę o tych filmach, przypomina mi się Orwell, którego książki niedawno czytałam, i przedstawiony w *Roku 1984* rytuał zwany Dwoma Minutami Nienawiści. Pod koniec pokazów bowiem publiczność wygwizdywała Amerykanów ze wszystkich sił, a nawet rzucała w ekran tym, co było pod ręką.

Byłam jednak jeszcze za mała, żeby cokolwiek rozumieć, i znacznie bardziej zajmowało mnie godne bohaterki powitanie, jakie zgotowano mi po powrocie do szkoły. Kiedy film wszedł na ekrany, stałam się naprawdę sławna. Ludzie rozpoznawali mnie na ulicy i nazywali Młodą Ok. Mama chwaliła się mną przed gośćmi, to samo robili nauczyciele. Tylko ojcu nie podobała się cała ta sytuacja i marszczył brwi, ilekroć ktoś wspominał o filmie.

Zagrałam w jeszcze jednej produkcji, historii młodej dziewczyny, którą Armia Ludowa ratuje przed ogniem, kiedy żołnierze wycofują się na północ podczas wojny koreańskiej. Tym razem wystąpiłam w drugoplanowej roli przyjaciółki głównej bohaterki. W ramach wynagrodzenia dostałam nowy plecak i dziesięć zeszytów – naprawdę trudno to nazwać gwiazdorską gażą.

W kolejnych latach dostawałam inne propozycje, ale ojciec nie pozwolił mi więcej występować. Zamiast tego skupiałam się na zajęciach Korpusu Młodzieży. Codziennie o siódmej rano jedyna rozgłośnia radiowa w Pjongjangu nadawała pieśń korpusu, która brzmiała następująco:

To my, młodzi herosi Republiki!
To my, przyszłość Komunizmu!
W górę sztandar, przyjaciele z Korpusów Młodzieży!
Naprzód, synowie i córki naszego Prezydenta!

Zostałam mianowana liderką korpusu i dokładałam wszelkich starań, by moja grupa stała się wzorem dla innych. Mimo że radziliśmy sobie całkiem dobrze, to jednak nie bardzo potrafiłam narzucać dyscyplinę i z trudem przychodziło mi mówienie źle o innych.

Nasze wyniki w nauce ogłaszano publicznie. W szkołach nauczano czterech przedmiotów: rewolucji, wiedzy, pracy i etyki. I tak na przykład podczas zajęć z rewolucji nauczyciel podnosił wysoko zdjęcie przedstawiające Kim Ir Sena w przeszłości i wskazywał ucznia, który miał o nim opowiedzieć. Dane dziecko wychodziło na środek, podnosiło obie ręce i wpatrując się w zdjęcie, objaśniało z czcią:

– To zdjęcie pokazuje naszego Wielkiego Prezydenta, gdy udzielał wskazówek, jak szerzyć walkę zbrojną na całym świecie. Nasz Wielki Prezydent odbywał wówczas naradę Rewolucyjnej Armii Ludu Wybranego w Karunie w 1930 roku. [Kim Ir Sen do 1930 roku szkolił się w Mandżurii oraz w Rosji i nie mógł być wtedy w Karunie w Korei Północnej. W celach propagandowych prawie cały jego życiorys został sfalszowany.]

Jeśli odpowiedź wyrecytowano prawidłowo, w przypisanej danemu uczniowi kolumnie „rewolucja” na

tablicy ogłoszeń nauczyciel stawiał czerwony znak.

Ponieważ byłam liderką korpusu, często wzywano mnie, abym uczestniczyła w dyscyplinowaniu uczniów, którzy nie spełniali stawianych im wymagań. Pamiętam ucznia, którego napiętnowano za to, że nie wypełniał narzuconych norm. Każda osoba w klasie miała za zadanie głośno go skrytykować. Kiedy przyszła kolej na mnie, drżałam na myśl, że mam to zrobić, bo nie cierpiałam atakować kolegów. Ale nauczycielka utkwiała we mnie lodowate spojrzenie, więc powiedziałam tak stanowczo, jak tylko umiałam:

– Twierdzisz, że nie zrealizowałeś norm, bo nie miałeś czasu. A jednak sama widziałam, jak wczoraj bawiłeś się z innymi dziećmi. Jakoś trudno mi uwierzyć, że masz czas na zabawę, ale nie na pracę. Takie wymówki świadczą o tym, że nie wypełniasz nakazu Naszego Wielkiego Przywódcy, który uczy, abyśmy byli wierni życiu wspólnoty.

Rozległy się oklaski, a nauczycielka pokiwała głową z aprobatą. Ale ja nie czułam satysfakcji. Zająłam miejsce, słuchając tępo kolejnej uczennicy. Sun Young zawsze chętnie potępiała innych:

– Kolego, nie zasługujesz, by uczyć się na łonie naszego Ojca Prezydenta. Powinieneś zostać natychmiast wyrzucony ze szkoły.

Takie sesje odbywały się dwa, trzy razy w tygodniu. W końcu zaczęliśmy doszukiwać się wad we własnych rodzinach. Nauczono nas, że nie krytykować niczego to

najgorsza rzecz na świecie.

Pod koniec szkoły średniej zostałam przyjęta na Wydział Biologii Uniwersytetu Kim Ir Sena. To jedyny północnokoreański uniwersytet, który można w ogóle porównywać z jego amerykańskimi odpowiednikami, i jedynie dzieci wysoko postawionych urzędników państwowych mogły nań uczęszczać. Podobnie jak na wszystkich wcześniejszych szczeblach edukacji w Korei Północnej, tak i na uniwersytecie główny nacisk kładziono na ideologię i większość czasu poświęcano na naukę filozofii Kim Ir Sena.

Jeszcze przed maturą spędziłam pół roku na szkoleniu wojskowym, które obowiązywało wszystkich uczniów. Po rozpoczęciu studiów z rozbawieniem stwierdziłam, że uniwersytet jest zorganizowany na modłę wojskową. Klasę nazywano plutonem, wydział kompanią, grupę licencjacką batalionem i tak dalej. Przewodniczący klasy nosił miano porucznika, a dyrektor wydziału – kapitana.

Absolwenci Uniwersytetu Kim Ir Sena mieli zagwarantowane dobre posady do końca życia i dlatego wstęp na tę uczelnię mieli tylko najbardziej uprzywilejowani. Ale choć należałam do tej grupy, trudno mi było podolać nauce, skoro większość wolnego czasu spędzałam na obowiązkowych pracach gospodarskich w pobliskiej wsi. W końcu ojciec zaproponował, bym przeniosła się do Kolegium Języków Obcych w Pjongjangu, które także zapewniało dobre posady swoim absolwentom, szczególnie

kobietom. Ojciec zarządził, by dopuszczono mnie do egzaminu wstępnego, który zdałam, i tak zostałam studentką japonistyki.

Była to brzemienna w skutki decyzja. Gdybym nie przeniosła się do Pjongjangu, by uczyć się japońskiego, nigdy nie zwerbowano by mnie jako agentki. W tamtym czasie, rzecz jasna, nie miałam pojęcia, jakie konsekwencje może przynieść ta zmiana...

Zgodnie z regulaminem kontynuowałam też szkolenie wojskowe. Wywożono nas do obozów szkoleniowych na wsiach, gdzie całymi dniami uczyliśmy się strzelać z karabinów i maszerować w kolumnie. Było to szczególnie uciążliwe dla kobiet, które w reżimie komunistycznym traktowano na równi z mężczyznami i poddawano takiemu samemu rygorystycznemu szkoleniu. Niestety, obozy nie były ani trochę dostosowane do naszych potrzeb. Musiałyśmy się przebierać w zatłoczonych szatniach i często brakowało nam wkładek higienicznych.

Życie w obozie było bardzo wyczerpujące. Całymi dniami maszerowaliśmy po górach. Uczyliśmy się rozpoznawać różne typy broni oraz pojazdów wojskowych i ich używać. Karmiono nas kiepsko i wielu z nas bardzo straciło na wadze. Często podczas dłuższych marszów nie byłam w stanie utrzymać tempa. Porucznik, któremu podlegaliśmy, przystojny dwudziestoparoletni młodzieniec, zostawał wtedy w tyle i popędzał mnie:

– Dalej, Hyon Hui, nie ociągaj się! Bycie kobietą to żadna wymówka. Tutaj mężczyźni i kobiety traktuje się

równy!

Mimo tych deklaracji zauważyłam jednak, że obecność kobiet często uważano za ciężar, nie atut. W efekcie musztrowano nas o wiele częściej i o wiele surowiej. Te podwójne standardy oburzały mnie, ale ostatecznie zdałam sobie sprawę, że zaczynam dorównywać sprawnością każdemu mężczyźnie.

Pod koniec służby byliśmy w stanie maszerować trzydzieści dwa kilometry bez przerwy, niosąc na plecach piętnastokilogramowe tobołki. Biegłe strzelaliśmy z karabinu maszynowego i pistoletu i umieliśmy poprowadzić nawet czołg. Rzucaliśmy granaty ręczne, obsługiwaliśmy działa przeciwlotnicze podczas symulowanych nalotów i wystrzeliliśmy pociski przeciwczołgowe.

Po powrocie do Pjongjangu poczułam wielką ulgę i ciężko pracowałam, by nadrobić zaległości w nauce. Nie wolno było umawiać się na randki, choć co odważniejsi podejmowali czasem to ryzyko. Tych, których przyłapano, usuwano z uczelni, a niektórych zsyłano nawet do obozów pracy na Dalekiej Północy. Obowiązkowo poddawano nas okresowym badaniom lekarskim, które w przypadku kobiet obejmowały także badanie ginekologiczne. W ten sposób władze miały pewność, że nadal jesteśmy dziewczynkami.

Patrząc wstecz, dziwię się, jak udawało mi się wygospodarować czas na sen. W weekendy pomagaliśmy w kopalniach węgla, do tego dochodziły rewolucyjne wiece, w których musieliśmy uczestniczyć. To niepraw-

dopodobne, że w ogóle nauczyłam się mówić po japońsku, ale jednak jakimś cudem nabrałam w tym płynności i zaczęłam zbierać najlepsze stopnie.

Pewnego dnia w drugim roku nauki, gdy miałam osiemnaście lat, zostałam wezwana do pokoju dziekana. Zastałam tam mężczyznę z odznaką w kształcie flagi na piersi, co wskazywało, że należy do Komitetu Centralnego Partii.

– Towarzyszko Hyon Hui – powiedział, kiedy wszłam do pokoju. – Wierzę, że wyuczyłyście się wielu cnót Naszego Umiłowanego Przywódcy Kim Dzong Ila. Może przytoczycie pierwszą, która przychodzi wam do głowy?

Przez chwilę zawahałam się zmieszana, ale zaraz potem przypomniałam sobie zdarzenie z góry Paektu, gdzie Kim Dzong Il odwiedził pole bitwy, na którym jego ojciec odniósł wielkie zwycięstwo. Poleciał robotnikom, by z większym entuzjazmem pracowali nad odrestaurowaniem tego miejsca, i udzielił im pożytecznych wskazówek.

Kiedy skończyłam deklamować, mężczyzna zapytał:

– Gdzie pracuje wasz ojciec i w jakiej randze?

Odpowiedziałam.

– Doskonale. I jeszcze jedno: dobrze się uczycie?

Znał już odpowiedź, ponieważ należałam do Centrum Badań Historycznych nad Kim Ir Senem, które składało się z dziesięciu najlepszych studentek kolegium.

– Oczywiście – odpowiedziałam nieco oburzona.

Odprawiono mnie. Jeszcze w tym samym tygodniu

wezvano wszystkie studentki i ustawiono nas rzędem w sali gimnastycznej, aby mogła nas obejrzeć grupa wizytujących mężczyzn. Oceniając nas, robili notatki, a za każdym razem, gdy podchodzili do ładnej dziewczyny, pytali ją o nazwisko.

Gdy wychodziłyśmy, jeden z mężczyzn zawołał mnie na bok i kazał stawić się w kolejnym tygodniu w Sektorze 1. Siedziby Partii.

Nie miałam wyboru, musiałam wykonać rozkaz. Czekala tam grupa oficerów, która miała mnie przesłuchać. Czułam się niezręcznie i byłam zakłopotana, ale ukloniłam się grzecznie i wywiad się rozpoczął.

– Jakie są cztery podstawowe zasady Partii? – zapytał ktoś.

– Deifikacja, Wiara, Niepodważalność i Bezwarunkowa Aprobata – odpowiedziałam odruchowo.

– Dlaczego studiujecie japoński?

– Uczę się japońskiego, żeby pomóc naszemu narodowi zwyciężyć Japonię, aby Korea mogła zostać zjednoczona.

– Co będziecie robić po ukończeniu studiów?

– Będę robić to, co rozkaże mi Partia.

– Bardzo dobrze. A teraz wyrecytujcie z pamięci pierwszy rozdział *Wspomnień Kim Yong Suk, żony Kim Dzong Ila*.

Potrafiłam wyrecytować go niemal bez zająknięcia. Mężczyzna był zachwycony moją pamięcią.

– Jakie macie stopnie?

– Wybitne, proszę pana.

Podał mi fragment *Pamiętnika Kim Ir Sena* po japońsku i kazał przetłumaczyć. Zrobiłam to bezbłędnie.

– Doskonale, doskonale. – Przerwał na chwilę, a potem ciągnął poważnym tonem: – Kim Hyon Hui, czy jesteście gotowa umrzeć za Partię? Bo zdajecie sobie sprawę, że mianowanie na członka Partii może wam przynieść nie tylko najwyższe zaszczyty, ale i śmierć?

Ledwie mogłam oddychać, tak zaskoczyło mnie to pytanie, ale postanowiłam nie dać tego po sobie poznać.

– Oczywiście – odparłam stanowczo. – Zrobię wszystko, co rozkaże Partia, nawet jeśli miałabym poświęcić życie.

Zanotował coś w zeszycie, który miał pod ręką.

– Macie chłopaka?

– Nie, proszę pana.

– To dobrze. Teraz czeka was badanie.

Zaprowadzono mnie do gabinetu lekarza. Po badaniu kazano mi zaczekać w przedpokoju. Niebawem wezwano mnie z powrotem.

Kiedy weszłam, mężczyzna prowadzący wywiad – agent specjalny Chung – wstał i wyciągnął dłoń.

– Gratuluję, towarzyszko Kim Hyon Hui. Partia was wybrała.

Wiedziałam, że powinnam być bardzo szczęśliwa, ale zamiast tego czułam się oszołomiona i pełna obaw. Wszystko stało się tak nagle. Mimo to uścisnęłam mu dłoń. Próbowałam się uśmiechnąć i okazać wdzięczność, ale tak

naprawdę nie wiedziałam, co o tym wszystkim myśleć.

– Macie się natychmiast spakować – ciągnął dalej. – Możecie spędzić tę noc z rodziną, a jutro wyjedziecie.

Odprowadził mnie do kolegium, gdzie dano mi tylko chwilę na pożegnanie z nauczycielami. Wyglądali na dumnych ze mnie, gratulowali szczęścia i życzyli wszystkiego dobrego. W ciągu godziny byłam już w domu wraz z agentem specjalnym Chungiem i przekazywałam matce zdumiewające nowiny.

Kiedy opowiedziałam jej o nominacji, była zszokowana, choć robiła wszystko, aby tego nie okazać. Uprzejmie zaproponowała agentowi Chungowi obiad, ale odmówił. Powiedział, że nazajutrz mnie odbierze, i wyszedł.

Moja siostra i bracia byli zachwyceni nowiną. Matka jednak nadal w milczeniu przygotowywała kolację. W końcu zapytała, nie podnosząc wzroku:

– Czy to znaczy, że odejdiesz na zawsze?

Zawahałam się, a potem odpowiedziałam:

– Nie wiem, mamó.

Wciąż kroїła warzywa, które po chwili zsunęła na patelnię.

– Mam nadzieję, że ojciec dobrze to przyjmie – rzuciła, po czym zamilkła.

Ojciec nie wracał jeszcze przez kilka godzin. Cały wieczór spędziłam na pakowaniu. Przy okazji znalazłam haft zrobiony przez mamę, kiedy była jeszcze licealistką. Dostałam go od niej i miał dla mnie wielką wartość sentymentalną.

Postanowiłam podarować go Hyon Ok. Kiedy go jej wręczałam, poczułam się, jakbym przekazywała jej pozycję najstarszej córki w rodzinie i odchodziła na zawsze.

– Dbaj o niego – powiedziałam. – A jeśli kiedyś wrócę, chcę go dostać z powrotem!

W tym momencie obie wybuchnęłyśmy płaczem i tuliłyśmy się z całych sił, dopóki mama nie zawołała nas na kolację.

Ojciec wrócił dopiero przed północą i wtedy dowiedział się, co zaszło. Był oszołomiony i w kółko zadawał te same pytania, tak jakby nie rozumiał moich odpowiedzi. Przez dłuższą chwilę milczał, a potem powiedział zrezygnowany:

– Usiądź i posłuchaj, Hyon Hui. Zawsze miałem nadzieję, że zostaniesz zwykłą gospodynią domową i dobrą matką. Ale poświęcić życie ojczyźnie to także wielki honor. Proszę cię, pamiętaj tylko o jednym: możesz przetrwać nawet w jaskini lwa, jeśli będziesz skoncentrowana. Rób, co w twojej mocy. Jestem z ciebie bardzo dumny.

Mama zaczęła płakać. Wróciłam do swojego pokoju z poczuciem winy. Przez jakiś czas siedziałam z braćmi i siostrą, oglądając rodzinne fotografie i wspominając dawne czasy. Mimo że żał mi było wyjeżdżać, wiedziałam, że to wielki zaszczyt być wybraną przez Partię. Powtarzałam sobie, że każde dziecko musi kiedyś opuścić dom rodzinny i że nie mogło mnie spotkać nic lepszego.

Nazajutrz wstałam wcześniej. Przy śniadaniu nie mówiliśmy wiele i widziałam, że mama ma oczy spuchnięte

od płaczu.

O dziesiątej przyjechał agent Chung. Wymienił pozdrowienia z ojcem i dodał:

– Nie martwcie się o Hyon Hui. Partia zapewni jej wszystko. Znajdziemy jej nawet męża. Zostawcie wszystko nam.

– Dziękuję – odparł ojciec z powagą. – Przyniosła chwałę naszej rodzinie, nie będziemy się martwili. Jestem dozgonnie wdzięczny Partii.

Jak mogłabym kiedykolwiek zapomnieć dzień, w którym opuściłam rodzinę? Ojciec wpatrywał się we mnie ze smutkiem. Mama i siostra płakały. Tylko bracia zachowywali dobry humor, choć wiedziałam, że się do tego zmuszają.

– Do widzenia – powtarzali wszyscy jeden po drugim niczym echo.

Do dziś dnia słyszę te głosy. To echo.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kiedy samochód mknął przez przedmieścia Pjongjangu, poczułam przyływ dumy. Mijane dzieci salutowały nam na harcerską modłę. Kiedy dotarliśmy do punktu kontrolnego na obrzeżach miasta, pojazd przepuszczono bez zatrzymywania.

Jechaliśmy szosą w kierunku miasta Pjongsung, gdy kierowca nagle zwolnił, a potem skręcił w nieutwardzoną górską drogę. Jakiś czas później minęliśmy punkt kontrolny, gdzie strażnik tylko nam zasalutował. Za nim rozciągało się przemysłowe gospodarstwo, ogromna przestrzeń pełna szop i budynków, w których hodowano przepiórki. Jechaliśmy dalej, aż droga całkiem opustoszała.

– Byłaś kiedyś w takim miejscu? – zapytał Chung. – Nocą tygrysy schodzą tu z gór.

Nie spodobało mi się, że próbuje mnie przestraszyć. Rzuciłam mu gniewne spojrzenie, ale nawet tego nie zauważył i ciągnął dalej:

– Od dziś nie wolno ci nigdy używać prawdziwego nazwiska. Teraz nazywasz się Kim Ok Hwa, nie zapominaj o tym. Pod żadnym pozorem nie wolno ci zdradzić nikomu, jak się naprawdę nazywasz.

Wkrótce zatrzymaliśmy się przed jednym z kilku budynków. Na spotkanie wyszła nam wysoka, mniej więcej pięćdziesięcioletnia kobieta. Przywitała się ze mną i zaprowadziła do pokoju. Obok znajdowała się łazienka

z wanną i prysznicem, przyniesiono mi też świeże ubrania. Przez jakiś czas leżałam w wannie, rozmyślając nad swoją nową sytuacją. Zaraz potem położyłam się, ale przez całą noc nie zmrużyłam oka. Wsłuchiwałam się w niesamowity dźwięk wiatru wśród drzew, wyczuwałam straszliwą samotność tego miejsca. Nagle przestraszyłam się, że jestem sama, a myśl o krążących po okolicy tygrysach tylko wzmagala strach. Nadszedł świt, zanim wreszcie udało mi się zasnąć.

Rano podano mi najlepsze śniadanie, jakie jadłam od powrotu z Kuby – smażone jajka, tosty, mleko, masło i ziemniaki. Chleb był delikatny i lekki, taki, jakiego próżno szukać w Pjongjangu, i poczułam wstyd, że jem tak wykwintnie.

Po śniadaniu przedstawiono mi nową współlokatorkę, która – jak mi powiedziano – miała być moją partnerką podczas całego szkolenia. Nazywała się Kim Suk Hui, była młoda i ładna, miała duże, błyszczące oczy i często się uśmiechała. Była o rok młodsza ode mnie. Przez następne lata stała mi się bliska jak siostra.

Agent specjalny Chung usiadł w naszym pokoju.

– Dzień dobry – powiedział z uśmiechem. – Skoro jesteście tu już obie, możemy omówić pewne zasady. Nie wolno wam opuszczać bazy w ciągu dnia, natomiast w nocy możecie wychodzić jedynie na krótki spacer. Przed wyjściem musicie informować kucharkę, a na zewnątrz unikać wszelkich postronnych osób, dostawców, szoferów i tak dalej. Wychodząc, macie zakładać okulary słoneczne

i maski, które wam dostarczymy, a także zabierać parasole, aby ukryć twarz, gdybyście przypadkiem kogoś spotkały. Śniadanie macie kończyć do ósmej rano. Przed wyjściem na zajęcia będziecie przez pół godziny czytać *Pisma wybrane Kim Ir Sena* i *Historię walki rewolucyjnej*. Czy to jest jasne?

Zapewniłyśmy go, że tak.

Jeszcze tego samego dnia odwiedził nas mężczyzna, którego przedstawiono nam jako wiceministra Kanga. Był średniego wzrostu, miał okragłą twarz i małe, zjadliwe oczka. Siedzieliśmy w bibliotece, a on mówił obcesowo i niezbyt uprzejmie:

– Jak wiecie, celem Partii jest zjednoczenie Korei jeszcze w tym pokoleniu. Mając to na uwadze, żywimy wielkie nadzieje, że wy dwie zostaniecie doskonałymi wojowniczkami. Jako że wybraliśmy was spośród wielu kandydatek, wierzę, że nas nie zawiedziecie. – Przerwał na chwilę, by pozwolić nam w pełni pojąć te złowieszcze słowa, a potem ciągnął dalej: – Za kilka dni zostaniecie przewiezione do szkoły, gdzie wyszkolono wielu świetnych agentów.

– Nie zawiedziemy – odpowiedziałyśmy chórem jak na komendę.

– Czy wiecie, dlaczego zlecamy kobietom misje szpiegowskie? – pytał dalej. – Bo są piękne. Jeśli zajdzie taka konieczność, będziecie musiały sprzedać swoje ciała. Ponadto, jeśli będziecie musiały przebywać legalnie za granicą, poślubicie tego, kogo dla was wybierzemy. Mam

nadzieję, że to jest jasne.

Żadna z nas nie odpowiedziała, ale wiedziałam, że obu nam jest niedobrze ze strachu. Wieczorem tego dnia, kiedy już leżałyśmy w łóżkach, zapytałam:

– Myślisz, że byłabyś w stanie zrobić coś takiego, Suk Hui? No wiesz, oddać się obcemu człowiekowi?

– Naprawdę nie wiem – westchnęła. – A ty?

– Ja też nie.

Kiedy znów przemówiła, w jej głosie brzmiała gorycz:

– Przypuszczam, że wybór nie należy do nas, prawda?

Tę samą gorycz czułam we własnym sercu.

ROZDZIAŁ TRZECI

W tym samym tygodniu przeniesiono nas do Szkoły Wojskowej Keumsung, gdzie na poważnie rozpoczęliśmy szkolenie. Mimo surowego treningu, jaki otrzymałam wcześniej w wojsku, to, czego doświadczyliśmy tutaj, przeszło moje wszelkie wyobrażenia.

Keumsung znajdowało się w posepnej dolinie u podnóża góry Ipbul, wiele kilometrów od cywilizacji, jeśli nie liczyć kilku wiosek rozrzuconych w tym regionie. Jako że uczyły się tu tysiące studentów, kompleks rozciągał się na ogromnym obszarze. Agenci wywiadu byli szkoleni w sekretnej dolinie, z dala od głównej siedziby uczelni.

Umieszczono nas w niewielkim domku z kuchnią, pralnią i biblioteką. Otrzymałyśmy też szczegółowy plan dnia, od którego nie wolno nam było robić żadnych odstępstw:

6.00-7.00	pobudka, sprzątanie domu, pranie ubrań
7.00-7.30	śniadanie
7.30-8.30	poranna lektura filozofii i dokonań Kim Ir Sena
8.30-13.00	poranne zajęcia
13.00-16.00	obiad i odpoczynek
16.00-17.30	popołudniowe zajęcia
17.30-19.00	ćwiczenia
19.00-20.00	kolacja
20.00-21.00	sztuki walki
21.00-22.00	nocny marsz

22.00-23.00	nauka
23.00	sen

Forsowano nas do granic psychicznej i fizycznej wytrzymałości, aż do wyczerpania. Ćwiczyliśmy strzelanie ze wszystkich typów broni. Przez wiele dni koczowałyśmy na otwartej przestrzeni, śpiąc w okopach. Z okazji urodzin Kim Ir Sena przemaszerowałyśmy sto sześćdziesiąt kilometrów w ciągu trzech dni – nazywano to Marszem Wierności. Nauczyłyśmy się prowadzić samochód z wielką prędkością i wywoływać zdjęcia w zaimprovizowanej ciemni. I przez cały ten czas czytaliśmy: kilkadziesiąt tomów pism Kim Ir Sena.

Ćwiczyłyśmy się także w sztukach walki. Od kobiet wymagano umiejętności pokonania dwóch, a nawet trzech rosnących mężczyzn nacierających jednocześnie i w efekcie stałam się tak pewna swej siły jak nigdy przedtem. Szkolono nas też w walce na noże; używałyśmy do tego celu dwudziestopięciocentymetrowych plastikowych noży.

Trening w zakresie broni palnej nie ograniczał się do strzelania. Wymagano od nas umiejętności rozłożenia i złożenia każdego rodzaju broni, a także jej naprawy, jeśli była popsuta. Naszym zadaniem było celowanie w środek tarczy umieszczonej w odległości dziewięćdziesięciu metrów. Trafiałam do celu w dziewięćdziesięciu procentach prób.

Dwa razy w tygodniu oglądałyśmy filmy szpiegowskie pełne propagandowych obrazów prezentujących ze-

psucie Zachodu i dokonania słynnych agentów z przeszłości.

Wolne miałyśmy tylko w niedziele, ale zazwyczaj byłyśmy tak wykończone, że nawet nie wstawaliśmy z łóżek.

Nauczycielka japońskiego, z którą bardzo się zaprzyjaźniłam, nazywała się Eun Hae. Od kucharki dowiedziałam się, jak tragiczna była jej historia. Pochodziła z Tokio, wyszła za mąż po ukończeniu szkoły średniej. Urodziła syna i córkę, a wkrótce potem rozwiodła się z mężem. Pewnego dnia, gdy bawiła się z dziećmi na plaży, północnokoreańscy agenci porwali ją i przewieźli do tego obozu. [W latach 70. i 80. XX wieku Koreańczycy z Północy przeprowadzili serię porwań obywateli Japonii. Przez wiele lat władze północnokoreańskie nie przyznawały się do uprowadzeń. We wrześniu 2002 roku Kim Dzong Il przeprosił ówczesnego premiera Japonii Junichiro Koizumiego. Oficjalnie Korea Północna przyznała się do porwania siedemnastu osób.] Tu ciężko zachorowała i prawie umarła. Kiedy wróciła do zdrowia, odmówiła jedzenia i cały czas powtarzała, że tęskni za dziećmi. Ale Koreańczycy przetrzymali ją, sugerując, że może zostać zwolniona w bliżej nieokreślonej przyszłości, jeśli będzie posłuszna ich rozkazom. W końcu nie miała innego wyboru, jak tylko dostosować się do nowego życia.

Mimo że jej współczułam, uważałam, że poświęcenie jednej Japonki dla sprawy zjednoczenia Korei jest usprawiedliwione, zwłaszcza że Japonia okupowała Koreę i zadawała jej gwałt przez trzydzieści pięć lat. Teraz, kiedy patrzę wstecz, wstydzę się za siebie. Ta historia jest najlepszym przykładem niewyobrażalnego barbarzyństwa

północnokoreańskich władz i ich agentów.

Eun Hae była bardzo nieszczęśliwa i dlatego często się upijała. Bywała wtedy niemiła. Ale pomimo to była doskonałą nauczycielką i z czasem lubiłam ją coraz bardziej. Często opowiadała o swoich dzieciach i o Tokio, wciąż miała nadzieję, że niedługo pozwolą jej wrócić do Japonii. Nie wiem, czy to się kiedykolwiek stało.

Zostałyśmy przyjaciółkami i powierniczkami, chętnie spędzała ze mną czas. Jej zadaniem było ni mniej, ni więcej tylko przeistoczyć mnie w Japonkę, tak aby w terenie nikt się nie zorientował, że tak naprawdę jestem Koreanką.

Kilka kilometrów od naszej bazy leżała wieś, od której, rzecz jasna, kazano nam się trzymać z daleka. Ale pewnego niedzielного wieczoru Eun Hae nalegała, byśmy odwiedziły to miejsce, albowiem nigdy wcześniej nie widziała zwykłych mieszkańców Korei Północnej. Zastałyśmy tam grupkę rozpadających się domów i brudne, często nagie dzieci biegające po ulicach. Poczułam wstyd i próbowałam odciągnąć stamtąd Eun Hae. Ale ona wpatrywała się w dzieci ze łzami w oczach. Odezwały się w niej macierzyńskie instynkty.

– A więc to jest ten twój wspaniały nowy świat, Ok Hwa – powiedziała z najwyższą pogardą. – Żal mi ciebie.

W obozie zaprzyjaźniłam się także z kucharką – kobietą po czterdziestce, która nazywała się Wol Chi. Także i jej historia była tragiczna. Jako nastolatka zakochała się w tokarzu, ale matka zmusiła ją do małżeństwa

z górnikiem. Żyjąc w ubóstwie w ukrytej wśród lasów wiosce Samjiwon, Wol Chi spędziła kilka bardzo nie-szczęśliwych lat, podczas gdy jej mąż romansował z wieloma innymi kobietami.

Pewnego dnia śmiertelnie potrafił go kopalniany wózek. Na pogrzebie Wol Chi spotkała tokarza, którego kiedyś kochała. Ale teraz i on miał już rodzinę i choć nadal darzył ją uczuciem, nic nie można już było poradzić.

Wol Chi znalazła wreszcie pracę jako nauczycielka gotowania w szkole wyższej, a potem zwierbowano ją do naszego obozu. Uwielbiała samotność Keumsung, ponieważ, jak żartowała, było tu mniej ludzi, którzy mogliby jej dokuczać. Jednocześnie pełniła funkcję naszej „matki” i musiałyśmy się jej spowiadać za każdym razem, gdy chciałyśmy pójść na spacer lub gdziekolwiek się oddalić. Wol Chi była jednak wyrozumiałą osobą i często pozwalała nam postępować wedle uznania.

W kolejnych latach pozwalano mi od czasu do czasu odwiedzać rodzinę, ale nie były to radosne spotkania. Rodzice przyjmowali moje odjazdy z niechęcią, a ja w tamtym czasie czułam wstyd z powodu ich przywiązania, co było reakcją, jakiej oczekuje się od każdego w pełni zindoktrynowanego obywatela Korei Północnej. Zbytne przywiązanie do krewnych nie należało do naszych patriotycznych obowiązków, a wtedy martwiłam się głównie o swoją pozycję jako szkolącego się agenta. W tamtym czasie mój najmłodszy brat Bum Su zachorował na raka

skóry i lekarze powiedzieli nam, że to choroba śmiertelna.

Matka wcale nie kryła niezadowolenia z mojej nieobecności, ale wiedziałam, że i ojciec tęskni za mną równie mocno. Zawsze był do mnie bardzo przywiązany, nazywał mnie swoją małą księżniczką. W pewnym sensie ojciec był zagadkowym człowiekiem. Wiedziałam, że jest ze mnie dumny i że jako członek Partii należy do grupy najbardziej uprzywilejowanych obywateli Korei Północnej, ale coś mi mówiło, że z całego serca nie cierpi władz za to, że odebrały mnie rodzinie.

Niestety, miłość nie mieściła się w planach Kim Dzong Ila.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Pod koniec trzeciego roku spędzonego w obozie musiałam przystąpić do egzaminu końcowego, który miał wykazać, czego się dotąd nauczyłam. Był to zdecydowanie najbardziej wyczerpujący i stresujący moment, ponieważ studenci, którzy dwukrotnie oblali egzamin, byli wyrzucani z Partii i popadali w niełaskę na resztę życia.

Egzamin miał trwać cały tydzień i składał się z trzech głównych części: testu sprawnościowego, pracy pisemnej i próby w warunkach rzeczywistych. Każda z części była surowo oceniana, a następnie przyznawano za nią punkty w skali od zera do stu. Aby zdać egzamin, należało zdobyć co najmniej dziewięćdziesiąt punktów z każdej części.

Już kilka tygodni wcześniej zaczęłam odczuwać niepokój, jak zresztą wszyscy studenci, którzy mieli przystąpić do egzaminu. Oto miało zostać poddane próbie to wszystko, nad czym przez ostatnie trzy lata pracowaliśmy do granic wyczerpania. Powiedziano nam, że zazwyczaj tylko jedna trzecia studentów pomyślnie przechodzi wszystkie testy. W ten sposób Partia może zatrzymać jako tajnych agentów wyłącznie najlepszych ludzi.

W pierwszym dniu egzaminu świt wstał chłodny i pochmurny. Był wrzesień i ziemię pokrywał szron, co zapowiadało nieuchronnie zbliżającą się zimą. Zgodnie z nakazem wstałam o szóstej rano, czując skurcz w żołądku. Ubrałam się w strój sportowy i zasiadłam do

śniadania, ale denerwowałam się tak bardzo, że dłonie mi drżały i trudno mi było trafić jedzeniem do ust. Gardło miałam ściśnięte z nerwów i z trudem mogłam przełykać.

Suk Hui przystępowała do egzaminu wraz ze mną i była równie zdenerwowana. Podczas śniadania niewiele rozmawiałyśmy, a każda starała się rozproszyć obawy na swój własny sposób. Ja przypominałam sobie lekcje z transcendentalnej medytacji i usiłowałam powtarzać mantrę *Om*. Już po chwili jednak moje myśli się rozbiegały, a ja zaczynałam drżeć z nerwów i czułam się niewiele lepiej niż przedtem.

O 6.30 usłyszałyśmy na zewnątrz gwizdek, co było sygnałem do rozpoczęcia testu. Zgromadziliśmy się na dziedzińcu. Było nas łącznie piętnastoro, z czego jedną trzecią stanowiły kobiety. Po jednej stronie stało dwoje instruktorów: mężczyzna i kobieta ubrani w wojskowe mundury i zielone czapki. Gdy zgromadziła się cała grupa, instruktor – wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna imieniem Rae Hong – klasnął w dłonie, by zwrócić naszą uwagę.

– Towarzysze! – krzyczał, a jego oddech tworzył w zimnym powietrzu chmurę pary. – Jesteśmy gotowi do rozpoczęcia pierwszej części egzaminu. Będzie to piętnastokilometrowy bieg wokół obozu, górskimi szlakami wzdłuż wschodniej doliny. Drogę znaczą pomarańczowe flagi. Ja i towarzyszka Myung – tu wskazał na instruktorkę – będziemy was monitorować. Pozostali instruktorzy czekają na mecie, gdzie zanotują wasz czas. Im szybciej

ukończycie bieg, tym wyższy wynik uzyskacie. Ten, kto nie ukończy wyścigu, otrzyma zero punktów, a tym samym zostanie zdyskwalifikowany w całym egzaminie. Czy to jest jasne?

– Tak jest, proszę pana! – odpowiedzieliśmy chórem.

– Przygotować się! – krzyknął instruktor, zwracając się w stronę drogi. Gdy byliśmy gotowi, dmuchnął w gwizdek i ruszył biegiem, a my wszyscy podążyliśmy za nim.

Narzucił zbyt szybkie tempo. Zamiast martwić się, że za nim nie nadążam, ustaliłam własny, dobry rytm i skupiłam się na jego utrzymaniu. Jak w każdym wyścigu niektórzy zawodnicy ruszyli z prędkością, której nie można było utrzymać przez dłuższy czas. Starłam się o nich nie myśleć i skupić się na własnych wynikach. W żadnym wypadku nie wolno mi się było zatrzymać i pomyślałam, że prędzej padnę, niż to zrobię.

Pierwszy kilometr był prawdziwą udręką. Nie byłam w stanie zebrać myśli, miałam po prostu ochotę zapomnieć o wyścigu, usiąść i odpocząć. Zmuszałam się jednak do myślenia o czymś innym – o rozmowie z Suk Hui poprzedniego wieczora, o ostatnio przeczytanej książce. W ten sposób udało mi się ukończyć pierwszy kilometr i utrzymać spokojne tempo.

Szlak, którym biegliśmy, piał się w górę, przez co bieg był jeszcze bardziej wyczerpujący. Pod nami rozciągała się przepiękna dolina. Była wczesna jesień i gdzieś tam pojawiały się już plamy koloru. Otaczające nas nieruchome

góry emanowały spokojem, w oddali słyhać było ptasi chór. Temperatura stopniowo rosła i szybko zaczęłam się obficie pocić.

Po jakimś czasie nasza pierwotna grupa się rozdzieliła. Niektórzy biegacze zostali w tyle, inni byli daleko przed nami. Suk Hui i ja trzymałyśmy się blisko właściwie przez cały bieg, od czasu do czasu mamrocząc do siebie słowa otuchy.

Gdy przebyłyśmy dwie trzecie dystansu, szlak zaczął schodzić w dół, co znacznie ułatwiło utrzymanie tempa. Teraz jednak, po dziesięciu kilometrach biegu, zaczynały mnie boleć nogi. Ale nie to było moim głównym zmartwieniem. Robiłam wszystko, co mogłam, aby utrzymać równy oddech – jeden wdech na cztery kroki. Wiedziałam, że jeśli stracę ten rytm, niemal na pewno nie ukończę wyścigu.

Zbliżając się do mety, natrafiłyśmy na osoby, którym się nie powiodło. Chłopak i dziewczyna, którzy upadli w różnych miejscach, leżeli teraz w trawie i szlochali bezradnie. Kiedy ich mijaliśmy, ogarnęło mnie współczucie, ale nic nie mogłam zrobić. Pomodliłam się tylko cicho, by udało im się następnym razem.

Podczas ostatnich dwóch kilometrów płuca zaczęły mnie palić i musiałam nabierać oddechu najpierw co trzy, a potem co dwa kroki. Obok mnie, z wyrazem ponurej zawziętości na twarzy i z oczyma utkwionymi w dal w poszukiwaniu linii mety, słaniała się Suk Hui. Oddychała chrapliwie i nierówno i w którymś momencie wrza-

snęłam na nią:

– Dalej, Suk Hui! Już blisko! Już prawie jesteśmy!

W odpowiedzi przewróciła oczyma, ale wiedziałam, że moja zachęta podziałała.

Nikt z nas nie wiedział, gdzie dokładnie znajduje się meta, co tylko powiększało psychiczną udramę; nie było punktu, do którego można by dążyć. W końcu jednak, właśnie wtedy, gdy poczułam, że dalej już nie mogę, ujrzałam grupę biegaczy, którzy wcześniej ukończyli wyścig, a teraz gromadzili się wokół instruktora Rae Honga. Ruszyłam naprzód, przecięłam linię mety i natychmiast padłam, a obok mnie padła Suk Hui.

– Dwie godziny, cztery minuty i dwadzieścia siedem sekund dla towarzyszek Ok Hwa i Suk Hui! – wykrzyknęła kobieta mierząca czas i zanotowała wynik na liście. – Dobra robota, towarzyszki! Ten wynik wart jest dziewięćdziesiąt trzy i pół punktu!

– Do diabła... – dyszała Suk Hui. – Gdyby nie ty, Ok Hwa, nigdy by mi się nie udało. Jestem na wpół żywa.

– Ja też – odparłam, wciąż z trudem łapiąc oddech. Przewróciłam się na plecy i spojrzałam w niebo, czyste teraz i ciemnobłękitne. Pulsowało mi w głowie, byłam odrętwiała. Przez chwilę myślałam, że zemdleję, ale Rae Hong podszedł i podniósł mnie na nogi.

– Powinnaś trochę pochodzić – powiedział. – Najgorsze, co możesz teraz zrobić, to leżeć. To niedobrze dla serca. Niebawem poczujesz się lepiej.

Przytaknęłam i zaczęłam spacerować. Sześcioro za-

wodników ukończyło bieg przed nami – pięciu mężczyzn i jedna kobieta; ze mną i Suk Hui było nas razem ośmioro. W ciągu następnej godziny dowlokło się jeszcze kilkoro i ostatecznie tylko troje całkowicie odpadło. Była dopiero dziewiąta rano i jeszcze wiele miało się tego dnia wydarzyć.

Rae Hong kazał nam wziąć prysznic i się przebrać, a o dziesiątej stawić się w centrum gimnastycznym, gdzie mieliśmy kontynuować egzamin. Kiedy odchodził, patrzyłam za nim zdumiona. Dopiero co przebiegł piętnaście kilometrów, a nie miał nawet przyspieszonego oddechu.

Suk Hui i ja powlokłyśmy się do domu. Rozebrałyśmy się i ona wzięła prysznic, a ja długą gorącą kąpiel, po której poczułam się zarazem odświeżona i wyczerpana. Przebrałam się w inny kombinezon i wypiliśmy dużą szklankę soku pomarańczowego, a potem udałam się do centrum.

Był to długi, wąski budynek z dwiema salami gimnastycznymi, siłownią, basenem i przestronną kwadratową salą z lustrami i sprzętem do trenowania sztuk walki. Instruktorzy byli już w siłowni, ale jako że do dziesiątej zostało jeszcze kilka minut, spędziłam ten czas na rozgrzewce wraz z innymi studentami, którzy czekali na dalszy ciąg egzaminu.

– No dobrze! – zawołał punktualnie o dziesiątej Rae Hong. – Kontynuujemy. Rozpocznijmy w siłowni, gdzie każdy z was będzie miał za zadanie podnieść w pozycji leżącej jak największy ciężar. Następnie wykonacie tyle podciągnięć na drążku, ile jesteście w stanie. Towarzystwo

Ok Hwa, zacniemy od was.

Wstałam zdenerwowana i zbliżyłam się do ławki, gdzie czekało na mnie dwóch nadmiernie umięśnionych pomocników. Usiłowałam przypomnieć sobie ciężar, z jakim zazwyczaj trenowałam – pięćdziesiąt kilogramów.

– Spróbuję siedemdziesiąt pięć kilogramów – powiedziałam, siadając na ławce. Pomocnicy załadowali ciężarki na drążek i umocowali go na stojaku. Położyłam się. Siedemdziesiąt pięć kilogramów – sporo jak na kobietę mojej postury. Nigdy wcześniej nie udało mi się podnieść takiego ciężaru, siedemdziesięciokilogramowa sztanga była do tej pory moim rekordem. Poza tym byłam już zmęczona biegiem. Wiedziałam jednak, że w razie porażki będę miała drugie podejście, mogłam więc równie dobrze mierzyć wysoko.

Wzięłam serię szybkich, głębokich wdechów, wprowadzając do krwiobiegu tyle tlenu, ile tylko możliwe. Mocno chwyciłam drążek i zebrałam wszystkie siły, by unieść go ze stojaka.

Pchnęłam, wydając z siebie jęk, i ciężar opornie uniósł się w powietrze. Drążek zachwiał się przez chwilę i musiałam się wysilić, by odzyskać nad nim kontrolę. Potem opuściłam go na klatkę piersiową, tak jak to jest wymagane. Skupiając każdą krzywą siłę, wypuściłam powietrze i pchnęłam sztangę w górę. Gdzieś w połowie drogi zatrzymała się – krzyknęłam krótko, wykrzywiając twarz i pchając jeszcze mocniej. Jakimś cudem udało mi się w pełni wyprostować ręce i ukończyć ćwiczenie. Po-

mocnicy odebrali ode mnie sztangę i umieścili ją na powrót na stojaku.

Zgromadzeni zgotowali mi owację. Nieco oszołomiona usiadłam na ławce.

– Świetnie! – huknął Rae Hong. – Dziewięćdziesiąt sześć punktów, Ok Hwa! Chcecie spróbować jeszcze raz?

– Nie, proszę pana – odparłam.

– Bardzo dobrze. Następny!

Kiedy nadeszła kolej Suk Hui, udało jej się podnieść sześćdziesiąt pięć kilo – bardzo przyzwoity wynik, który dał jej dziewięćdziesiąt dwa punkty. Najlepszy rezultat osiągnął Kim Bong – krępy, niehumanie umięśniony mężczyzna, który – warcząc jak w amoku – podniósł ponad dwieście kilogramów i za swój wysiłek otrzymał dziesięć dodatkowych punktów, kończąc z łącznym wynikiem sto dziesięć.

Teraz przeszliśmy do drążka. Przez ostatnie trzy lata ćwiczyłam podciąganie codziennie i zazwyczaj udawało mi się zrobić około piętnastu powtórzeń. Tego dnia zrobiłam siedemnaście, zdobywając dziewięćdziesiąt cztery punkty. Suk Hui podciągnęła się szesnaście razy, a Kim Bong raz jeszcze okazał się najlepszy – powtórzył ćwiczenie czterdzieści sześć razy.

– Do drugiej sali! – krzyknęła Myung, kiedy skończyliśmy test w siłowni.

Kolejna próba miała sprawdzić naszą szybkość. Sala miała jakieś pięćdziesiąt metrów długości i każdy student musiał przebiec dystans od ściany do ściany i z powrotem.

Mieliśmy po trzy próby.

W tej konkurencji czułam się w miarę pewnie. Jak na kobietę mojego wzrostu byłam dość szybka, a po trzech latach treningu nie miałam ani grama tłuszczu. Moim najlepszym wynikiem było 19,4 sekundy – nie najgorzej, biorąc pod uwagę, że dotykając ściany, musieliśmy zwolnić, aby zawrócić. Suk Hui poszło jeszcze lepiej, ukończyła bieg w 19,1 sekundy. Otrzymała 95 punktów, a mi przyznano 94,8.

Nadeszło południe i pozwolono nam pójść na obiad. Większość z nas czuła się zupełnie wyczerpana. Tego dnia dostaliśmy podwójne porcje jedzenia, ale mimo to, kiedy skończyłam, wciąż byłam głodna. Kolejna próba zaczynała się dopiero o trzynastej, więc obie z Suk Hui padłyśmy na łóżka, by przez dwadzieścia minut odzyskać nieco sił.

– Nie mogę uwierzyć, że aż tak nas forsują – powiedziała, rozmasowując nogi.

– To jeszcze nie koniec – odparłam. – Ale muszę przyznać, że wiele się zmieniło, odkąd skończyłyśmy osiemnaście lat i rozpoczęłyśmy szkolenie wojskowe. Wtedy ledwie mogłam przebiec półtora kilometra.

– Ja ledwie mogłam przejść półtora kilometra – zaśmiała się.

O trzynastej wróciłyśmy do centrum gimnastycznego, tym razem do *dojung*, sali sztuk walki. Kazano nam się przebrać w *ghi* – białe, podobne do piżam stroje używane przez adeptów wschodnich sztuk walki.

Trenowano nas w oparciu o różne style, wszystkie

wywodzące się z Korei, włącznie z taekwondo, tangsudo i aikido. Te podobne, ale jednak wyraźnie odrębne style połączono w jedną hybrydową sztukę walki, w której ćwiczą agentów. Nasz system pasów układał się następująco: biały dla początkujących, potem żółty, zielony, niebieski, czerwony, brązowy, a dalej dziesięć stopni czarnego. Niewielu żyjących adeptów zdobyło kiedykolwiek górne stopnie czarnego pasa, ale nasz nauczyciel Kae Cheon miał piąty stopień we wszystkich trzech sztukach walki. Po trzech latach treningu wszyscy osiągnęliśmy przynajmniej pierwszy stopień. Zdobyć każdego kolejnego zajmowało zazwyczaj całe lata.

Kae miał dwóch asystentów, obaj posiadali trzeci stopień czarnego pasa. Nazywali się Yung Lee i Kang Kil. Kae poprowadził krótką rozgrzewkę, a potem usiadł na skraju sali z listą w dłoni. Obok niego usiadł Kang Kil. W pobliżu stał Yung Lee, a Rae Hong i Myung, którzy sami osiągnęli już drugi stopień czarnego pasa, siedzieli przy nim.

– Zaczniemy od walki wręcz – rzekł Rae Hong. – Każdy z was, towarzysze, będzie walczył z Yung Lee przez pięć minut. Ze względu na precyzję wymaganą podczas tego egzaminu, będziecie walczyć w pełnym kontakcie, żadnych ochraniaczy. Mężczyźni otrzymają osłony na krocze, nic więcej. Praktycznie wszystkie techniki są dozwolone, można kopać w nogi i głowę, stosować rzuty i chwyt, ale będziemy oceniać waszą powściągliwość na równi z umiejętnościami. Technika, która jest

stosowana pewnie, ale na tyle świadomie, by wyrządzić jak najmniej krzywdy, będzie oceniana najwyżej. Student, który celowo złamie przeciwnikowi kość, zostanie natychmiast zdyskwalifikowany. Zrozumiano? Dobrze, zaczynamy.

Byłam wdzięczna losowi, że nie muszę być pierwsza. Nigdy wcześniej nie walczyłam z Yung Lee i cieszyłam się, że mogę najpierw przyjrzeć się jego stylowi. Był to wysoki, zwinny mężczyzna o niezwyklej szybkości ruchów, zdolny wykonać najbardziej skomplikowane kopnięcia, jakie można sobie wyobrazić. Widziałam kiedyś, jak złamał betonową płytkę umieszczoną pionowo dwa i pół metra nad ziemią. Podskoczył, obrócił się w powietrzu i doskonałym wirującym kopnięciem roztrzaskał ją w drobny mak.

Niektórzy zawodnicy preferują kontratak, ale Yung Lee walczył bardziej agresywnie, z własnej woli inicjując natarcia. Atakował pięknie i z taką łatwością i zręcznością zasypywał pierwszego adepta ciosami, że wkrótce zwątpiłam, czy będę w stanie mu się przeciwstawić. Kiedy minęło przepisowe pięć minut, student – młody chłopak – był sponiewierany i zakrwawiony, ale i tak otrzymał dziewięćdziesiąt punktów za to, że wytrzymał natarcie mistrza.

Jeszcze tylko troje studentów i nadeszła moja kolej. Wstałam, wbiegłam na środek sali, ukloniłam się Yung Lee, a potem oboje ukloniliśmy się nauczycielom. Kae skinął i dał znak, abyśmy rozpoczęli.

Yung Lee zaatakował natychmiast. Fakt, że byłam kobietą, nic tu nie znaczył; bardzo często widywałam kobiety z połamanymi nosami i pękniętymi żebrami. Yung zaatakował mnie serią kopnięć, przed którymi z trudem udało mi się uchylić. Nie miałam złudzeń co do możliwości rychłego kontrataku. Na razie starałam się tylko utrzymać na nogach.

Wreszcie wycofał się i czekał na mnie. Jako niższy rangą adept musiałam go teraz zaatakować; w przeciwnym razie ryzykowałam, że zostanę ukarana za granie na zwłokę. Robiąc krok w przód lewą nogą, wymierzyłam kilka szybkich ciosów w twarz. Uniósł ramiona, żeby je zablokować, a ja w tej samej chwili zahaczyłam lewą stopę o jego kostkę i wykonałam czyste podcięcie, powalając go na podłogę. Drugą nogą Yung Lee natychmiast wymierzył mi kopnięcie w brzuch, co odrzuciło mnie w tył. Skoczył na równe nogi, uderzając mnie w żebra, a zaraz potem w podbródek. Przestraszona, zła i zdesperowana, mimo bólu złapałam go za wyciągniętą rękę, przyciągając bliżej i z zamachem kopiąc w brzuch. Przez krótką chwilę był oszołomiony, złapałam go więc za ramiona, stanęłam za nim i rzuciłam go na ziemię. Jak należało się spodziewać, zaatakował stopą, ale tym razem byłam przygotowana: złapałam go za uniesioną nogę i wymierzyłam kopnięcie w krocze.

– Przerwa! – krzyknął Kae. – Runda dla Ok Hwy!

Yung Lee wstał. Był teraz zły i atakował ostrzej i szybciej. Wymierzył mi kilka ciosów z ukosa

w przepone, których nie zdołałam zablokować, i w jednej chwili mnie dopadł. Udało mi się wśliznąć pod jego gardę i uderzyć łokciem w mostek, a potem złapać za nogę i powalić na podłogę. Odpowiedział ze znawstwem, oplatając moje nogi swoimi i zamykając jakby w nożycach, czym pociągnął mnie w dół. Wciąż ciasno przytrzymując mnie nogami, zdążył usiąść i już miał wymierzyć mi cios w twarz, gdy złapałam go za nadgarstek i wygięłam rękę w tył. Nożyce rozluźniły chwyt.

– Przerwa! – zawołał Rae Hong.

Oboje wstaliśmy, ukłoniliśmy się Kae, a potem sobie nawzajem. Instruktorzy zapisali swoje oceny, a potem obliczyli średnią. Ja tymczasem zajęłam miejsce na sali, czekając na wynik.

– Dla towarzyszki Ok Hwy... dziewięćdziesiąt osiem punktów!

Wybuchły krótkie brawa. Byłam oniemiała. Podołałam wytrawnemu zawodnikowi. I choć wiedziałam, że w prawdziwej walce pobiłby mnie na głowę, to jednak tym razem pokonałam Yung Lee. Spuściłam oczy, nie śmiąc spojrzeć mu w twarz.

Dotknięty do żywego kiepskim wynikiem w walce ze mną, Yung Lee bił potem niemiłosiernie wszystkich studentów jednego po drugim, zamykając ich w bolesnych chwytach, przerzucając w powietrzu, dosięgając pięknie wymierzonymi kopnięciami. Kiedy wszyscy ukończyli już próbę, Yung Lee usiadł, wstał za to Kang Kil.

– Teraz rozpoczniemy drugą część – oświadczył Kae.

– Każdy uczeń zmierzy się z towarzyszem Kang Kilem, który będzie władał dwudziestopięciocentymetrowym plastikowym nożem. Macie trzy podejścia, żeby go rozbroić i samemu użyć noża albo pokonać go innym sposobem. Pytania? Nie? Zaczynamy!

Walczyłam z Kang Kilem jako trzecia. Po ukłonie okrążyliśmy się ostrożnie. Plastikowe ostrze noża było tak zaprojektowane, by chować się w rękojeść tak głęboko, jak głęboko wbiłby się prawdziwy nóż. Kang Kil zamierzył się na mnie, czarne oczy miał utkwione w moich. Spojrzenie jest potężną bronią dobrych adeptów sztuk walki, zmusiłam się więc do skupienia uwagi na dłoni, w której dzierżył broń. Nagle skoczył do przodu szybko jak kot, mierząc nożem w mój brzuch. Byłam tak zaskoczona, że nie zdołałam nawet zablokować jego ramienia. Wepchnął mi nóż w podbrzusze, ostrze całkowicie zniknęło w rękojeści.

– Pierwsza runda dla Kang Kila! – krzyknął Kae. – Dalej, Ok Hwa! Skupcie się!

Rozgoryczona przyjąłam pozycję bojową i znów okrążałam przeciwnika. Tym razem naprawdę patrzyłam mu w oczy, mając nadzieję, że wyczytam z nich jego zamiary. Przekładał nóż z ręki do ręki, uśmiechając się złośliwie i czekając na właściwy moment. Pod wpływem impulsu obróciłam się na pięcie i wymierzyłam mu kopniaka w twarz z półobrotu. Ku mojemu zaskoczeniu dosięgłam celu. Kang Kil cofnął się z jękiem i zakrył ręką twarz. Natychmiast pospieszyłam z dwoma ciosami w mostek i mogłabym go wykończyć już wtedy, gdybym

tylko działała roztropnie. Ale zamiast uderzyć kolanem w krocze albo kontrolowanym sierpowym w gardło, tak by sędziowie zawiesili rundę, chwyciłam go za rękę, w której trzymał nóż, a drugim ramieniem zablokowałam mu łokieć. Nacisk sprawił, że wypuścił nóż, który ja natychmiast podniosłam. Ale tymczasem Kang Kil otrząsnął się już po moim ataku i zanim się wyprostowałam, kopnął mnie wprost w klatkę piersiową. Przyjęłam uderzenie z pełną siłą. Odrzuciło mnie trzy metry w tył i wylądowałam sromotnie na tyłku. Kil natychmiast ruszył za mną, ale udało mi się przynajmniej utrzymać nóż. Podniosłam się ciężko i dźgnęłam przeciwnika. Zatrzymał się, robiąc unik, a potem przyjął pozycję bojową. Znow się okrążaliśmy, ale teraz to ja miałam przewagę.

Kang Kil ruszył w moim kierunku, zmuszając mnie do odwrotu, i szykował się do kopnięcia. Był groźnym przeciwnikiem, zbudowanym jak skała, i wątpiłam, czy uda mi się przełamać jego gardę. Postanowiłam użyć fortelu. Pchnęłam nożem w jego stronę, tak by na moment spojrzął w górę. W tym ułamku chwili kopnęłam go w krocze, a zaraz po tym zadałam solidny cios w podbródek. Kang Kil, kompletnie zaskoczony, sam wylądował na tyłku!

– Koniec! – wrzasnął Kae. – Ok Hwa zwyciężyła!

Pomogłam oszołomionemu Kang Kilowi wstać. Ukłoniłam się i usiadłam w oczekiwaniu na werdykt.

– Dziewięćdziesiąt cztery! – krzyknął Rae Hong.

Było już późne popołudnie i tego dnia nie planowano więcej prób. Razem z Suk Hui wróciłam do domu,

a o dziewiętnastej obie już twardo spałyśmy. Zadziwiłam samą siebie. Pomyślałam, że może jednak jestem dobrym materiałem na agentkę specjalną.

Następny dzień był znacznie lżejszy niż pierwszy. Odbył się egzamin ze strzelania.

W pierwszej próbie mieliśmy za zadanie trafić z karabinu o dużej mocy do tarczy umieszczonej w odległości stu metrów. Mieliśmy po pięćdziesiąt strzałów. Trafiłam dokładnie w cel czterdzieści siedem razy. Suk Hui zdobyła pełne pięćdziesiąt trafień, podobnie jak wielu innych studentów. Wszyscy uzyskaliśmy wysokie wyniki.

Następnie egzaminowano nas ze strzelania z pistoletu, tyle że tym razem cel był oddalony tylko o dwadzieścia pięć metrów. Trafiłam czterdzieści sześć razy; lepsza była tylko Suk Hui, która znów zdobyła okragłą pięćdziesiątkę.

– Myślę, że znalazłaś swoją niszę – powiedziałam podczas obiadu.

– Cieszę się, że chociaż to jedno robię dobrze – odparła. – Po tym jak Yung Lee mnie wczoraj sponiewierał, nie byłam z siebie szczególnie dumna. No i, kurczę, jak mnie bolą nogi!

– Mnie też – odpowiedziałam z krzywym uśmiechem. Rzeczywiście, tego ranka ledwie podniosłam się z łóżka, taka byłam obolała. Że nie wspomnę o sińcach, które miałam po walkach z poprzedniego dnia.

Reszta dnia upłynęła nam w podobnej atmosferze.

Próbowaliśmy swoich sił w łucznictwie, miotaniu nożem i rzucaniu granatów. Poszło mi dość przyzwoicie we wszystkim poza łucznictwem, w którym zdobyłam jedynie osiemdziesiąt dwa punkty. Ale moja ogólna średnia ze sprawnościowej części egzaminu wciąż wynosiła sporo ponad dziewięćdziesiąt punktów, więc nie martwiłam się tym zbytnio.

Sprawdzano też nasze umiejętności jazdy samochodem. Mieliśmy za zadanie poprowadzić z wielką prędkością mercedesa przez tor przeszkód, który zawierał słupki, lód i zakręty o sto osiemdziesiąt stopni. Każdy z nas miał dwa podejścia. Bardzo dokładnie mierzono nam czas. Jazda samochodem zawsze mnie ekscytowała, ponieważ było to coś kompletnie nieznanego w codziennym życiu Korei Północnej. Na Zachodzie ludzie wszędzie jeżdżą samochodami, ale dla mnie to ciągle była nowość. Trzy lata trenowania jazdy wyszły mi jednak na dobre i ostatecznie zdobyłam dziewięćdziesiąt sześć punktów, drugi wynik w klasie.

Część sprawnościowa egzaminu była za nami, ukończyłam ją ze średnią 94,63 punktu. Tylko dwóch studentów uzyskało lepszy rezultat i tylko jedenasto z pierwotnej piętnastki przeszło do etapu pisemnego.

Pod wieloma względami test pisemny okazał się jeszcze trudniejszy niż sprawnościowy. Przeprowadzono go w dwóch czterogodzinnych częściach, dwa dni z rzędu. Tematyka była bardzo zróżnicowana.

Cały pierwszy dzień dotyczył filozofii i historii życia Kim Ir Sena. Nie był to test wielokrotnego wyboru. Zamiast tego dwieście niezwykle szczegółowych pytań, na które można było odpowiedzieć jednym słowem lub zdaniem, a potem trzy wypracowania na temat północnokoreańskiej ideologii socjalistycznej. Szczególnie te ostatnie pozwalały dokładnie określić, na ile dobrze zostaliśmy zindoktrynowani. Były tam takie polecenia jak: „Na nie więcej niż dziesięciu stronach opisz krótko kilka z wielu aspektów, pod którymi system władzy w Korei Północnej przewyższa kapitalizm”.

Drugiego dnia egzaminowano nas z wielu przedmiotów – matematyki, języków obcych i tak dalej. Jedną część poświęcono w całości zagadnieniom wojskowym, a były w niej pytania takie jak: „Jaki rewolwer preferuje kgb i ile pocisków on mieści?” lub „Podaj nazwy i specyfikacje wszystkich samolotów Armii Północnokoreańskiej”.

Bardzo się denerwowałam i na wiele pytań nie znałam odpowiedzi. Ponadto nie miałam pojęcia, co składało się na wymagane dziewięćdziesiąt punktów, nie było bowiem sposobu, by określić, jak oceniający będą ważyć poszczególne części testu. Pod koniec drugiego dnia części pisemnej – czyli po czwartym dniu egzaminu – byłam wykończona fizycznie i psychicznie. W tygodniu, w którym odbywał się egzamin, zwolniono nas ze wszystkich innych obowiązków, spałam więc po dziesięć godzin na dobę. Suk Hui była w podobnym stanie.

Ponieważ teraz było nas już tylko jedenaścioro, testy

oceniono szybko. Troje studentów zdyskwalifikowano, a z pozostałej ósemki uzyskałam drugą najwyższą średnią: 93 punkty. Suk Hui zdobyła 92,18 punktu. Trzymałyśmy kciuki: dwa za nami, jeszcze tylko jeden.

Ostatnia część egzaminu była chyba najtrudniejsza ze wszystkich. Powiedziano nam, że każdy z nas otrzyma indywidualnie dobrane zadanie, zależnie od roli, jaką danej osobie zamierzano powierzyć w służbach wywiadowczych. Każdego z nas posłano też do innego miejsca. Tę część egzaminu nazywano próbą terenową, ponieważ jej celem było możliwie dokładne odegranie scenariusza, który mógł nas jako agentów zaskoczyć w terenie.

Moja próba miała się odbyć w piątkowy wieczór, a rano tego dnia Rae Hong poinstruował mnie co do wymagań.

– Wasza misja rozpocznie się tuż przed zachodem słońca – powiedział. – Jakieś dziesięć kilometrów na północ od obozu przez górę Keumsung i sosnowy las Partia wybudowała dwupiętrowy budynek, który zaprojektowano tak, aby przypominał ambasadę obcego państwa, i który z tego powodu nazywamy właśnie ambasadą. Dostaniecie mapę terenu, a także plan budynku. Budynek jest otoczony murem, a teren patrolują strażnicy. Na planie znajdziecie pokój, w którym umieszczono sejf. W tym sejfie znajdują się dokumenty w języku japońskim. Waszym zadaniem będzie przeniknąć do ambasady, nauczyć się na pamięć treści tych dokumentów i wrócić, nie dając się złapać, do szóstej rano. Wszystko będzie dokładnie zasymulowane:

w sypialniach ambasady przebywać będą agenci udający personel dyplomatyczny. Strażnicy nie będą wiedzieli, kiedy macie się pojawić. To właśnie agenci przebrani za personel i ochroniarzy ocenią wasze działania. Wszystko będzie tak autentyczne, jak to tylko możliwe. Musicie uważać na alarmy, ukryte kamery i mikrofony; wszystko. Na potrzeby tej próby wyposażymy was w następujący sprzęt: dwa pistolety, karabin automatyczny AK-47, trzy noże, piankę w sprayu, linę z hakami, latarkę, stetoskop, noże do cięcia szkła, kompas i wytrych. Noże będą plastikowe, a broń załadowana pociskami z farbą, które uderzają, ale nie zadają ran. Również strażnicy będą wyposażeni w taką broń. Jeśli ktoś was postrzeli, zostaną wyraźne ślady. Jeśli ślady widnieć będą w kluczowych obszarach ciała, stosownie obniżymy wasz wynik. Broń będzie wyposażona w tłumiki; łącznie otrzymacie osiem magazynków do pistoletów i dwa do karabinu maszynowego. Ponieważ to także egzamin dla naszych strażników, wolno wam będzie w razie potrzeby pozbawić ich przytomności, no chyba że się wcześniej poddadzą. Chcemy, aby wszystko było tak realistyczne, jak to tylko możliwe. Kiedy już zdobędziecie dokumenty, waszym obowiązkiem będzie przeczytać je i nauczyć się ich na pamięć, zanim odłożycie je na miejsce. Po powrocie przepytamy was z ich zawartości. Jakież pytania?

Tak naprawdę miałam ich wiele, ale w tamtej chwili potrafiłam tylko wpatrywać się w niego z wyrazem osłupienia na twarzy. Nie mogłam uwierzyć, że wysyłają mnie

z taką misją. Dokładność, z jaką wszystko zaplanowali, zdumiewała mnie. W końcu odzyskałam głos:

– Przypuszczam, że inni studenci także zdawali ten test?

– Oczywiście – odparł. – Albo przynajmniej bardzo podobny. Jako agent w terenie musicie być w pełni przygotowana na każdą ewentualność i tylko poprzez takie próby możemy określić, kto jest absolutnie gotów do służby w wywiadzie. Właśnie po to utrzymujemy ten skądinąd bezużyteczny budynek.

– A co muszę zrobić – usiłowałam nadać temu pytaniu możliwie nieszkodliwe brzmienie – żeby zaliczyć tę próbę? Wszystko?

Zachichotał.

– Tego nie mogę wam powiedzieć. Najlepiej będzie, jeśli skupicie się na wypełnieniu całej misji. W terenie nie ma czegoś takiego jak „minimalne wymagania”, Ok Hwa. Albo wypełniacie powierzoną wam misję, albo nie.

Skinęłam głową, żeby pokazać, że rozumiem. Nie chciałam w jego obecności okazać niepewności, ale tak naprawdę żołądek podszedł mi do gardła. Zastanawiałam się, skąd niby mam wziąć tyle pewności siebie, by pomyślnie wypełnić zadanie. Ale właściwie jaki miałam wybór? Odmówić i zostać wyrzuconą z Partii? Będę musiała zacisnąć zęby i okazać determinację. Po prostu zrobić, co w mojej mocy.

Rae Hong wstał.

– Cóż, jeśli nie macie więcej pytań, zostawię was teraz

na całe popołudnie. Wszystko, czego potrzebujecie, dostarczę wam w ciągu kilku godzin: sprzęt, ubrania, wszystko. Wrócę około osiemnastej, żeby was oficjalnie odprawić. Tymczasem zalecam wam odpoczynek. Ach, i nie rozmawiajcie z nikim na ten temat. Zrozumiano?

Znów przytaknęłam i Rae Hong wyszedł. Wróciłam do sypialni i padłam na łóżko. O śnie nie było mowy. Byłam bardzo zdenerwowana. Trzęsłam się tak, że aż dzwoniły mi zęby. Owinęłam się kocami i przez kilka godzin kuliłam się żałośnie, lękając się każdej mijającej chwili. Nawet jeśli przez ostatnie parę dni byłam dość pewna siebie, to uczucie minęło. Cała moja przyszłość w Partii zależała wyłącznie od tej jednej nocy i bardzo się bałam, że zawiodę.

Suk Hui nie wróciła przez całe popołudnie i dobrze się stało. Nie sędzę, żebym była w stanie zatrzymać swoje obawy dla siebie, i pewnie wyjawiałabym jej wszystko. Prawdopodobnie i ona zdawała w tym czasie swój egzamin. Miałam nadzieję, że dobrze sobie radzi.

Popołudnie mijało. Udało mi się zdrzemnąć chwilę, zanim ostatecznie wstałam o 17.30. Weszłam do pokoju dziennego, gdzie ktoś zostawił dużą torbę. Znalazłam w niej wszystko, co trzeba: broń, ubrania, przybory. Z ciężkim sercem wróciłam do sypialni, by się przebrać.

Dostarczono mi czarny kombinezon, czarne buty i czarną maskę z pończochy, która odsłaniała jedynie oczy, jak u jakiegoś dawnego wojownika ninja. Była też kabura na ramię na jeden pistolet i podobna na biodra, na drugi.

Oprócz tego dostałam pas, w którym mogłam ukryć noże, latarkę i kilka magazynków amunicji.

Miałam też plecak na linę, stetoskop i pozostałą amunicję, nie wspominając o piance do ukrytych kamer.

O osiemnastej byłam zwarta i gotowa. Wówczas też pojawił się Rae Hong. Spojrzał na mnie z zadowoleniem i oświadczył, że żałuje, iż nie zabrał aparatu.

Nie byłam w nastroju do żartów. Ubrania były wygodne, ale w masce i z karabinem AK-47 przewieszonym przez ramię czułam się po prostu idiotycznie.

– No cóż, towarzyszeko Ok Hwa – oświadczył Rae Hong, spoglądając na zegarek. – Macie dwanaście godzin na wypełnienie zadania. Powodzenia!

– Dziękuję, proszę pana – wymamrotałam zza maski i wyszłam na zewnątrz.

Był bezchmurny wieczór, cienie powoli się wydłużały. Ruszyłam żwawo z obozu, idąc wzdłuż szlaku wiodącego przez górę Keumsung i dalej, w głąb sosnowego lasu. Nauczyłam się trasy do ambasady na pamięć, ale i tak na wszelki wypadek zabrałam obie mapy. Zlokalizowałam też sejf – znajdował się w bibliotece.

W lesie było znacznie ciemniej, a ja miałam za przewodnika tylko kompas. Wsłuchiwałam się w znajome odgłosy lasu o zmierzchu – milknące chóry kosów, przemykanie się drobnej zwierzyny ruszającej na łowy. Nasłuchiwałam też nieco cięższych kroków tygrysa. Spotkanie go tutaj nie było niemożliwe.

Wkrótce zrobiło się zupełnie ciemno. Szłam tak cicho,

jak to możliwe, niemal pewna, że tajni wysłannicy Rae Honga czyhają gdzieś w pobliżu, śledzą mój każdy krok. Używałam latarki, ale gdzie tylko było to możliwe, przesłaniałam strugę światła dłonią. W lesie zapadła cisza nocna.

Brnęłam tak przez całą wieczność. Upiorna cisza, przerywana tylko od czasu do czasu podmuchami wiatru w gałęziach drzew, była naprawdę niepokojąca. Wiedziałam, że część tego egzaminu to test wytrzymałości psychicznej i że samotne pokonanie kilkukilometrowej drogi nocą przez las jest już samo w sobie sporym osiągnięciem. Często miałam ochotę uciekać – tylko dokąd? Nigdzie w pobliżu nie było żadnego schronienia, jedyną alternatywą byłoby więc zawrócić. Na to jednak nie byłam jeszcze gotowa.

Nagle w oddali dostrzegłam migoczące między drzewami światło. Natychmiast wyłączyłam latarkę i przypięłam ją sobie do pasa. Schowałam też kompas i teraz skradałam się po cichu, od jednego pnia do drugiego. Po jakichś dziesięciu metrach znalazłam się na skraju lasu: spoglądałam teraz na bramę wjazdową na teren ambasady.

W murze po obu stronach bramy umieszczono lampy, pod każdą z nich stał strażnik. Była tam też niewielka oświetlona od wewnątrz wartownia. Teren otoczony był wysokim na jakieś cztery i pół metra murem pokrytym białym stiukiem. Za nim, o ile dobrze zapamiętałam z mapy, rozciągały się klomby i szeroki trawnik schodzący

ku samemu budynkowi widocznemu w oddali.

Przez jakiś czas obserwowałam strażników. Wyglądało na to, że poza tymi dwoma na służbie, w wartowni jest jeszcze jeden, który z całą pewnością miał połączenie telefoniczne z ambasadą. Po chwili pojawił się też patrol – trzech mężczyzn, którzy rozmawiali między sobą, a przechodząc, pokiwali do wartowników.

Pozostając wciąż w cieniu drzew, zbliżyłam się do umocnień na prawo od bramy. Dotarwszy do narożnika, skręciłam wzdłuż drugiej ściany – wiodła w kierunku samego budynku. Pojawił się kolejny patrol, skryłam się więc na powrót w cieniu. Kiedy zniknęli mi z oczu, zamontowałam hak na końcu liny, wyszłam z lasu i przerzuciłam ją przez mur. Hak się zaczepił. Wspięłam się na ścianę, gdzie zatrzymałam się na chwilę, by zebrać linę, a potem przeskoczyłam na drugą stronę.

Znalazłam się na trawniku ambasady, jakieś trzydzieści metrów od budynku i sześćdziesiąt od bramy. Przykucnęłam. Wzdłuż zwirowanej drogi dojazdowej w regularnych odstępach umieszczono latarnie, światło padało też z wnętrza budynku. Dostrzegłam przemierzający się wzdłuż niego patrol; oddalał się ode mnie. Rzuciłam się biegiem wzdłuż muru w kierunku ambasady.

Zbudowano ją w neoklasycznym stylu, z greckimi kolumnami i szerokim tarasem przed wejściem. Dzielilo mnie od niego jakieś piętnaście metrów trawnika. Spoglądając w okna, dostrzegłam jasno oświetlony pokój – bibliotekę. W tym momencie zdecydowałam się wycią-

gnąć plan i raz jeszcze go przestudiować, skulona w ciemnościach. Nad biblioteką znajdował się taras okolony kamienną balustradą, na który wychodziło się z apartamentu dla gości. Wszystkie okna na górze były ciemne. Zważywszy, że sejf mieścił się w bibliotece, to mogła być dla mnie najlepsza droga.

Raz jeszcze zajrzałam do biblioteki. Właśnie wszedł służący, podawał teraz herbatę osobie lub osobom, których nie widziałam. Czy powinnam zaczekać, aż pomieszczenie się wyludni, czy też natychmiast wejść do budynku i schować się gdzieś wewnątrz? Postanowiłam wejść od razu. Zaczynałam marznąć, poza tym sypialnie i tak pewnie byłyby później zajęte. Wejście zaś z zewnątrz wprost do biblioteki byłoby głupotą, nawet gdyby była pusta, bo niemal na pewno w środku znajdowały się kamery.

Tylko jak dostać się na taras? Przeszłam nieco dalej, uważając przy tym na ewentualne odrutowanie, i wkrótce na tyłach budynku dostrzegłam rynnę. Rozejrzałam się wokół, a gdy nikogo nie zauważyłam, pochylona ruszyłam biegiem przez trawnik. Dotarłam do ściany, przywarłam doń i raz jeszcze rozejrzałam się w poszukiwaniu strażników. Do narożnika na drugim końcu ściany najwyraźniej zbliżał się patrol: słyszałam kroki i ściszone głosy. Natychmiast chwyciłam rynnę i zaczęłam się wspinać, kawałek po kawałku, aż na samą górę. W tej samej chwili, gdy rzuciłam się przez balustradę, zza rogu wyłonili się strażnicy. Z bijącym sercem przywarłam do ozdobnej poręczy. Jeszcze chwila, a byliby mnie zobaczyli.

Mój wzrok znów padł na okna sypialni. Nadal były ciemne, zbliżyłam się więc do nich niepostrzeżenie, stąpając lekko, tak by nie było mnie słychać na dole w bibliotece. Spróbowałam otworzyć pierwsze okno. Było zamknięte albo zablokowane, przeszłam więc na drugą stronę drzwi i spróbowałam tego samego z kolejnym. Także i to było zamknięte.

W końcu wypróbowałam drzwi: były nie tylko zamknięte, ale też miały na szybach charakterystyczne paski alarmu. Wejście przez nie nie było więc dobrym pomysłem.

Wróciłam do pierwszego okna. Wyjęłam z plecaka nóż do szkła i wycięłam dziurę w szybie powyżej miejsca, gdzie, jak się spodziewałam, powinien znajdować się zamek. Wyjęłam szkło, sięgnęłam do środka i znalazłam haczyk. Otworzyłam go i okno podniosło się z łatwością. Zyskałam dostęp do budynku.

Wśliznęłam się do środka, zamykając za sobą okno. Wycięty kawałek szkła wsunęłam na miejsce tak, by trzymał się względnie pewnie. Potem rozejrzałam się po pokoju.

Niewiele mogłam zobaczyć, poza tym, że sypialnia jest pusta. Pod ścianą stało kunsztowne łóżko z baldachimem, a w ścianie znajdował się kominek ze zdobionym gzymsem. W oknach wisały aksamitne zasłony. Trudno było ocenić, czy sypialnia jest obecnie używana. Widać było troje drzwi: jedno prowadziły do garderoby, drugie do łazienki, a trzecie do głównego ko-

rytarza na piętrze. Te ostatnie były lekko uchylone, wyjrzałam więc przez szparę na zewnątrz. Korytarz był rzęście oświetlony i ciągnął się jakieś dwadzieścia metrów w głąb budynku. Gdzieś w połowie znajdowały się schody. Otworzyłam drzwi kilka centymetrów szerzej, próbując przypomnieć sobie plan. Zaraz za nimi znajdowały się drzwi do dwóch innych sypialni, po jednej z każdej strony korytarza, i kolejna para jakieś pięć metrów dalej. Głębiej były schody, a za nimi kolejne pięć drzwi, po parze z każdej strony i jedno na końcu, dokładnie na wprost mnie.

Zamknęłam drzwi i zerknęłam na zegarek. Była dwudziesta druga. O północy pracownicy ambasady będą już prawdopodobnie w łóżkach. Do tego czasu muszę po prostu poczekać.

Otworzyłam drzwi garderoby i włączyłam latarkę. Wnętrze było ogromne, pełne sukien wieczorowych i garniturów w zachodnim stylu. Weszłam głębiej i schowałam się za zasłoną z drogiej tkaniny, gasząc latarkę. Jeśli pokój faktycznie był zamieszkały, będę musiała poczekać, aż jego lokatorzy zasną, zanim zejdem na dół. W tamtej chwili nie mogłam znaleźć lepszej kryjówki – przejście korytarzem byłoby zbyt ryzykowne.

Minęła godzina. Nagle uderzyła mnie absurdalność mojego położenia. Oto ja, kobieta raptem dwudziestojednoletnia, skradam się przez fałszywą ambasadę, żeby zdać egzamin na agentkę wywiadu! Jakże to było dalekie od zwykłego życia, które dawniej znałam, od mojej matki i jej

domowych posiłków, od ojca odpoczywającego w wygodnym fotelu po obiedzie, gadatliwej siostry i braci! Co też oni teraz robią? Może myślą o mnie?

Moje rozmyślenia zostały przerwane, kiedy drzwi do sypialni otwały się i rozbłysło światło. Usłyszałam kroki i głosy – mężczyzny i kobiety. Mówili po japońsku, choć nie byłam w stanie dokładnie ich zrozumieć. Zdenerwowałam się, serce waliło mi jak szalone. Usiłowałam wycofać się jak najdalej w głąb garderoby, przez co uderzyłam karabinem o ścianę. Głos kobiety stał się donośniejszy i raptem w garderobie rozbłysło światło. Mimo że stałam za zasłoną ubrań, zaboląły mnie oczy. Kobieta śmiała się, mówiąc, jak mi się wydawało, o przekleństwie, jakim było mieszkanie w Kairze przez sześć miesięcy. Wieszaki przesunęły się w moją stronę, ubrania napierały na mnie. Zaszleściła zdejmowana suknia, którą kobieta odwiesiła na miejsce. Potem, zdaje się, wzięła coś z innego wieszaka i nagle światło zgasło, pogrążając mnie w ciemności. Jej głos się oddalił. Zastanawiałam się, czy teraz z kolei pojawi się mężczyzna, ale gdy minuty mijały, zrozumiałam, że tak się nie stanie. Wydawało mi się, że światła w sypialni zgasły, a kilka chwil później zaległa cisza.

Wciąż waliło mi serce. Teraz będę musiała zaczekać jeszcze co najmniej pół godziny, zanim stąd wyjdę, tak by pozwolić tej parze usnąć. Zamknęłam oczy i oparłam głowę o ścianę. Wyglądało na to, że w najlepszym wypadku działałam na chybił-trafił, ale co innego mogłam zrobić w tak krótkim czasie? Nie pora na rozważania, gdy

najważniejsze jest działanie.

Kiedy upłynęło wystarczająco dużo czasu, ostrożnie rozsunęłam ubrania. Drzwi garderoby zostawiono uchylone, nasłuchiwałam więc przez chwilę, a potem je pchnęłam. Oczy przywykły już do ciemności, byłam więc w stanie wyraźnie rozpoznać łóżko nie więcej niż cztery metry ode mnie. Kształty dwojga ludzi były zaledwie niewyraźnymi plamami w mroku. Mężczyzna głośno chrapał. Zaczęłam czołgać się po dywanie w stronę drzwi.

Nagle usłyszałam głośne sapnięcie. Natychmiast się odwróciłam. Kobieta siedziała na łóżku. Chwilę później zapaliło się światło, zamrugałam boleśnie pod wpływem nieznośnego blasku.

– Zamknij się – warknęłam po japońsku, podchodząc do niej z wyciągniętym pistoletem. Była Azjatką w średnim wieku, z trwałą w zachodnim stylu. Miała na sobie bardzo elegancką halkę w kolorze moreli. Otworzyła usta, a dłonie przycisnęła do twarzy. Kiedy się zbliżyłam, nagle uśmiechnęła się i opuściła ręce.

– Już dobrze – odezwała się po koreańsku. – W tym momencie jesteśmy już martwi albo nieprzytomni. Możesz nas uznać za wyeliminowanych.

Zawahałam się.

– Nie martw się, Ok Hwa – ciągnęła uspokajająco. – Spodziewaliśmy się ciebie prędzej czy później. Jestem pod wrażeniem, że mnie nie zastrześliłaś.

Uśmiechnęłam się spod maski.

– Mam nadzieję, że przynajmniej zgasisz światło

i będziesz cicho.

– Oczywiście – odparła. – Powodzenia!

Przez cały ten czas mężczyzna chrapał i nie wyglądało na to, by słyszał cokolwiek. Opuściłam broń i ruszyłam w kierunku drzwi. Światło zgasło.

Wyślizgnęłam się na korytarz. Paliło się zaledwie kilka przyćmionych świateł. Przekradłam się w stronę schodów, które spływały na pierwsze piętro szerokim łukiem. Miały marmurowe stopnie, ale moje buty o miękkiej podeszwie nie robiły hałasu. Z pistoletem w dłoni stapałam cicho w dół, w kierunku obszernego przedpokoju, wprost na strażnika, który siedział za biurkiem przy drzwiach wejściowych.

Spostrzeżliśmy się nawzajem w tym samym momencie, ale zanim on zdążył drgnąć, ja uniosłam broń i strzeliłam do niego kilka razy. Naboje z farbą rozprysły mu się na koszuli i lewym policzku, a już po chwili wyszczerzył zęby w uśmiechu i padł na ziemię.

U dołu schodów rozejrzałam się. Słabo oświetlone korytarze rozchodziły się na prawo i lewo, każdy obramowany szeregiem drzwi. Na końcu lewego korytarza za zamkniętymi drzwiami znajdowała się biblioteka. Pod drzwiami nie widać było smugi światła, założyłam więc, że w pomieszczeniu nikogo nie ma. W tym momencie spojrzałam w górę i dostrzegłam kamerę wycelowaną we mnie z przeciwległego końca pomieszczenia. Natychmiast zanurkowałam poniżej linii jej ujęcia i przetoczyłam się pod ścianę, zauważając przy okazji elektryczne oko umiesz-

czone zaledwie metr nad ziemią w miejscu, gdzie się zatrzymałam. Serce znów zaczęło mi walić. Nie działałam wystarczająco metodycznie i następny mój błąd mógł się okazać ostatnim. Kiedy kamera przesunęła się w innym kierunku, wstałam i rzuciłam się korytarzem w kierunku biblioteki. Drzwi były zamknięte. Zaczęłam po omacku szukać wytrychu. Minęła cała minuta, zanim zdołałam otworzyć drzwi i wśliznąć się do środka, po czym zamknęłam je za sobą.

Włączyłam latarkę. Sejf powinien był się znajdować za obrazem, tuż za drzwiami. Przebiegałam snopem światła po ścianach, aż natrafiłam na akwarelowy krajobraz, który zdawał się odpowiadać opisowi. Zdjęłam go i rzeczywiście pod spodem znalazłam sejf.

Odłożyłam plecak. Wyjęłam stetoskop i przyłożyłam go do drzwi sejfu. Przekręciłam pokrętło szyfru, wsłuchując się w jego obroty i przesuwając za każdym razem, gdy rozlegało się charakterystyczne stuknięcie. Jeszcze minuta i sejf stanął przede mną otworem.

Sięgnęłam do środka, natrafiając na pojedynczą kartkę papieru. Porwałam ją natychmiast i zaczęłam czytać.

„Ok Hwa – głosił japoński tekst – jesteś w pół drogi do mety! Kiedy jutro rano zobaczysz instruktora Rae Honga, masz mu powtórzyć te słowa tak dokładnie, jak potrafisz. Powodzenia”.

Odkładając kartkę na miejsce, czułam radosne uniesienie. Zamknęłam sejf i przekręciłam zamek. Odwiesiłam obraz na miejsce. Ostatecznie to szalone zadanie naprawdę

mogło mi się udać!

W tej samej chwili usłyszałam zgrzyt żwiru i zobaczyłam, jak pod ambasadę podjeżdża z wielką prędkością wojskowy jeep. Zszokowana zgasiłam latarkę i podbiegłam do okna. Jak to możliwe, że już wiedzą?

I wtedy do mnie dotarło: ja uniknęłam spojrzenia kamery, ale bezwładne ciało strażnika na pewno nie.

Jeep zahamował z piskiem, ze środka wyskoczyło dwóch mężczyzn. Usłyszałam, jak otwierają się drzwi frontowe, i to wreszcie poderwało mnie do działania. Musiałam się stąd wydostać.

Szybko sprawdziłam okna: wszystkie były zamknięte, a nawet zamalowane farbą na stykach. Nie byłam w stanie wyrwać drewnianych ram. Jediną drogą ucieczki był korytarz, którym tu weszłam.

Ale właśnie stamtąd dochodziło teraz dudnienie kroków i już chwilę później drzwi otworzyły się z hukiem. Przykucnęłam w oczekiwaniu. Pomieszczenie tonęło w ciemnościach, jeszcze mnie nie zauważyli. Przygotowałam pistolet.

Nagle rozbłysło światło. Natychmiast wystrzeliłam kilka razy w kierunku stojących w drzwiach strażników. Upuścili broń i osunęli się na ziemię pokryci czerwoną farbą. Wstałam i rzuciłam się biegiem na zewnątrz, wciśkając po drodze kolejny magazynek do pistoletu.

Pamiętałam o elektrycznym oku w przedpokoju, przetoczyłam się więc poniżej linii jego zasięgu, ale mogłam nie zawracać sobie tym głowy. Ci dwaj strażnicy za-

alarmowali oczywiście cały budynek i teraz słyszałam kroki na górze i krzyki na zewnątrz. Wypadłam przez drzwi frontowe i rzuciłam się biegiem przez taras w kierunku trawnika. Brama z całą pewnością była nadal strzeżona, jedyną moją nadzieją było więc wydostać się tą samą drogą, którą weszłam: wspinając się na mur. Ale przebyłam ledwie kilka metrów, gdy zza narożnika domu wyłonił się trzyosobowy patrol. Strażnicy padli na ziemię, czołgając się na brzuchach z karabinami maszynowymi w dłoni. Schowałam się za dorycką kolumną, a grad pocisków z farbą uderzył w kamienną ścianę tuż obok mnie. Jedną ręką zdjęłam z ramienia AK-47 i wypuściłam w ich kierunku salwę, w drugiej dłoni wciąż dzierżąc pistolet. Potem rzuciłam się biegiem przez taras, od czasu do czasu oddając serię strzałów. Usłyszałam krzyk zaskoczenia i bólu. Musiałam trafić jednego z nich! Przeskoczyłam przez balustradę wprost na trawnik. Dwaj strażnicy rzucili się w pościg, strzelając z karabinów maszynowych – kilka pocisków świsnęło mi pod nogami. Odwróciłam się i opróżniłam w ich kierunku resztę magazynku AK-47. Chybiłam, ale byli zmuszeni paść na ziemię, przez co zyskałam trochę czasu. Dotarłam do muru, którego długi cień kładł się w poprzek trawnika, i przez chwilę biegłam wzdłuż niego, ufna, że ciemność mnie ukryje. Wreszcie się zatrzymałam i raz jeszcze załadowałam AK-47. Wyciągnęłam linę, przerzuciłam ją przez mur i ciągnęłam, aż hak znalazł oparcie. Karabin i plecak zarzuciłam na ramiona. I wtedy usłyszałam odgłos, który zmroził mi krew: roz-

szalałe, niesłabnące ani na chwilę ujadanie rozwścieczonych psów.

Wypuszczono je z domu. Zbliżały się.

Przerażona zaczęłam wspinać się po murze. Ze strachu ręce miałam słabe i miękkie jak guma, stopy ślizgały się po kamieniach. Rozległ się krzyk: zauważyli mnie. Psy były coraz bliżej. Dysząc desperacko, podciągnęłam się na szczyt muru i przeskoczyłam na drugą stronę, upadając ciężko. Chwilę później psy ujadały w miejscu, gdzie dopiero co stałam.

Zatrzymałam się, by złapać oddech, a potem ruszyłam biegiem w kierunku lasu. W prawej ręce miałam pistolet, oczekiwałam pojawienia się strażników. Jak można się było spodziewać, niecałe dziesięć metrów od południowo-wschodniego narożnika zobaczyłam kolejny patrol. Krzyknęłam i wypuściłam w ich kierunku siedem czy osiem niekontrolowanych serii. Próbowali się wycofać, ale strzelałam bez przerwy, aż do momentu, gdy magazynek był pusty, a strażnicy leżeli jeden na drugim skapani w czerwonej farbie.

– Dobra robota! – usłyszałam, mijając ich.

Ruszyłam w głąb lasu, dzierżąc w wolnej dłoni latarkę. Czułam się tak, jakby pękło mi serce, i wiedziałam, że koniecznie muszę odpocząć. Najpierw jednak wolałam oddalić się nieco od terenu ambasady. Mimo że niechętnie, musiałam jednak użyć latarki. Nie miałam wyboru. W przeciwnym razie wpadłabym na pierwsze lepsze drzewo.

Przebyłam dalsze sto metrów i zatrzymałam się. Przykucnęłam oparta o jakiś pień i zgasłam latarkę. Jeszcze nigdy w życiu nie byłam tak zdyszana, serce waliło mi w klatce piersiowej i gardle jak karabin maszynowy. W oszołomieniu przeładowałam broń, zastanawiając się, ile jeszcze minie, zanim będę mogła ruszyć dalej.

Nie miałam zbyt wiele czasu na rozmyślania. Wkrótce znów usłyszałam zbliżające się ujadanie – psy szły moim śladem.

Dźwignęłam się na nogi i ruszyłam przed siebie. Wiedziałam, że psy będą trzymane na smyczy, nie będą się zatem przemieszczać szybciej niż ścigający mnie ludzie. Na powrót włączyłam latarkę i zaczęłam przemykać się między drzewami. Jeszcze kilka minut, zanim złapią mój trop – wystarczy, by je zgubić, oczywiście jeśli zrobię wszystko jak należy.

Pół kilometra dalej natrafiłam na strumyk szeroki ledwie na metr. Weszłam doń i brodziłam w górę, stopy sztywniały mi w lodowatej wodzie. Uszłam tak ze sto pięćdziesiąt metrów, a potem wyskoczyłam na drugi brzeg i brnęłam dalej przez las. Szukałam drzewa, na które mogłabym się wspiąć, i na szczęście w lesie takich nie brakowało.

Pięć minut później siedziałam już na szczycie ogromnego modrzewia. W oddali wciąż słyszałam szczekanie psów, widziałam błyski latarek, ale wyglądało na to, że prześladowcy, nawet jeśli faktycznie podążali moim tropem, zgubili go przy strumyku. Czekałam

i wyrównywałam oddech, a oni oddalali się w kierunku ambasady. Odwołali poszukiwania.

Odetchnęłam z ulgą, przez kilka minut nawet płakałam. Byłam skrajnie wyczerpana fizycznie i psychicznie. Spojrzałam na zegarek: 2.20. Wciąż miałam do przejścia wiele kilometrów, a zostały mi jedynie cztery godziny. Zeszłam z drzewa, wyciągnęłam kompas i latarkę. Już czas ruszać w drogę.

Szłam mechanicznie, stawiając nogę za nogą siłą przyzwyczajenia. Cała lepiłam się od potu i teraz w chłodnym nocnym powietrzu odczuwałam przejmujące zimno. Nie myślałam o niczym szczególnym, już się nawet nie spieszyłam. W głowie miałam pustkę. Byłam w stanie jedynie tępo przeć do przodu w nadziei, że niebawem dotrę do obozu.

Była piąta, gdy wreszcie trafiłam na szlak wiodący przez górę Keumsung. Nogi, a w szczególności kolana i kostki, pulsowały mi z bólu, czułam, jak rośnie mi gorączka. Wlokłam się w dół wzdłuż szlaku, aż dotarłam na dziedziniec. Czułam taką ulgę, że chciało mi się płakać, chciałam już tylko dotrzeć do łóżka i spać przez cały kolejny dzień, czy nawet dwa. Otworzyłam drzwi do domu i potykając się, weszłam do środka.

Rae Hong i Myung czekali na mnie, drzemiąc na kanapie. Teraz na mój widok przebudzili się i wpatrywali we mnie wyczekująco.

Nazajutrz, po przeanalizowaniu wszystkich raportów,

za próbę w terenie przyznano mi dziewięćdziesiąt osiem punktów – jeden z najwyższych wyników, jakie dotąd zanotowano. Jedynym powodem, dla którego nie otrzymałam maksymalnej liczby punktów, był fakt, że zastrzeżyłam zbyt wielu strażników i ogólnie narobiłam rabanu.

Ale w tamtym momencie mogłam tylko powtórzyć jak maszyna słowa, które jakimś sposobem wryły mi się w pamięć kilka godzin wcześniej:

– Ok Hwa, jesteś w pół drogi do mety! Kiedy jutro rano zobaczysz instruktora Rae Honga, masz mu powtórzyć te słowa tak dokładnie, jak potrafisz. Powodzenia.

Ostatnim, co zobaczyłam, zanim zemdlona padłam na ziemię, był jego uśmiech.

ROZDZIAŁ PIĄTY

W okresie pomiędzy werbunkiem do wywiadu a wysadzeniem samolotu Korean Air 858 powierzono mi dwie bardziej znaczące misje, które miały być wstępnym sprawdzianem moich umiejętności jako szpiega.

Pewnego dnia w lipcu 1984 roku, kiedy byłam już ekspertem zarówno w walce wręcz, jak i z użyciem broni, odwiedził mnie agent specjalny Chung. Przyjechał czarnym mercedesem wcześniej rano. Była niedziela, mój wolny dzień, relaksowałam się więc w bibliotece, czytając dwudziesty szósty tom *Pism wybranych Kim Ir Sena*. Kiedy Wol Chi wprowadziła Chunga, byłam tak zaskoczona jego nieoczekiwanym pojawieniem się, że dosłownie zeskoczyłam z krzesła.

– Towarzyszko Ok Hwa – powitał mnie przyjaźnie, wyciągając rękę – dobrze znów was widzieć. Rozumiem, że całkiem nieźle sobie tu radzicie.

– Dziękuję, proszę pana – odparłam, ściskając mu dłoń.

– Spakujcie się w ciągu piętnastu minut – ciągnął dalej. – Tylko kilka ubrań, nic więcej. Spotkamy się na zewnątrz.

– Oczywiście – odparłam, próbując bez powodzenia ukryć obawę i zaskoczenie. – Zaraz tam będę.

Już niebawem czarny mercedes sunął górską drogą. Chung zadał kilka uprzejmych pytań o to, jak sobie radzę,

ale nie powiedział ani słowa o tym, dokąd jedziemy i dlaczego. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie zostałam przypadkiem wydalona z obozu i deportowana – naturalna obawa każdego obywatela Korei Północnej, którego nagle odwiedza przedstawiciel Partii. Ale mimo powściągliwości Chung miał dobry humor i w końcu zważyłam, by mogło to być aresztowanie.

Dotarliśmy do kwatery głównej służb wywiadu, gdzie skierowano mnie do biura Kwanga, szefa wydziału. Kwang był wysokim, młodym i przedwcześnie łysiejącym mężczyzną. Mimo że znajdowaliśmy się wewnątrz budynku, miał okulary przeciwsłoneczne. W pomieszczeniu poza nim był także niski, starszy mężczyzna o przydługawych, siwych włosach i twarzy przypominającej zmięty pergamin. Obaj wstali, kiedy weszliśmy; starszy zrobił to z widocznym trudem.

Kwang przedstawił mi go. Nazywał się Kim Seung Il.

– To jeden z najwybitniejszych agentów specjalnych w historii wywiadu zagranicznego. Traktujcie go jak własnego dziadka, Ok Hwa. Spędzicie razem dużo czasu.

Kiedy wszyscy zajęliśmy już miejsca, Kwang wyjaśnił cel naszego spotkania.

– Panie Kim, panno Kim, nadchodzący miesiąc spędzicie za granicą. Waszym celem, Ok Hwa, jest zdobycie doświadczenia w terenie. Odwiedzicie wiele miast w Europie i Azji, aby nabrać wprawy w podróżowaniu po świecie w przebraniu. Już czas poznać inne kultury, musicie więc, towarzyszeko, robić w podróży dokładne notatki.

Będzie to doskonała okazja, by pokazać, że w nadchodzących latach możemy powierzyć wam ściśle tajne misje.

Będziecie podróżować jako Japończycy, ojciec i córka. Oboje znacie biegle japoński i jako turyści w Europie będziecie doskonale zakamuflowani. Odwiedzicie Moskwę, Budapeszt, Wiedeń, Kopenhagę, Frankfurt, Zurych, Genewę, Paryż, Makau, Kanton i Pekin. W krajach komunistycznych będziecie używali paszportów dyplomatycznych Korei Północnej, ale na Zachodzie będziecie się posługiwali fałszywymi japońskimi paszportami wystawionymi na nazwiska Shinichi i Mayumi Hachiya. Shinichi będzie wiceprezesem Ohoi Transportation, a Mayumi absolwentką college'u dla kobiet Aoyama z dyplomem z prowadzenia domu. Dokładne dane znajdziecie w aktach, które wam dostarczymy. Na chwilę obecną to są najważniejsze informacje. Ok Hwa, powinienem dodać, że ostatni etap podróży z Europy do Chin odbędziecie samodzielnie. Seung Il zostanie w Paryżu o jeden dzień dłużej, a potem poleci sam do Seulu, gdzie ma do wypełnienia własną misję. Wasza podróż do Makau, towarzysząco, po pierwsze odwróci uwagę tych, którzy mogliby się w tym czasie zainteresować waszą dwójką, po drugie zaś powie nam, czy można pozwolić wam podróżować samodzielnie.

Słuchałam go, czując coraz większe podniecenie. Wreszcie, po niekończących się latach szkolenia, miałam być wysłana w teren! W Keumsung zdarzali się adepci,

którzy na pierwszą misję czekali po dziesięć czy nawet piętnaście lat, a ja czekałam zaledwie cztery. Rzecz jasna czułam też lęk i obawy, czy podołam tak wielkiej odpowiedzialności. Moją pierwszą i ostatnią zagraniczną podróżą był wyjazd na Kubę, zaś większość obywateli Korei Północnej nigdy nie opuszcza kraju. Wszystkie szczegóły, które ta podróż za sobą pociągała – lotniska, hotele, wymianę pieniędzy – wydawały mi się zbyt trudne. Nie wspominając już o tym, że mieliśmy wjeżdżać do krajów zachodnich nielegalnie, jako szpiegzy wroga.

Zanim przygotowania do podróży zostały zakończone, minęło kilka tygodni. W tym czasie studiowałam japońskie magazyny i filmy, by mieć pewność, że moje sukienki, makijaż i codzienne maniere będą wyglądały jak najautentyczniej. Kazano mi także przeczytać całą serię przewodników turystycznych. Przyswoiwszy te wszystkie informacje, poczułam się naprawdę pewna siebie i gotowa. Zaczynałam wierzyć, że jestem na dobrej drodze, by zostać mistrzem wywiadu, jak ci legendarni radzieccy i północnokoreańscy agenci, o których uczyliśmy się z filmów. Byłam z siebie bardzo dumna. Podczas gdy większość kobiet w moim wieku mogła marzyć najwyżej o zostaniu gospodynią domową, ja miałam podróżować po świecie. Nie miałam pojęcia, jak inaczej potoczy się mój los.

Europejska część wyprawy wydaje mi się teraz mglistym wspomnieniem. Jakie były moje wrażenia

z pierwszego zetknięcia się z kapitalistycznymi krajami? Uderzała mnie czystość miast, funkcjonalność instytucji. Przede wszystkim jednak byłam zdumiona obfitością i różnorodnością dóbr dostępnych w sklepach. Mimo że towary luksusowe jak choćby biżuteria były mi zupełnie nieznane, to bogactwo jedzenia najbardziej mnie zaskakiwało. Tyle tego było!

Muszę jednak przyznać, że mimo wszystko zachowałam głęboko zakorzenione przekonanie, że europejskie miasta są zepsute, dekadentkie i gorsze od naszych. W Kopenhadze i Paryżu odrażające wydawały mi się wszechobecne sklepy z pornografią i częsty widok prostytutek. W Szwajcarii oburzało mnie ostentacyjne zachowanie absurdalnie bogatych ludzi – ich futra z norek, limuzyny marki Daimler i diamentowe kolczyki. Przez dwadzieścia dwa lata byłam przecież wychowywana w przekonaniu, że wszystko, co zachodnie, jest złe, patrzyłam więc teraz na ten nowy świat odpowiednio zaprogramowanymi oczyma.

Również nasz kamuflaż uniemożliwiał mi należyty odbiór odwiedzanych miejsc. Już samo podróżowanie za granicę było dziwne i skomplikowane, a nawet przerażające, a do tego byłam nieustannie pochłonięta koniecznością udawania, odgrywania roli kogoś innego. Mimo że razem z Seung Ilem odwiedzałam wszystkie bardziej znaczące atrakcje turystyczne, co było konieczne dla zachowania pozorów, to na widok policjanta nie potrafiłam opanować zdenerwowania. Szczególnie niepokojąca była

też wszechobecność japońskich turystów, którzy próbowali niekiedy wciągnąć nas w rozmowę. Przez całą podróż odczuwałam więc podskórne napięcie.

Nie mogłam jednak pozostać obojętna wobec piękna Europy. Szwajcarskie widoki zapierały dech w piersiach. Zakochałam się w Alpach od pierwszego wejrzenia, a nasz hotel nad Jeziorem Genewskim był jakby żywcem wyjęty z pocztówki. Pamiętam, że spotkaliśmy tam grupę turystów z Indii: w zadziwieniu dotykali śniegu, którego nigdy wcześniej nie widzieli.

Na pokrycie wydatków otrzymaliśmy dziesięć tysięcy dolarów. Oczekiwano jednak, że wrócimy do Korei Północnej z upominkami dla naszych zwierzchników i prezydenta. Jak się dowiedziałam, było to zwyczajową praktyką wśród agentów, by okazać wdzięczność za zaszczyt bycia wysłanym za granicę. Jak na zachodnie standardy nasze prezenty były zupełnie przeciętne – głównie praktyczne przedmioty, takie jak długopisy czy zapalniczki, których brakowało w Korei Północnej. Teoretycznie nie wolno nam było wydać na siebie ani grosza ponad kwoty konieczne do wykonania misji, ale i tak pan Kim kupił sobie drogi, pozłacany zegarek. Zegarki stanowiły w Korei Północnej wysoko ceniony towar i posiadanie ich było oznaką statusu. Kim powiedział mi później, że jego rodzina uznała to za najwytworniejszy zakup w całym jego życiu.

Ja sama pragnęłam kupić sobie w Genewie małą figurkę syreny, ale ponieważ miała ona nagie piersi, zdałam sobie sprawę, że nie mogłabym w żadnym razie

zabrać jej ze sobą do Pjongjangu. Zamiast tego sprawiłam sobie łańcuszek ze złotym krzyżykiem. Jego symbolika nie miała dla mnie żadnego znaczenia, ale Seung Il obrzucił mnie piorunującym spojrzeniem, kiedy włożyłam swój zakup na szyję. Co ciekawe, szef Kwang pochwalił mnie za ten krzyżyk, kiedy wróciłam. Uważał, że to doskonałe uzupełnienie mojego przebrania. Oczywiście powstrzymałam się od wyznania, że kupiłam łańcuszek wyłącznie dla własnej przyjemności.

Muszę przyznać, że mój profesjonalizm jako agentki, o ile w ogóle kiedykolwiek mogłam się nim wykazać, zbladł nieco w Szwajcarii. Tamtejszy krajobraz miał w sobie coś z baśni i ciężko mi było wyjeżdżać.

W Paryżu Kim i ja mieliśmy pójść swoimi drogami, ale tak naprawdę spędziliśmy kilka dni wspólnie, udając turystów. Pod pewnymi względami Paryż robił na mnie wrażenie – mam tu na myśli przede wszystkim szyk tamtejszych kobiet. Byłam zdumiona faktem, że kobiety w średnim wieku ubierają się równie odważnie jak dwudziestolatki. Podziwiałam także okazałość starych budowli. Przyjemności te zostały jednak szybko zrównoważone: kiedy przechodziłam przez ulicę, przejeżdżający motocyklista wyrwał mi torebkę, że nie wspomnę o paryskim taksówkarzu, który wykorzystując naszą niewiedzę, policzył nam sto dolarów za kurs.

Przez cały ten czas Seung Il zachowywał się jak prawdziwy dżentelmen. Mimo że w hotelach mieszkaliśmy w tym samym pokoju, ani razu nie próbował przystawiać

się do mnie ani robić dwuznacznych uwag. Obawiałam się tego przed wyjazdem – planowałam zrobić użytek z moich umiejętności walki wręcz i pobić go do nieprzytomności przy pierwszym niestosownym zachowaniu. Seung Il był wytrawnym agentem, ale był też stary i nie wątpiłam, że w razie potrzeby go pokonam. Moje obawy okazały się jednak bezpodstawne – był dla mnie jak prawdziwy ojciec. To wielkie szczęście podczas pierwszej misji mieć za towarzysza wybitnego i doświadczonego agenta. Seung Il dodawał mi otuchy, kiedy się niepokoiałam, czy nasze przebrania są dość wiarygodne. Bywał w Europie wiele razy wcześniej i miał tę pewność siebie, której nabiera się jedynie z doświadczeniem.

Mimo że pouczono nas, byśmy nie wymieniali się szczegółami dotyczącymi życia prywatnego, to jednak nie było możliwe nie dowiedzieć się niczego o sobie nawzajem. Seung Il był żonaty i miał kilkoro dorosłych dzieci. Służył w wywiadzie tak długo, że stracił już rachubę lat. W związku z wcześniejszymi misjami podróżował po całym świecie, nawet do Ameryki. Czułam, że za wątlą, acz szorstką powierzchownością kryje się życzliwy człowiek, choć prawdopodobnie zabił w życiu wielu ludzi, walcząc w imię komunizmu. Miał sporo ponad sześćdziesiąt lat i cierpiał z powodu przewlekłych dolegliwości żołądka. Myślę, że z czasem polubiliśmy się bardziej, niżby to było konieczne ze względów zawodowych. Sądzę też, że zaczęło nam zależeć na osobistym dobru tego drugiego, jakbyśmy byli rodziną.

Kiedy przyszedł czas wyjazdu z Paryża, Kim odwiózł mnie na lotnisko de Gaulle. Wyjeżdżałam do Makau. Bałam się zostać sama, ale robiłam wszystko, by nie dać tego po sobie poznać. Nie chciałam, by w raporcie Kima po powrocie pojawiło się coś na temat pochlipującej młodej kobiety.

– Uważaj na siebie, Ok Hwa – powiedział, gdy dotarliśmy do punktu kontrolnego, poza który nie mógł mi już towarzyszyć. – Agent Chung odbierze cię w Makau i pomoże wyprawić się do Kantonu. Powiedz mu, że spotkam się z nim dwudziestego szóstego września.

– Powodzenia, Seung Il – odparłam, obejmując go. – Spotkamy się jeszcze?

– Miałem przejść na emeryturę. – Zaśmiał się. – Ale mam wielką nadzieję, że tak.

Oczywiście miało dojść do kolejnego spotkania, tym razem jednak z powodu dużo bardziej niebezpiecznej misji.

Później się dowiedziałam, że po naszym rozstaniu Kim Seung Il ledwie uszedł z życiem w Korei Południowej. Jego kontakt w Seulu został zdemaskowany na kilka minut przed ustalonym spotkaniem. Ścigany przez południowokoreański wywiad i policję, człowiek ten zdołał wbiec do salonu kosmetycznego i się zastrzelić, zanim został pojmany. Oczywiście Seung Il natychmiast uciekł z Seulu, ale zrobił to w ostatniej chwili, zanim władze zablokowały wszystkie główne drogi wyjazdowe. Jakimś

sposobem dowiedziano się o nim w Korei Południowej i w Pjongjangu zawrzało od domysłów, czy w naszym wywiadzie zagranicznym jest wtyczka.

Ja tymczasem byłam w Makau, kontynuując własną misję, i nic na ten temat nie wiedziałam. Agent Chung czekał na mnie na lotnisku, a potem przez kilka dni oprowadzał po wyspie. Wspomniiał przy tym, że być może zostanę w późniejszym czasie wysłana z misją do Makau, i kazał bacznie obserwować otoczenie. Była to kapitalistyczna mekka, podobnie jak Hongkong, pełna kasyn i drogich hoteli, ale ponieważ byłam Azjatką, wydawała mi się mniej obca niż Europa.

Kiedy Chung wyprawił mnie pociągiem do Kantonu, byłam naprawdę przerażona. Oto przez następny tydzień miałam być zupełnie sama.

Na szczęście Chiny okazały się bardziej swojskie, niż sądziłam. W końcu było to państwo sąsiadujące z Koreą Północną, i to państwo komunistyczne. Byłam ciekawa, jak żyją w Chinach zwykli ludzie, i poczułam się zarazem ośmielona, jak i przygnębiona odkryciem, że żyją lepiej niż Koreańczycy z Północy. Wydawało mi się, że Korea Północna jest najbiedniejszym krajem na świecie. W Chinach przynajmniej sklepy były pełne towarów, a restauracje tańsze i gwarantujące dobrą obsługę.

W Kantonie spędziłam dwa dni, a potem ruszyłam w dalszą drogę. Pekin okazał się zatłoczonym miastem, w którym głównym środkiem transportu były rowery. Wszędzie wokół były ich miliony. Także tutaj uważnie

obserwowałam codzienne życie i choć jego standard był o wiele niższy niż w Europie, to jednak wciąż o niebo wyższy niż w Pjongjangu. Nie brakowało jedzenia, a i drobniejsze dobra luksusowe były ogólnie dostępne na czarnym rynku. Wstydziłam się za swój kraj.

Wyjeżdżając z Pekinu, kupiłam w bezcłowym sklepie na dworcu upominki dla urzędników w Pjongjangu: pięć butelek ziołowego leku, dwie butelki koniaku i komplet ołówków. Gdzieś w głębi duszy czułam, że żyję w naprawdę dziwnym kraju.

Być może najbardziej znacząca w mojej podróży do Europy była ocena, jaką kazano mi przedłożyć zwierzchnikom, a która z perspektywy czasu wydaje mi się absurdalna:

Wizyta w kapitalistycznych państwach Europy tylko potwierdziła to, czego mnie o nich nauczono. To święta prawda, że jedynie garstka ludzi żyje tam w dostatku, zaś zwykli obywatele wiodą straszliwy żywot. To było po prostu piekło.

Na tyłach ulic pełnych neonowych świateł rozciągają się uliczki, gdzie ludzie żyją jak zwierzęta.

Widziałam eleganckie restauracje, do których chodzą tylko kapitalistyczne świnię, które wyssały z mas krew i pot. Widok ich psów ubranych lepiej niż zwykli ludzie jest smutnym i ohydny odzwierciedleniem tego upadłego społeczeństwa.

Jestem bardzo dumna, że obywatele Korei Północnej mieszkają, pracują i uczą się wspólnie, nie martwiąc się

o codzienne potrzeby. Moje postanowienie, by poświęcić życie naszej socjalistycznej utopii i bronić jej przed wrogiem, jest teraz mocniejsze niż kiedykolwiek.

To wielki honor i przywilej służyć Wielkiemu Przywódcy, pełniąc funkcję, którą mi wyznaczono. Pozostanę na zawsze wdzięczna, że miałam tyle szczęścia, by urodzić się w Korei Północnej.

Moim obowiązkiem było również przedłożyć ocenę własnego działania oraz wyników Kim Seung Ila. Zadaniem agentów było obserwowanie siebie nawzajem w równiej mierze co obserwowanie otoczenia i nie do pomyślenia byłoby nie zawrzeć wielu słów krytyki pod adresem towarzysza misji.

Rzecz jasna, trudno mi było znaleźć właściwe słowa.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Po każdym wyjeździe za granicę agent specjalny musi odbyć trzymiesięczne szkolenie ideologiczne, mające potwierdzić jego lub jej oddanie socjalistycznym ideałom. Niespodziewanie – przynajmniej dla mnie samej – nie byłam w stanie całkowicie zdyskredytować ani zapomnieć zamożnych i beztroskich społeczeństw, które zobaczyłam w Europie. Wciąż powracały do mnie wspomnienia dobrze zaopatrzonych sklepów i pięknie ubranych ludzi.

Suk Hui zazdrościła mi tej misji, ale cieszyła się, że wróciłam. Już niebawem rozmawiałyśmy jak stare przyjaciółki i byłam szczęśliwa, że znów ją widzę. Nie wolno mi było rozmawiać z nikim o podróży, ale nie wyobrażałam sobie nie powiedzieć jej przynajmniej, gdzie byłam.

Wkrótce musiałam rozpocząć naukę chińskiego, ponieważ wprowadzono nowe zarządzenie, by każdy agent znał trzy języki obce. Kilka miesięcy później powiedziano nam, że przez jakiś czas będziemy stacjonowały w Kantonie, by pogłębić znajomość języka, a następnie udamy się na sześć miesięcy do Makau. Byłyśmy zachwycone perspektywą wyjazdu, tym bardziej że tym razem miałyśmy podróżować wspólnie.

W Kantonie zatrzymałyśmy się w domu agenta Pak Chang Rae, który wyjaśniał nam zawiłości dialektu kantońskiego i instruował, jak wtopić się w chińskie społeczeństwo. Było nieprawdopodobnie gorąco – trzydzieści

siedem stopni – a i tak ulice zalewały tłumy. W każdą sobotę Chang Rae egzaminował nas z całego tygodnia pracy, by mieć pewność, że robimy należyte postępy.

To był dla nas szczęśliwy rok. Miałyśmy sporo swobody, nasz gospodarz był życzliwy i nas szanował, nadarzało nam się też wiele okazji do poznawania ciekawych ludzi. Po raz pierwszy byłyśmy naprawdę same. Zbliżyłyśmy się do siebie jeszcze bardziej i toczyłyśmy bardziej poufale rozmowy o naszym dzieciństwie, niż życzyliby sobie tego nasi przełożeni.

Suk Hui pragnęła pewnego dnia wyjść za mąż. Ja sama miałam do małżeństwa ambiwalentny stosunek i nie rozmyślałam o nim zbyt wiele, bo na pierwszym miejscu była Partia. Ale też moja kariera zdawała się rozwijać szybciej niż jej. Suk Hui była bystra, ale nie wybitnie inteligentna, i prawdopodobnie powodem zwerbowania jej do agencji była ujmująca uroda. Bardziej rodzinna niż ja, marzyła o posiadaniu dzieci, prowadzeniu domu. Była też niekiedy dość nieostrożna w krytycznych wypowiedziach na temat Korei Północnej.

– Nawet w Chinach żyją o niebo lepiej niż my – poskarżyła mi się, kiedy pewnego wieczoru leżałyśmy w łózkach, pocąc się w upalnej wilgoci lata. – A jak było w Europie, Ok Hwa? Powiedz, proszę.

– Wiesz, że nie powinnam.

– Ależ daj spokój! Nikt się nie dowie.

Zastanawiałam się przez chwilę, nie wiedząc, co zrobić.

– No cóż, Zachód nie jest idealny, daleko mu do tego. Są tam rzeczy, o których nie śniło się nam w Korei Północnej: prostytutki, rozboje, mordercy, żebracy na ulicach. Chociaż pod pewnymi względami brakuje mi Europy... Ale po co o tym gadać? Utknęliśmy tu na dobre.

– Jeśli kiedykolwiek zostanę wysłana do Europy, zamierzam uciec – rzuciła.

Byłam zszokowana.

– Suk Hui!

– Mówię poważnie. Słyszałam te opowieści, Ok Hwa. Mają tam dziesięć razy więcej jedzenia, każdy ma samochód i możesz wybrać sobie taki zawód, jaki ci się podoba.

Czułam się zmieszana i trochę zła na nią. Nie wiedziałam, co powiedzieć. To, co mówiła, było prawdą, ale zachęcanie jej do tego nie miało sensu.

– Chcę wyjść za Europejczyka, najlepiej blondyna. Chcę mieszkać we własnym domu. Nie muszę być bogata. Chcę tylko być... wolna.

Zaczynałam się o nią obawiać.

– Suk Hui, przecież żyjemy w kraju, który się rozwija. Pewnego dnia mieszkańcy Korei Północnej będą się cieszyć takimi samymi luksusami, tyle że wszyscy będą w nich mieli równy udział, nie tylko bogaci. W każdym razie lepiej uważaj, co mówisz. Gdyby jakiś działacz partyjny cię usłyszał, dostałabyś cięgi.

Bez względu na to, czego doświadczyliśmy podczas szkolenia w Kantonie, nie przygotowało nas to na Makau.

Mieszkałyśmy tam zupełnie same w kapitalistycznym społeczeństwie. Miałyśmy własne mieszkanie i konto w banku. Opłacałyśmy rachunki i robiłyśmy zakupy. Bywałyśmy w nocnych klubach, by chłonąć miejscową kulturę. Wszystko było dla nas oszałamiająco nowe, a do tego naprawdę dobrze się bawiłyśmy.

Mimo że praktycznie niczego nie dowiedziałam się o Makau podczas pierwszego pobytu, tym razem szybko zaznałomiłam się z codziennym życiem. Nie zawierałyśmy nowych przyjaźni, bo otrzymałyśmy rozkaz, by z nikim się nie zadawać. Nie przebywałyśmy tu jako turystki; kazano nam ćwiczyć kantoński i jak najlepiej grać rolę chińskich obywaterek. Z dużym prawdopodobieństwem obserwowali nas północnokoreańscy agenci, więc zawsze miałyśmy się na baczności.

Ale to wymagało ogromnej dyscypliny, której czasami nam brakowało. W klubach Suk Hui spędzała większość czasu na parkiecie z miejscowymi biznesmenami i więcej niż raz musiałam wyciągać ją siłą do domu. Bardzo często mężczyźni składali mi propozycje, a ponieważ byłam strasznie nieśmiała, nie wiedziałam, co odpowiadać.

Pewnego wieczoru tańczyłam z zamożnym finansistą z Hongkongu, który najwyraźniej chciał mnie lepiej poznać. Miał pod czterdziestkę, był ubrany w drogi garnitur. Zadawał mi standardowe, uprzejme pytania: skąd jestem, czym się zajmuję i tak dalej. Czułam coraz większe wzburzenie. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Pod wpływem impulsu chwyciłam za rękę Suk Hui, która tań-

czyła wyzywająco z jakimś Europejczykiem, i wyciągnęłam ją na zewnątrz.

– Co ty wyprawiasz? – warknęła, wyrywając swoją dłoń z mojej.

– Suk Hui, dłużej tego nie zniosę! Jak mamy uchodzić za miejscowe, jeżeli nie wolno nam... być z nimi!

– No wiesz, Ok Hwa! – odparła, udając zaskoczenie. – I ty to mówisz, zawsze grzeczna dziewczynka?

– Po prostu wszystko tu jest takie inne. Nie wiem, co mówić mężczyznom.

– Powinnaś powiedzieć: „Ożeń się za mną, kochanie, i zabierz mnie jak najdalej stąd”. Jeszcze kilka chwil z tym Austriakiem i właśnie to bym zrobiła.

Wpatrywałam się w nią zszokowana głównie tym, że byłam skłonna się z nią zgodzić.

– Mówisz poważnie?

Suk Hui wyłowiła papierosa. W ostatnich tygodniach zaczęła palić i teraz zaciągnęła się głęboko z poważnym wyrazem twarzy.

– Cholernie poważnie.

Oczywiście nic nigdy nie wynikło z tych spotkań, choć czułam, że dynamiczna, kapitalistyczna kultura coraz bardziej mnie pociąga. Prawdopodobnie lepiej dla mnie, że już wkrótce wezwano nas do Pjongjangu.

Po powrocie pozwolono mi odwiedzić rodzinę. Przywiozłam przenośne radio dla mojego brata Bum Su i kilka innych upominków dla pozostałych krewnych. Ale

w domu zastałam ponury nastrój.

Bum Su już nie żył.

Gdy matka powiedziała mi o tym, upuściłam radio i rozplakałam się. Podbiegłam, by ją przytulić. Biedny Bum Su! Był takim wspaniałym chłopcem, zawsze pogodny, roześmiany. Rak skóry zabił go w wieku piętnastu lat. Rodzice spodziewali się tego już od jakiegoś czasu, ale i tak byli zdruzgotani. Z jakiegoś powodu ojciec unikał mnie podczas tej wizyty, ale jak miałam się wkrótce dowiedzieć, bynajmniej nie na mnie się złościł.

Od ostatnich odwiedzin minęły niemal dwa lata i w tym czasie moja siostra Hyon Ok poślubiła przewodnika z Biura Turystyki. Czułam, że mama jest zawiedziona, iż to nie ja pierwsza wyszłam za mąż. Czułam też, że coraz bardziej oddalam się od rodziny. Zakazano mi rozmawiać z nimi o szkoleniu i misjach, więc między nami narastało napięcie, nie wiadomo było, co powiedzieć. Było przecież tyle rzeczy, o których chcielibyśmy porozmawiać! Zamiast tego stawaliśmy się sobie coraz bardziej obcy.

Niemniej to, co zrobił ojciec, kiedy kilka dni później wpadł po mnie agent Chung, przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Gdy mama wpuściła go do środka, ojciec rzucił się ku niemu, złapał za gardło i przycisnął do ściany.

– Kiedy wreszcie oddacie mi córkę, do cholery?! – krzyczał, a łzy płynęły mu po policzkach. – Kiedy?!

– Ojczy – wtrąciłam się przerażona, gotowa powstrzymać go za wszelką cenę. – Puść go!

Takie zachowanie mogło sprowadzić na nas wszyst-

kich pluton egzekucyjny!

Ojciec rozluźnił uścisk. Chung wydawał się zażenowany i powiedział, że zaczeka na mnie w samochodzie.

– Ojcie...? – rzuciłam.

– Wynocha! – wrzasnął i pchnął mnie w stronę drzwi.

– Nie jesteś już moją córką. Należysz do nich, więc idź!
Wracaj do nich!

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Przez kolejny tydzień nie byłam w stanie skupić się na szkoleniu. Mechanicznie wykonywałam konieczne ruchy, a podczas długich marszów gubiłam rytm. Nie potrafiłam przestać myśleć o rodzinie.

Oczywiście śmierć Bum Su bardzo mnie poruszyła, teraz jednak myślałam głównie o rodzicach. Byłam zła na ojca za jego zachowanie w obecności agenta Chunga, ale w głębi serca współczułam mu i wiedziałam, że ma rację. Nasza rodzina została rozdzielona prawdopodobnie na zawsze, a ponieważ bardzo mnie kochał, trudno mu się było z tym pogodzić.

W sobotę podjęłam decyzję. Niedziela była naszym jedynym wolnym dniem, mogliśmy więc robić to, na co miałyśmy ochotę. Żadnej musztry, żadnych lekcji, żadnych apeli. Gdybym tylko zdołała przekonać Wol Chi, by na mnie nie doniosła, być może przez ten jeden dzień nikt nie zauważyłby, że mnie nie ma.

Kiedy nad obozem zapadł wieczór i zajęcia się skończyły, odszukałam Wol Chi w kuchni. Przywitała mnie jak zawsze życzliwie. Była zdecydowanie najsympatyczniejszą osobą wśród personelu obozu.

– Wol Chi, muszę się zobaczyć z rodziną – wyznałam.
– Chcę wyjść dziś w nocy. Wrócę jutro wieczorem. Błagam cię, nie zgłaszaj, że nie pojawiłam się na śniadaniu.

Spojrzała na mnie ze zgrozą.

– Ok Hwa, chętnie dotrzymam tajemnicy, ale przełożeni i tak mogą się dowiedzieć. Wiesz, co się wtedy stanie.

Wiedziałam, oczywiście. Opuszczanie terenu szkoły było surowo zabronione i gdyby moja nieobecność została odkryta i zgłoszona, czekałoby mnie natychmiastowe zesłanie do obozu pracy na Dalekiej Północy, gdzie zostałabym do końca swoich dni. Mogłabym nawet zostać rozstrzelana. Rodzina prawdopodobnie podzieliłaby mój los.

Ale nie mogłam postąpić inaczej. Być może przez kilka kolejnych lat nie będę mogła pojechać do domu. Myśl, że rodzice będą czekać tak długo z tą bolesną sprawą wciąż nierozwiązaną między nami, była nie do zniesienia. Długo zajęło mi zrozumienie tego, ale nagle wiedziałam z całą pewnością, że rodzina jest dla mnie ważniejsza niż Partia czy rząd. Kiedy Partia mnie wybrała, pękałam z dumy. Gdy jednak wracałam myślą do dzieciństwa, do lat spędzonych na Kubie i w Pjongjangu, wiedziałam, że nic nie jest dla mnie ważniejsze niż moi bliscy. Nadal czułam dumę z przynależności do Partii i zrobiłabym wszystko dla zjednoczenia Korei, ale nie zamierzałam dłużej zaniedbywać ludzi, których kochałam.

– Nie mogę postąpić inaczej – powiedziałam Wol Chi.
– Mój brat nie żyje, a ojciec jest w fatalnym stanie. Muszę się z nim zobaczyć.

Westchnęła ciężko, jej twarz przybrała zatroskany wyraz. Tylko tak mogła mi pomóc, reszta zależała od przypadku.

– Jeśli uważasz, że to najlepsze rozwiązanie, idź –

odparła, chwytając mnie za rękę. – Ale proszę, Ok Hwa, bądź ostrożna. Nie chcę, żeby spotkało cię coś złego.

Uścisnęłam jej dłoń i poszłam do swojego pokoju. Tam zwierzyłam się Suk Hui ze swoich zamiarów. Miała te same obawy co Wol Chi.

– Słuchaj – powiedziałam – dowódca prawie nigdy nie przyjeżdża tu w niedziele. Gdyby się jednak pojawił, po prostu powiedz, że już mnie nie było, kiedy się obudziłaś, i że nie wiesz, gdzie jestem.

Przytaknęła, ale widać było, że nie zdołałam jej uspokoić. Musiała przecież pomyśleć o tym, że i ona może mieć kłopoty, jeśli to zrobię. Usiadłam obok niej na łóżku i położyłam dłoń na jej kolanie.

– Nic ci nie zrobią, Suk Hui – powiedziałam, mając nadzieję, że te słowa mają jakieś znaczenie. – Po prostu powiedz, że nic nie wiesz.

Na chwilę odwróciła wzrok, westchnęła, a potem uśmiechnęła się i znów spojrzała na mnie.

– Nie martw się – odparła. – Będę milczeć jak grób.

– Dzięki.

Pochyliłam się i szybko ją objęłam, a potem wstałam, żeby zebrać potrzebne rzeczy. Miałam podróżować nocą, zatem ubrania na zmianę nie były mi potrzebne. Poza tym i tak nie mogłam sobie pozwolić, żeby ograniczał mnie plecak. Przebrałam się w najciemniejszy strój, jaki miałam, zabrałam tylko pieniądze i dowód osobisty. Związałam włosy, a czarną wojskową czapkę wsunęłam głęboko na oczy.

Podeszłam do okna: było zupełnie ciemno i dalsze opóźnianie wyjścia nie miało sensu.

Suk Hui wstała, objęłyśmy się raz jeszcze.

– Powodzenia – powiedziała na odchodnym. – Uważaj na siebie.

– Będę uważać – odparłam z uśmiechem, a potem wymknęłam się na korytarz i dalej w noc.

Przy wjeździe do obozu znajdował się punkt kontrolny, który musiałam ominąć, przekradając się do lasu i wracając na drogę gdzieś dalej. Musiałam też jednak stawić czoła żołnierzom, którzy patrolowali granice obozu. Wiedziałam, że będą uzbrojeni w karabiny maszynowe i że towarzyszą im ogromne czarne psy. Z walącym sercem wśliznęłam się do lasu okalającego dolinę i ruszyłam w kierunku, który wydawał mi się właściwy.

Na szczęście podszycie lasu nie było gęste, a ziemię pokrywała miękka warstwa sosnowych igieł. Noc zapadła ciepła, bezchmurna. Na niebie widniała połowa księżyca, ale światło nie przenikało przez gęstwinę drzew. Las był czarny jak smoła i musiałam posuwać się po omacku od pnia do pnia. Pomyślałam drwiąco, że te lata szkolenia wreszcie służą w dobrym celu.

Tak kawałek po kawałku przebyłam sto metrów, zanim dotarłam do ogrodzenia otaczającego obóz od tej strony. Musiałam znajdować się jakieś pół kilometra na zachód od bramy – wystarczająco daleko, by nie zostać zauważoną. Konieczne jednak było przejście przez ogrodzenie, zakończone na szczycie drutem kolczastym.

Spojrzałam w górę, oczy przywykły już do ciemności. Gałęzie sosen odcinały się czarno na tle pięknego, rozgwieźdzonego nieba. Drzewo najbliżej mnie miało kilka niskich gałęzi, wspierałam się więc na nie powyżej poziomu ogrodzenia. Potem weszłam na gałąź, która co prawda nie zwisała nad drutem kolczastym, ale jednak była na tyle blisko, że wydawało się, iż skokiem pokonam ogrodzenie.

Przesunęłam się po konarze najdalej, jak to możliwe, ujęłam gałąź nad sobą i dźwignęłam się na nogi. Znajdowałam się jakiś metr ponad drutem kolczastym i około metra od niego, w przybliżeniu cztery i pół metra nad ziemią. To był długi skok jak na osobę mojej postury, ale byłam naprawdę wystraszona i postanowiłam spróbować.

Wzięłam głęboki oddech i skoczyłam.

Minęłam drut kolczasty raptem o kilka centymetrów i ciężko uderzyłam o ziemię. Mimo bólu nóg zmusiłam się do przykucnięcia i rozejrzałam wokoło. W tej samej chwili usłyszałam kroki i zamarłam.

Poza ogrodzeniem rozciągało się otwarte pole porośnięte gęstą, wysoką trawą i kępami zarośli. Ukryłam się w gęstwinie krzewu i czekałam, nie śmiąc odetchnąć głębiej.

Chwilę później pojawiła się jakaś postać. Wymachiwała latarką, oświetlając teren. Obok kroczył wielki czarny pies. Strażnik musiał słyszeć, jak upadłam, bo teraz przesuwiał snopem światła po trawie wokół mnie. Kiedy był zaledwie metr ode mnie, nagle zatrzymał się, zataczając latarką szeroki łuk. Przywarłam całym ciałem do ziemi,

czułam, jak strumień światła przesuwa się najwyżej trzydzieści centymetrów ode mnie. Z sercem bijącym jak bęben modliłam się, by pies nie zwęszył mojego zapachu.

Człowiek stał tak przez długi czas. Wiedziałam, że jeśli mnie zauważy, będę musiała z nim walczyć, a może nawet go zabić, jeśli zobaczy moją twarz. W ten sposób mogłabym przynajmniej wrócić do obozu i uniknąć natychmiastowej kary. Może nawet dowódca przypisałby jego śmierć atakowi z zewnątrz.

Napięłam mięśnie, wstrzymałam oddech i przyjrzałam się wysokiej postaci. Twarz mężczyzny słabo oświetlała szeroka łuna bijąca z latarki, ale nie udało mi się go rozpoznać. Byłam gotowa natychmiast na niego skoczyć, w nadziei że pozbawię go przytomności, zanim mnie rozpozna. Oczywiście nadal pozostawałby pies. Nie miałam pojęcia, co z nim zrobić.

Nagle jednak strażnik drgnął i ruszył w kierunku bramy. Zaczekałam, aż zniknie mi z oczu, a potem odetchnęłam z największą ulgą.

Kiedy byłam pewna, że jest już dość daleko, wstałam i ruszyłam przez pole. Szłam na północny wschód, pod kątem czterdziestu pięciu stopni od ogrodzenia, spodziewając się niebawem wrócić na drogę. Uważałam, żeby nie robić najmniejszego hałasu, i cieszyłam się, że jestem tak dobrze wyszkolona. W porównaniu do mieszkania w ciasnych okopach całymi tygodniami, to było naprawdę proste.

Kwadrans później dotarłam do drogi. Zza zasłony

krzewów rozejrzałam się na obie strony: trasa była pusta. Wyśliznęłam się na otwartą przestrzeń i rozpoczęłam długi marsz w kierunku szosy wiodącej do Pjongjangu, o której wiedziałam, że znajduje się w odległości około piętnastu kilometrów.

Dzięki intensywnemu treningowi, jakiemu mnie poddano, byłam w stanie utrzymywać bardzo dobre tempo. Noc stawała się coraz chłodniejsza, wokół mnie zalegała głęboka cisza. Ciemny masyw gór majaczył w świetle księżyca i miałam naprawdę ogromną nadzieję, że nie spotkam tygrysa. Przez lata życia w obozach nigdy nie widziałam żadnego, ale zdarzało się, że podczas długich marszów widywaliśmy ślady tych kotów na piasku. Krążyły też plotki, że jeden z mieszkańców sąsiedniej wioski wybrał się na spacer i został porwany przez zwierzę.

Mijały godziny, nie zatrzymywałam się. W którymś momencie usłyszałam za sobą silnik nadjeżdżającego samochodu. Natychmiast się ukryłam. Chwilę później minął mnie czarny mercedes, wzbijając chmurę pyłu. Odczekałam, aż czerwone światła znikną, a potem ruszyłam dalej.

Dotarłam do szosy wiodącej do Pjongjangu tuż przed świtem, kiedy niebo przybrało purpurowy odcień, a powietrze gwałtownie się ochłodziło. Ponieważ byłam spocona, zaczęłam drzeć. Doszedłszy do głównej drogi, skręciłam na południe. Po upływie kolejnych dwóch godzin znalazłam się na przedmieściach małej miejscowości.

Było już jasno, miasteczko budziło się ze snu. Sięgnęłam do kieszeni po okulary przeciwsłoneczne. Teraz, na

otwartej przestrzeni, musiałam tym bardziej mieć się na baczności.

W centrum miasta znajdował się mały dworzec autobusowy, gdzie dowiedziałam się, że za godzinę odjedzie jedyny tego dnia autobus do Pjongjangu, który dotrze na miejsce późnym rankiem. I że jedyny tego dnia autobus powrotny wyjedzie ze stolicy późnym popołudniem.

Cieszyłam się, że mogę usiąść, a nawet zdrzemnąć się w oczekiwaniu na autobus. Wraz ze mną czekało kilkoro miejscowych.

Wreszcie autobus nadjechał i ruszyliśmy w stronę miasta. Za oknami przesuwały się znajome wioski, pola uprawne, lasy sosnowe i góry.

Wysiadłam zaledwie kilka bloków od nowego mieszkania rodziców. Była dopiero dziesiąta rano, ale ja miałam już tylko cztery godziny.

O tej porze na ulicach nie było wielu przechodniów i poczułam ulgę, że nikt mnie nie zauważy.

Dotarłam do budynku i wspiełam się po schodach do mieszkania rodziców. Zapukałam do drzwi i czekałam.

Otworzyła mama, na jej twarzy malowało się wielkie zaskoczenie. Po chwili jednak odzyskała równowagę i wzięła mnie w ramiona.

– Hyon Hui – wyszeptała, ściskając mnie mocno. – Co ty tu robisz? Gdzie jest pan Chung? – Nie czekając na odpowiedź, puściła mnie i popędziła w głąb mieszkania, wołając ojca i brata. – Nasza Hyon Hui wróciła!

Ojciec wyszedł z sypialni. Miał zmęczony, znekany

wyraz twarzy, ale gdy mnie zobaczył, natychmiast się rozpromienił.

Tak jakby od naszego ostatniego spotkania nie minęła ani chwila, wykrzyknęłam pierwsze słowa, które przyszły mi do głowy:

– Co takiego złego zrobiłam?!

Wyglądał na zaskoczonego moim gniewem, nie mógł wytrzymać mojego spojrzenia. Powłócząc nogami, podszedł do krzesła i usiadł ciężko.

– Nie zrobiłaś nic złego, Hyon Hui. Ciężko mi się po prostu pogodzić z twoją nową pozycją i wyłączyć uczucia do ciebie.

Mówił głosem pełnym smutku i mój gniew wyparował.

– Co masz na myśli?

– Teraz należysz do Partii – odparł, wreszcie patrząc mi prosto w oczy – Oczywiście nadal jesteś naszą biologiczną córką i w naszych sercach tak już zostanie. Ale głupotą byłoby zaprzeczać temu, że, praktycznie rzecz biorąc, jesteś teraz córką Partii, nie naszą. – Uśmiechnął się nieprzekonująco, tak jakby to miał być jakiś osobisty żart. – Oczywiście matka i ja jesteśmy dumni z twojej nominacji, ale obawiam się, że to nie pomaga nam w niczym emocjonalnie. Kochamy cię, Hyon Hui, a teraz mamy cię widywać tak rzadko już do końca życia. Kiedy byłaś młodsza, matka i ja marzyliśmy, że znajdziesz dobrego męża, zamieszkasz niedaleko i będziemy się cieszyć wnukami. To się nigdy nie spełni. A teraz Hyon Ok została

wdową i – westchnął – to takie trudne.

Poczułam, że łzy płyną mi po policzkach. Wstydziałam się swojego wcześniejszego gniewu i po raz kolejny czułam, że wstępując do Partii, zdradziłam własną rodzinę. Spoglądając w przeszłość, czuję do władz Korei Północnej wielki żal. Dla nich nie znaczyliśmy nic jako jednostki; nasze człowieczeństwo poświęcono dla tak abstrakcyjnych pojęć jak „socjalizm”, „Partia”, „dobro wspólne”. Już samo zwracanie się do siebie per „towarzyszu”, wzorem pierwszych marksistów-leninistów, wykluczało wszelką bliskość.

To była cena, jaką przyszło mi płacić. Należałam teraz do uprzywilejowanej elity, byłam pełnoprawną członkinią Partii – o tym marzy każdy obywatel Korei Północnej. To trochę tak, jak być księdzem – może to i wzniosłe powołanie, ale płaci się za nie wysoką cenę.

Następnych kilka godzin spędziłam z rodziną, oglądając stare albumy i rozmawiając o przyszłości. Nie było mowy – przynajmniej w tamtej chwili – bym mogła odejść z Partii. Przyniosłoby to tylko hańbę całej rodzinie. Wiedziałam jednak, że jeśli przyjdzie mi spędzić resztę życia w obozie szkoleniowym, uschnę z tęsknoty. Zresztą czasami słyszało się o agentach, którym po wypełnieniu szczególnie niebezpiecznej misji pozwalano przejść na emeryturę i wrócić do rodziny.

Matka jak zawsze ugotowała mi obfity obiad. Atmosfera w domu nieco zelżała i wydawało się, że ojciec czuje się normalnie, ale mama miała nieodmiennie ponurą

minę i wiedziałam, że jeszcze bardziej niż on nie może się pogodzić z moim odejściem.

Po pełnym łez pożegnaniu wyruszyłam na przystanek autobusowy. Czułam emocjonalne wyczerpanie, ale i wielką ulgę. Cieszyłam się, że byłam w domu. Wydawało się, że wszystko ułożyło się na tyle, na ile mogło, przynajmniej na tamtą chwilę.

W autobusie się zdrzemnęłam. Dopadało mnie zmęczenie poprzedniej nocy. Kiedy wreszcie dotarliśmy do miasteczka położonego najbliżej obozu, ledwie zdołałam się obudzić, by wysiąść na czas. Bolały mnie nogi i stopy, ale nie miałam wyboru: musiałam iść dalej.

Po drodze zastanawiałam się, czy zauważono moją nieobecność w ciągu dnia. Ale gdyby tak było, to czyż nie podążyliby moim śladem, by mnie ująć? Możliwe jednak, że czekają, aż wrócę, by aresztować mnie w dogodnym dla siebie momencie. Posepnie brnęłam naprzód, nie zważając na ból. Czyste poranne niebo ustąpiło pod naporem ławicy szarych chmur.

Pod wieczór zaczęło padać i w ciągu kilku minut byłam kompletnie przemoczona. Dwa razy usłyszałam zbliżający się samochód i dwa razy musiałam się kryć w krzakach rosnących wzdłuż drogi. Ogromny pęcherz na prawej stopie pękł i teraz każdy krok powodował nieznośny ból. Deszcz, który rozpoczął się nieznośną ulewą, nabrał spokojnego rytmu. Wiedziałam, że nieprędko się skończy.

Okolo ósmej wieczorem ujrzałam wreszcie w oddali

punkt kontrolny. Zeszłam z drogi na pole. Szare niebo wciąż rozpraszało nieco ciemności, czasami musiałam się więc skradać, by nie zostać zauważoną. Ziemia zamieniła się w trzęsawisko, ubranie miałam zbryzgane błotem. Byłam tak zmęczona, że już tylko odruchowo poruszałam się naprzód, przesuważając nogę za nogą. Myślałam tylko o powrocie do swojego pokoju i długiej, gorącej kąpieli.

Na granicy obozu zatrzymałam się i rozejrzałam we wszystkie strony. Wyglądało na to, że w pobliżu nie ma żadnych strażników, więc podniosłam się z kucek i wspiełam na ogrodzenie. Wcześniej ani przez moment nie myślałam o tym, że tym razem nie będzie drzew, które pomogłyby mi się przedostać na drugą stronę, i że będę musiała zaryzykować przeprawę przez drut kolczasty. Będąc już na górze, złapałam najbliższy pionowy słupek, który wyginał się łukiem do wewnątrz, w kierunku obozu, a potem wspiełam się na tyle wysoko, że stopy miałam oparte na najwyższych ogniwach płotu. Wzięłam głęboki wdech, odepchnęłam się stopami, na moment stanęłam na rękach i przerzuciłam nogi nad głową w kierunku obozu, zwalniając jednocześnie uchwyt. Zrobiłam salto w powietrzu, minęłam drut kolczasty, ale za dużo przeciągnęłam obrót i wylądowałam w kałuży na dłoniach i kolanach. Jakimś cudem się nie zraniłam, ale trwało dłuższą chwilę, zanim byłam w stanie zebrać siły i ruszyć dalej.

Skradałam się przez las w kierunku świateł, które widziałam w oddali, i już wkrótce dotarłam na obrzeża

obożu. Na szczęście w pobliżu nie było nikogo, więc pobiegłam wprost do drzwi wejściowych naszego domu. Weszłam do środka i poczułam taką ulgę, że miałam ochotę krzyczeć.

Suk Hui czytała w naszej sypialni. Kiedy weszłam, podniosła wzrok, klasnęła w dłonie i wybuchnęła śmiechem.

– Co cię tak śmieszy, do diabła? – warknęłam, zrzucając ubranie.

Zakryła usta dłonią, ale śmiała się przy tym jeszcze bardziej.

– Gdybyś się tylko widziała – wysapała wreszcie.

Zirytowana podeszłam do lustra zawieszzonego na drzwiach i sama zachichotałam. Policzki miałam umazane błotem, a włosy wysunęły mi się spod czapki i teraz sterczały na wszystkie strony.

– Słuchaj – zapytałam, ściągając z siebie resztę ubrania i owijając się ręcznikiem – czy ktoś się o mnie dowiedział?

Przestała się śmiać, ale wciąż jeszcze się uśmiechała.

– Nie martw się, jesteś bezpieczna. Przez cały dzień nic się nie działo. Opowiedz, jak było.

– Oj, Suk Hui, tego się nie da wytłumaczyć. To jest... trudne. Czasami się zastanawiam, co ja tutaj robię.

Wzięłam długą kąpiel, rozkoszując się gorącą wodą. Zmęczenie i łagodna para wodna niemal znów mnie uśpiły. Dźwignęłam się jednak ospale, wyszłam z wanny i wytarłam do sucha. Wróciłam do sypialni na wpół przy-

tomna, tylko po to, by znaleźć tam zdenerwowaną Suk Hui, która chodziła po pokoju tam i z powrotem.

– Ok Hwa! – zawołała, kiedy weszłam. – Wróciłaś w ostatnim momencie! Agent specjalny Chung przyjechał przed chwilą i czeka na ciebie w pokoju gościnnym.

– Chung? – zapytałam, czując przypływ paniki. – Chyba się nie dowiedział, co?

– Nie, nic z tych rzeczy – odparła. – Przynajmniej nie wydaje mi się. Myślę, że chodzi o nową misję. Jest z nim starzec, jakiś Kim Seung Il.

– Kim Seung Il?

Przytaknęła.

– No dalej, ubieraj się. Powiedziałam, że zaraz przyjdiesz.

W gonitwie myśli wśliznęłam się w czyste ubrania, przeciągnęłam grzebieniem po włosach i prawie biegiem ruszyłam do pokoju gościnnego. Pan Chung siedział przy stole i rozmawiał z Kim Seung Ilem. Kiedy weszłam do pokoju, obaj wstali.

– Ok Hwa – zaczął z uśmiechem Chung – pamiętacie pana Kima?

Ukloniłam się lekko.

– Oczywiście. Miło znów was widzieć, Seung Ilu. Usiądźcie, proszę.

Zajęliśmy miejsca. Chung wygmerał z kieszeni papierosa, poczęstował Kima i obaj zapalili.

– No cóż – powiedział Chung, wydmuchując dym – pewnie zastanawiacie się, co też tu robimy w taką noc. Nie

mam jeszcze prawa nic zdradzić, ale zastanawiam się, czy byłobyście w stanie wyjechać stąd w ciągu piętnastu minut.

– Wyjechać? – powtórzyłam zaskoczona. – Oczywiście. Tylko dokąd? Na jak długo?

– Pozwólcie, że zacznę od tego drugiego pytania – odparł Chung. – Powinniście spakować wszystko, co macie, bo mało prawdopodobne, że tu jeszcze wrócicie.

Przez chwilę czułam, jak ścina mi się krew. Myślałam, że dowiedział się o moim „wolnym postępku”, jak nazywaliśmy oddalenie się z obozu bez pozwolenia, i teraz w uprzejmy sposób mnie aresztuje. Mój strach zelżał jednak w miarę, jak mówił dalej:

– Jeśli chodzi o wasze pierwsze pytanie, powiem tylko, że jedziemy do Pjongjangu, do kwatery głównej wywiadu. Otrzymałyście, towarzyszeko, misję.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Mercedes sunął gładko pustymi ulicami Pjongjangu. Deszcz wciąż padał, bębnił lekko w dach samochodu. Większość mieszkańców o tej porze już spała i na dworze nie było widać absolutnie nikogo.

Prawie nie rozmawialiśmy. Chung usiadł z przodu obok swojego kierowcy, krzepkiego mężczyzny o postarzałej twarzy i małych czarnych oczkach. Człowiek ten nigdy nie odzywał się ani słowem, jego rysy zastygły w gniewnym grymasie. Ja usiadłam z tyłu obok Kim Seung Ila, który tylko patrzył w okno, zajęty własnymi myślami.

Wreszcie wjechaliśmy do podziemnego garażu budynku służb wywiadu. Nic nie wyróżniało go spośród sąsiednich, ale aby wejść głównym wejściem, trzeba było przejść przez mały monitorowany dziedziniec, a następnie minąć dwóch uzbrojonych strażników w przednim holu.

Dziś wieczór jednak pokazano mi schody wiodące do środka wprost z garażu. Nawet o tej porze pełno tu było pracowników; wywiad działa dwadzieścia cztery godziny na dobę. Chung zaprowadził nas do windy. Kiedy weszliśmy do środka, nacisnął guzik z numerem 6 i oparł się o tylną ścianę. Winda ruszyła w górę.

– Za chwilę poznacie bardzo ważnego człowieka – rzucił, obserwując elektroniczny wyświetlacz wskazujący piętro. – Pan Kim spotykał się z nim już wiele razy, ale dla was to pierwszy raz. Wierzę, że zrobicie dobre wrażenie.

– Tak jest – odparłam, teraz już chorobliwie ciekawa, na czym też będzie polegać ta nowa misja.

Wysiedliśmy na szóstym piętrze. Chung poprowadził nas nudnym białym korytarzem do biura położonego na jego końcu. Przed zamkniętymi drzwiami siedział strażnik. Kiedy weszliśmy, wstał, a Chung szybkim ruchem pokazał mu dowód tożsamości. Strażnik skinął i otworzył drzwi, dając nam znak, byśmy weszli.

Wewnątrz znajdowało się przestronne biuro z dużym biurkiem i stolikiem do kawy. Nie było żadnych okien, a pomieszczenie zalewało niesamowite, fluorescencyjne światło, jak w laboratorium. Na spotkanie wyszedł nam wysoki mężczyzna w średnim wieku, który poruszał się z kocią zwinnością. Widać było, że musiał spędzić całe lata w terenie.

– Ok Hwa, Seung Ilu – zaczął Chung – to jest dyrektor. Jesteście tu na jego życzenie.

Ukloniłam się dyrektorowi. Zamienił kilka słów z Seung Ilem, którego, jak się wydawało, dobrze znał, a potem dał znak, byśmy usiedli przy stoliku do kawy. Chung tymczasem ruszył w stronę drzwi.

– Powodzenia, towarzysze – powiedział. – To jest ściśle tajne i ja nie muszę znać szczegółów.

Wyszedł.

Zasiedliśmy wokół stołu. Dyrektor powolnym, przemyślanym ruchem wyciągnął z kieszeni na piersi paczkę papierosów i poczęstował nimi Seung Ila. Potem poczęstował i mnie, ale odmówiłam. Nigdy nie byłam palaczką;

poza tym denerwowałam się tak bardzo, że chciałam tylko przetrwać to spotkanie.

Dyrektor odpalił swojego papierosa od papierosa Seung Ila i opadł na oparcie krzesła.

– Towarzysze – rzekł – zacznę od końca. Waszym zadaniem będzie zniszczyć południowokoreański samolot.

Przerwał, czekając, aż jego słowa w pełni do nas dotrą. Poczułam skurcz żołądka, ale tylko gapiłam się na dyrektora.

– Może zainteresuje was, że rozkaz napisał sam Nasz Drogi Przywódca Kim Dzong Il. Napisał odręcznie, mam na myśli.

Znów zawiesił głos, by upewnić się, że pojmujemy wagę tej informacji. Siedziałam teraz na samym skraju krzesła. To, że Kim Dzong Il własnoręcznie napisał rozkaz, znaczyło, że będzie to zadanie najwyższej wagi.

– Cała misja jest tak naprawdę pomysłem samego Naszego Drogiego Przywódcy – ciągnął dyrektor. – Jeśli mogę to tak ująć, to prawdopodobnie najważniejsze przedsięwzięcie w historii wywiadu. Los całego naszego narodu będzie od niego zależał. A zatem: musicie zniszczyć samolot należący do Korei Południowej. W kraju tym, jak wiecie, panuje ostatnio chaos. Klimat polityczny jest teraz bardziej niestabilny niż kiedykolwiek od czasów Wojny Wyzwoleńczej. Wprowadzane są poprawki do konstytucji, pod koniec roku odbędą się wybory. Poprzez zniszczenie samolotu zamierzamy zwiększyć chaos i ostatecznie nie dopuścić do zorganizowania igrzysk

olimpijskich w Seulu. Inne kraje nie będą chciały zaryzykować życia swoich sportowców, obawiając się, że albo ich samoloty zostaną zniszczone, albo też sportowcy padną ofiarą terroru już w Seulu. Ale to tylko początek. Jeśli uda nam się storpedować igrzyska i wzmóc polityczny niepokój, może się wówczas pojawić szansa na zjednoczenie obu Korei. A to, jak wiecie, jest wielkim celem naszego pokolenia. Jeśli powiedzie wam się w tej misji, towarzysze, zostanieie bohaterami narodowymi.

Nie wierzyłam własnym uszom. Czułam jednocześnie podziw i strach. Byłam zdumiona, że właśnie mnie miano by powierzyć taką misję. Muszę też przyznać, że ani przez chwilę nie pomyślałam o związanych z nią kwestiach moralnych, o odpowiedzialności za śmierć może nawet setek osób, wszystko jedno, osobiście czy w szerszym, etycznym sensie. Ten akt sabotażu wydawał się czysto techniczną operacją, ot, kolejnym krokiem na drodze do wielkiego celu, jakim było zjednoczenie Korei. Biorąc pod uwagę wykształcenie, które odebrałam, jakże mogłabym uważać inaczej? Teraz jednak wciąż zadaję sobie pytanie, czy jesteśmy mniej odpowiedzialni za swoje czyny, jeśli popełniamy je nieświadomie.

– W tej chwili nie ma potrzeby wchodzić w szczegóły – kontynuował dyrektor – mogę jednak przedstawić wam ogólny zarys planu. Z Pjongjangu polecicie do Moskwy, a stamtąd do Budapesztu i Wiednia, gdzie spędzicie kilka dni, znów udając Japończyków, ojca i córkę na wakacjach. Potem wyruszyście do Belgradu, nadal jako turyści. Pasz-

porty pełne pieczętek z różnych krajów będą elementem waszego kamuflażu.

Z Belgradu polecicie do Bagdadu, skąd wyrusza samolot. Na lotnisku spotkacie się z dwoma agentami, którzy dostarczą wam materiały wybuchowe potrzebne do wysadzenia samolotu. Przed odlotem umieścicie bombę w schowku nad głowami pasażerów, ustawiając czas detonacji na dziewięć godzin do przodu. Zgodnie z planem samolot poleci do Abu Zabi, Bangkoku, a w końcu do Seulu. Wy wysiądziecie w Abu Zabi, zostawiając bombę na pokładzie, i przesiądziecie się w samolot lecący do Rzymu przez Amman. Z Rzymu polecicie znów do Wiednia, gdzie przeczekacie kilka dni w ambasadzie Korei Północnej, a potem wrócicie do Pjongjangu.

Wzięłam głęboki oddech i spojrzałam na Kim Seung Ila, który z kolei obserwował mnie. Wydawało mi się, że w jego oczach widzę wiedzę, której nabywa się tylko z doświadczeniem wielu misji, i mądrość, która przychodzi jedynie z wiekiem. Poczułam się trochę lepiej, wiedząc, że będę miała go za partnera. W tamtej chwili wydawało się, że my dwoje możemy zrobić wszystko.

– Jeszcze jedno – dodał dyrektor – ze względu na ścisłą poufność i wielką wagę tej misji dla każdego z was będzie ona ostatnia. Po jej wykonaniu nie będziecie już mogli bezpiecznie pracować w terenie, a co ważniejsze, oddacie przecież najwyższą możliwą przysługę waszemu krajowi. Jako bohaterowie odejdziecie na emeryturę, a Partia zapewni wam wszelkie luksusy. Wy, Ok Hwa,

wróćcie do rodziny. – Zawiesił głos i spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem, którego nie potrafiłam odczytać. – Tego przecież chcecie, czyż nie?

Wytrzymałam jego spojrzenie. Miałam ochotę pode-
rwać się z krzesła, taka byłam podekscytowana, choć jego
spozregawczość trochę mnie zaniepokoiła. Od tej pory ta
misja stała się nie tylko największą nadzieją mojego kraju,
ale i moją największą osobistą nadzieją. Poczułam się tak
silna, że mogłabym zrobić wszystko. Przepelniała mnie
nieopisana duma, że to właśnie ja zostałam wybrana przez
Naszego Drogiego Przywódcę do wykonania takiego za-
dania; i choć nie miałam zielonego pojęcia, w jaki sposób
miałoby ono prowadzić do zjednoczenia Korei – do dziś
trudno mi się połapać w polityce – po prostu przyjąłam to,
co mówił dyrektor, za dobrą monetę. Jedną misją wy-
świadczę przysługę ojczyźnie i zjednoczę swoją rodzinę.

– Możecie nam zaufać, towarzyszu dyrektorze – po-
wiedziałam stanowczo, patrząc mu w oczy. – Nie zawie-
dziemy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Dni, które potem nadeszły, zdawały się ciągnąć w nieskończoność, choć teraz wydają mi się jedynie mglistym wspomnieniem. Byłam niespokojna i pełna obaw, trudno mi się było skupić na czymkolwiek. W samolocie do Moskwy, z braku lepszego zajęcia, na okrągło czytałam plany misji. Zanim wylądowaliśmy, znałam już na pamięć każdy etap naszej długiej podróży:

- Cel: zniszczenie samolotu Korean Airlines, lot 858, 29 listopada, z Bagdadu do Seulu przez Abu Zabi i Bangkok

- Grupa operacyjna: kierownik – agent specjalny Kim Seung Il; pomocnik – agentka Kim Ok Hwa

- Grupa wspierająca: kierownik – agent specjalny Choe Jung Su; pomocnik – agent Choe Hong Nark

- Szczegóły akcji: wylot z lotniska Sunam, Pjongjang, dnia 12.11.1987, godz. 8.30, do Moskwy. W Moskwie dwie noce w ambasadzie Korei Północnej i zakup biletów Aerofłotu z Moskwy do Budapesztu na 15.11, godz. 9.00.

- 15.11: wylot z Moskwy do Budapesztu, przylot godz. 11.04. Pobyt w Budapeszcie przez cztery noce w kryjówce wywiadu zagranicznego, a potem wyjazd do Wiednia. Wjazd na teren Austrii bez paszportów przy pomocy miejscowych agentów. W Wiedniu grupa operacyjna zatrzyma się w hotelu Ampak i będzie się kontaktować na hasło *Nakayama*. W Wiedniu przy potwierdzaniu tożsamości grupa operacyjna ma za zadanie posługiwać się japońskimi paszportami i zakupić dwa zestawy biletów:

1. Pierwszy na trasę Wiedeń-Belgrad-Bagdad-Abu Zabi-Bangkok-Seul.

2. Drugi na trasę Wiedeń-Belgrad-Bagdad-Abu Zabi-Bahrajn. Ze-

staw ten będzie użyty tylko w przypadku zagrożenia, dla zmylenia przeciwnika.

- Bilety powrotne do Rzymu przez Amman zostaną zakupione oddzielnie w Abu Zabi. Po zakupieniu pierwszych dwóch zestawów biletów grupa operacyjna skontaktuje się telefonicznie z agentem specjalnym Choe w Bagdadzie. Resztę pobytu w Wiedniu grupa operacyjna spędzi, udając japońskich turystów.

- 24.11: wylot z Wiednia o 11.00, przylot do Belgradu o 14.00, pobyt przez cztery noce w hotelu Metropolitan. Grupa operacyjna ma udawać turystów.

- 28.11: wylot z Belgradu o 14.30, przylot do Bagdadu o 20.30. Grupa operacyjna zaczeka na lot Korean Air 858. W tym czasie grupa operacyjna spotka się z grupą wspierającą i otrzyma materiały wybuchowe konieczne do wysadzenia samolotu. Po tym spotkaniu czas detonacji bomby zostanie ustawiony na dziewięć godzin do przodu, co może zostać później zmienione zależnie od okoliczności. Ustawienia bomby ma dokonać Kim Seung Il; gdyby z jakiegoś powodu nie mógł tego zrobić, zadanie przechodzi na Kim Ok Hwę.

- godz. 23.45: po wejściu na pokład lotu 858, umieścić bombę w górnej szafce bagażowej. Grupa operacyjna wysiądzie następnie w Abu Zabi, pozostawiając materiały wybuchowe w samolocie. Jeśli bomba zostanie wykryta przed wyjściem z samolotu, grupa operacyjna ma utrzymywać, że nie należy do nich.

- 29.11: po wylądowaniu w Abu Zabi o 2.50 przesiąść się na lot do Ammanu i Rzymu. W Rzymie zatrzymać się na kilka dni w hotelu, znów jako japońscy turyści.

- 1.12: wylot z Rzymu do Wiednia, kilkudniowy pobyt w odosobnieniu w ambasadzie Korei Północnej, a potem powrót do Pjongjangu z pomocą miejscowego personelu.

Kiedy już wyuczyłam się dokładnie planu podróży, zagłębiłam się w instrukcję przygotowania bomby:

Wskazówki dotyczące materiałów wybuchowych dla radia Panasonic model RF-082.

Ustawienie czasu eksplozji bomby na dziewięć godzin do przodu:

1. Przełączyć cztery włączniki poniżej elektronicznego zegara umieszczonego po prawej stronie bomby.

2. Przesunąć włącznik zegara na pozycję *Radio*, tak aby bomba eksplodowała po dziewięciu godzinach.

Ustawienie czasu eksplozji na inną godzinę:

1. Postąpić jak w kroku i powyżej.

2. Ustawić bieżący czas, naciskając trzy przyciski poniżej elektronicznego zegara.

3. Nacisnąć przycisk *Wyświetl* umieszczony po prawej stronie elektronicznego zegara.

4. Ustawić żądany czas eksplozji, naciskając trzy przyciski po prawej stronie elektronicznego zegara.

5. Postąpić jak w kroku 2 w pierwszej części instrukcji.

Razem z nami leciał też inny agent wywiadu zagranicznego, który w pewnym momencie wezwał Seung Ila i mnie na przód kabiny, by omówić szczegóły misji. Jako że był to prywatny lot, samolot był niemal zupełnie pusty. Bezpośrednio za kokpitem znajdował się wydzielony salon z barem i odtwarzaczem wideo.

Agent nazywał się Cheon. Był niskim, otyłym mężczyzną po pięćdziesiątce, o rzadziejących, siwych włosach i dość komicznym tiku, który nadawał mu wygląd wiecznie uśmiechniętego. Spędziliśmy kilka minut, przeglądając plan, który dopiero co czytałam. Potem jednak Cheon poruszył pewien niepokojący aspekt misji, o którym nigdy wcześniej nam nie wspomniano.

– Rząd pokłada w was całkowitą wiarę – zaczął. –

Niemniej jednak nie można lekceważyć ewentualności porażki, jakkolwiek by była znikoma. – Wyciągnął dwie paczki Marlboro i wręczył po jednej Seung Ilowi i mnie. – Zwróćcie uwagę, że w każdej paczce jeden papieros jest lekko zaznaczony czarnym atramentem. Papierosy te zawierają ampułki z płynnym kwasem pruskim ukryte w filtrze. Po nagryzieniu z ampułek uwolni się cyjanek, który przemieni się w gaz i zostanie wchłonięty do krwioobiegu. Śmierć następuje praktycznie natychmiast. – Spojrzał teraz na nas, a jego tik sprawiał, że cała ta sprawa wydawała się jakimś ponurym żartem. – Jeśli któreś z was zostanie schwytane, musi zażyć truciznę, zanim zostanie przesłuchane. Tajny charakter tej misji musi zostać zachowany za wszelką cenę. Czy to jest zrozumiałe?

Wpatrując się w naznaczonego papierosa i momentalną śmierć w nim zawartą, poczułam nagły przypływ nudności. Kim Seung Il skinął głową i agent Cheon mdłym tonem kontynuował instruktaż:

– Daję wam, towarzysze, dziesięć tysięcy dolarów amerykańskich na pokrycie wydatków. Korzystajcie z nich rozsądnie. Wy, Ok Hwa, odpowiadacie za finansowy aspekt tej misji. Trzymajcie pieniądze w bezpiecznym miejscu i wymieniajcie na inną walutę w miarę potrzeb.

Sięgnął do walizki, która leżała otwarta na stoliku, i wyciągnął z niej gruby plik banknotów studolarowych. Ostrożnie je wzięłam i schowałam do portfela.

– I wreszcie – zakończył Cheon – chciałbym, żeby Ok Hwa dopilnowała, by Seung Il brał lekarstwa. –

Uśmiechnął się szczerze, spoglądając na starego wojownika. – Wiem, jak bardzo nienawidzicie ich smaku, Seung Il, więc nie do końca ufam, że będziecie sami je zażywać. A Partia potrzebuje was zdrowych.

Kim wzruszył ramionami. Nie rozbawiło go to. Odwrócił się do mnie i zapytał:

– Czy możesz na chwilę zostawić nas samych, Ok Hwa?

– Oczywiście – odparłam. Wstałam i wróciłam na swoje miejsce.

Z salonu dobiegały mnie strzępki kłótni. Z tego, co zdołałam podsłuchać, Seung Il nie był zadowolony z planu.

– Bzdura! – usłyszałam jego krzyk. – Będziemy w samym środku cholernego pola walki! Iran i Irak są wciąż w stanie wojny, niemożliwe będzie przemycenie materiałów wybuchowych przez lotnisko w Bagdadzie. Jeśli coś pójdzie nie tak, nie tylko Ok Hwa i ja będziemy mieli kłopoty. Cały nasz naród zostanie ośmieszony. Nie rozumiecie tego?

– Słuchajcie – warknął Cheon. – Takie dostałem rozkazy. Jeśli macie z nimi jakiś problem, proponuję, byście skontaktowali się z dyrektorem.

– Głupcy – odparł Kim niemal niesłyszalnie. – Mówiłem już o tym w kwaterze głównej. Wszyscy macie oczy w dupie.

Chwilę później wszedł do kabiny szybkim krokiem. Przed wyjazdem przeszedł operację żołądka; krążyły plotki, że cierpi na raka. Twarz miał bladą, niezdrową,

chodził niepewnie. Teraz przeszedł na tył samolotu i zamknął się w łazience, trzaskając drzwiami.

Wtedy pojawił się Cheon. Usiadł obok mnie i powiedział cicho:

– Waszym priorytetem podczas tej misji jest dbanie o jego zdrowie. A gdyby coś mu się stało, do was należy przejęcie zadania.

– On już wygląda, jakby miał paść – odparłam tonem niewiele głośniejszym niż szept.

– To po części wina leków – wyjaśnił. – Towarzysz może żyć jeszcze długie lata, ale stres związany z tą misją już zaczyna go męczyć. To tylko pogarsza jego stan fizyczny. Dbajcie o niego, Ok Hwa. Będzie was potrzebował.

– Proszę się nie martwić – przytaknęłam. – Poradzę sobie.

Ale brzmiałam znacznie pewniej, niż się w istocie czułam. Przyglądał mi się przez moment. Twarz drgała mu jak szalona.

Wreszcie wstał i poszedł do salonu. Po kilku minutach wrócił Kim, jeszcze bledszy niż zazwyczaj. Zatopił się w fotelu po drugiej stronie przejścia.

– Cholerni idioci – mamrotał, odchylając oparcie i zamykając oczy. Próbowiałam zasnąć, ale nie byłam w stanie. Do końca lotu wracałam myślą do Pjongjangu, gdzie przed wyjazdem Kim i ja złożyliśmy przysięgę wierności, rozpoczynając oficjalnie naszą misję:

Cały naród przepęłnia wzniosły duch socjalizmu. Rewolucja socjalistyczna w Korei Południowej jest nieuchronna i dla naszych wrogów nadeszła najczarniejsza godzina. Wyruszając na misję, przysięgamy, co następuje:

Podjmując tę misję, nigdy nie zapomnimy o wierze, jaką pokłada w nas Partia, i o trosce, którą nas otacza. Zobowiązujemy się przestrzegać Zasad Rewolucyjnych i w pełni z sobą współpracować w celu wypełnienia misji.

Będziemy bronić etyki Naszego Drogiego Przywódcy za cenę życia.

Kazano nam obojgu powtórzyć te słowa i podpisać zawierający je dokument.

Otworzyłam oczy i spojrzałam na Kima: najwyraźniej zasnął i teraz oddychał chrapliwie przez otwarte usta. Poczulałam przyływ czułości dla niego i gwałtowną chęć dotknięcia jego policzka.

Kim Seung Il miał siedmioro dzieci. Jego najmłodsza córka miała już ponad trzydzieści lat i była mężatką. Przeszedł na emeryturę w 1984 roku, ale w tym roku kazano mu wrócić. Od lat cierpiał na kamice pęcherzową, choć podczas naszej ostatniej wyprawy w 1984 roku wydawał się w dość dobrej kondycji. Przez ostatnie kilka dni często wspominał, jak bardzo lubił jako emeryt spędzać poranki na łowieniu ryb w stawie, w pobliżu swojego domu. Wiedziałam, że tak samo jak ja bardzo chciałby mieć to już za sobą.

Przypomniał mi się mój nagły wyjazd z obozu. Spakowałam się szybko, nie było czasu na długie pożegnania.

Życzyłam Suk Hui wszystkiego dobrego, wierząc, że jeszcze się spotkamy, a potem poszłam pożegnać Wol Chi. Przyszła do pokoju dziennego i najpierw zamknęła w żelaznym uścisku starego Seung Ila.

– Wróć w jednym kawałku, słyszysz? – nakazała, a oczy wypełniły jej się łzami.

Potem zwróciła się do mnie. Patrzyła na mnie dłuższą chwilę, a później powiedziała:

– Życzę ci, żebyś miała dobre życie, Ok Hwa. Będzie mi ciebie brakowało.

Zaniepokoiło mnie to stwierdzenie.

– Ależ Wol Chi, przecież nie wyjeżdżam na zawsze!

Wyprowadziła mnie do kuchni, każąc mężczyznom zaczekać. Kiedy zostałyśmy same, objęła mnie i powiedziała:

– Ok Hwa, myślę, że to nie byłoby takie trudne, gdybyś nie była taka piękna. Ale to połączenie urody i intelektu jest zbyt dobre, żeby mogli się powstrzymać. Mam nadzieję, że pewnego dnia pozwolą ci się ustatkować i wyjść za mąż. – Wypuściła mnie z objęć i zajrzała mi w oczy. – Już się więcej nie spotkamy. Powodzenia.

Teraz to ja z kolei miałam łzy w oczach i byłam w stanie jedynie głupkowato pokiwać głową przed wyjściem. Wiedziałam, że jeśli zostanę choć chwilę dłużej, zupełnie stracę panowanie nad sobą.

Teraz, wracając do terażniejszości, westchnęłam ciężko. Przez te lata poznałam tylu wspaniałych ludzi. Ta myśl stała się kolejnym bodźcem do wypełnienia misji, tak

jakbym tym samym spełniała ich oczekiwania względem mnie. Wydawało się, że całe moje życie, od narodzin do tamtej chwili, zależało wyłącznie od tego zadania.

Kolejne dni ciągnęły się boleśnie. Uzupełniliśmy paliwo gdzieś w głębi Związku Radzieckiego, późną nocą. Ziemia pokryta była śniegiem, a nieliczne światła, które mrugały do nas z pobliskiej miejscowości, tylko pogłębiały poczucie osamotnienia tego miejsca. Stamtąd wyruszyliśmy do Moskwy, gdzie spędziliśmy zaledwie jeden przykry dzień, zanim wyjechaliśmy w kierunku Budapesztu.

W Budapeszcie, podobnie jak w Moskwie, czuło się już nadchodzącą zimą. Dotarliśmy na miejsce późną nocą. Okazało się, że nikt w tamtejszej ambasadzie północnokoreańskiej nie został poinformowany o naszym przyjeździe. Najwyraźniej nasza misja była tak ściśle tajna, że jedynie kilka osób cokolwiek o niej wiedziało. Kim zadzwonił do ambasady i używając specjalnego hasła, uzyskał połączenie z agentem w terenie. Pół godziny później pojawił się szofer ambasady. Zabrał nas do kryjówki, w której mieliśmy spędzić kolejne kilka dni, a przynajmniej usiłował to zrobić. Po pewnym czasie wyznał jednak, że pracuje dla ambasady od niedawna i nie zna Budapesztu zbyt dobrze. Padał lekki śnieg, a my godzinami wędrowaliśmy po opustoszałych ulicach, zanim udało nam się zlokalizować kryjówkę. Była już trzecia nad ranem i oboje z Kimem zasnęliśmy w okamgnieniu.

Dni w Budapeszcie ciągnęły się nieznośnie. Kim

Seung Il był zbyt chory i wyczerpany, by gdziekolwiek wyjść, a ponieważ nie występowaliśmy jeszcze w roli turystów, nie mieliśmy nic ciekawego do roboty. Od czasu do czasu przechadzałam się po okolicy, by poczuć klimat tego nowego miasta, ale pogoda była okropna i czułam się tylko coraz bardziej przygnębiona. Telewizja nie przynosiła żadnej pociechy – nie rozumiałam ani słowa.

Agent, który zajmował się naszą kryjówką, nazywał się Chun. Był w średnim wieku i miał piękną żonę, która codziennie gotowała dla nas egzotyczne, zachodnie dania. Większość czasu spędzałam, gawędząc z nią, mimo że biorąc pod uwagę obustronne zobowiązanie do zachowania tajemnicy, niemożliwe było wyjść poza najbardziej powierzchowne tematy.

Nadrzędnym problemem, z którym musieliśmy się uporać, była kwestia wjazdu na teren Austrii bez wiz. Musieliśmy to zrobić, by nie można było nas wyśledzić. Jak dotąd jednak nikt nie powiedział nam, jak mamy tego dokonać. Skoro zaś nasi przełożeni w Pjongjangu nie opracowali żadnego zadowalającego planu, zadanie znalezienia rozwiązania spadło na agenta specjalnego Chuna.

W dniu poprzedzającym datę planowanego wyjazdu Chun wcześniej wyszedł z domu, twierdząc, że musi przeprowadzić rekonesans. Kim, który poczuł się już lepiej, zaproponował, abyśmy zwiedzili miasto. Liau, żona Chuna, przyłączyła się do nas. Kim się upierał, byśmy wstępowali do każdej mijanej kawiarni, gdyż rzekomo chciało mu się pić. Rozdrażniona stwierdziłam, że powinien był

zabrać z sobą butelkę wody i że ktoś, kto ma takie problemy żołądkowe, nie powinien wcale pić kawy!

– Zamknij się – odparował opryskliwie. – Dość się już nażyłem. Przed śmiercią będę pił, co mi się podoba, do cholery!

Nie minęło wiele czasu, a znów poczuł się zmęczony i musieliśmy wracać do domu. Chun także wrócił i tryumfalnie oświadczył, że już wie, jak przetransportować nas na teren Austrii.

– Ale tym będziemy się martwić jutro – powiedział. – Dziś zjemy kolację w hotelu Hilton.

W drodze na kolację znów miałam okazję oglądać Budapeszt. Mimo że Węgry od lat były państwem komunistycznym, w ostatnim czasie na skutek pierestrojki wprowadzono tu bardziej kapitalistyczną gospodarkę. Jedzenia, ubrań i towarów luksusowych było tu nieporównanie więcej niż w Korei Północnej, a już zupełnie odebrało mi mowę, kiedy odwiedziliśmy pchli targ. Nie mogłam uwierzyć, jak wiele różnych towarów wystawiano tam na sprzedaż, i podnosiłam jedną rzecz po drugiej dla samej przyjemności dotykania ich. Kim domyślił się, co czuję, i kupił mi sukienkę. Natychmiast pożałowałam, że nie mogę wysłać paru matce i Hyon Ok. Liau najwyraźniej czytała w moich myślach, bo zaproponowała, że kupi drugą suknię i obie odeśle do Pjongjangu. Uściskałam ją mocno i w sercu życzyłam sobie, by pewnego dnia i Korea mogła się cieszyć takim standardem życia.

Tego wieczoru zjedliśmy wyborną kolację, taką, jakiej

nie jadają nawet najwyżsi rangą obywatele Korei Północnej, i bawiłam się tak dobrze, jak podczas mojej pierwszej wyprawy do Europy.

Nazajutrz dzień wstał chłodny i deszczowy. Chun wyjaśnił, że sam przewiezie nas przez granicę austriacką swoim samochodem z dyplomatycznymi tablicami rejestracyjnymi i używając swojego dyplomatycznego paszportu. W ten sposób była szansa, że zostaniemy wpuszczeni bez problemów.

Przejechaliśmy przez wiejskie okolice wiodące do granicy i zatrzymaliśmy się przy węgierskim punkcie kontrolnym. Kiedy Chun wręczył strażnikowi trzy nasze paszporty ze swoim na wierzchu, strażnik gestem pokazał nam, byśmy przejechali. Niebawem dotarliśmy do austriackiego punktu kontrolnego, a chwilę później wjechaliśmy na teren samej Austrii.

Poczułam wtedy ogromną ulgę. Chun podał nam nasze japońskie paszporty, których mieliśmy od tej pory używać. Po drodze duże wrażenie zrobiły na mnie domy w zachodnim stylu, które były większe i wydawały się solidniejsze niż ich koreańskie odpowiedniki. Krajobraz był naprawdę piękny. Pamiętałam też z mojej poprzedniej wyprawy, jak majestatyczne są Alpy.

W Wiedniu zatrzymaliśmy się w biurze turystycznym. Kim wszedł do środka, by potwierdzić naszą rezerwację w hotelu Ampak. Nie było go ponad pół godziny i w końcu Chun i ja zaczęliśmy się niepokoić. Może zemdlął? Może został aresztowany? Chun już miał wejść do środka, kiedy

Kim wyszedł niespiesznie i wsiadł do samochodu. Ani słowem nie skomentował swojej długiej nieobecności, tylko w dwóch słowach rozkazał Chunowi jechać do hotelu.

Kiedy meldowaliśmy się w recepcji, Seung Il ledwie trzymał się na nogach. Zaraz po wejściu do pokoju rzucił się na łóżko i w ciągu kilku sekund usnął. Rozpakowałam bagaż, a potem leniwie przeglądałam magazyn, który przywiozłam z Pjongjangu. Kim spał przez jakąś godzinę, a kiedy się obudził, był już czas, by odebrać bilety.

To była najważniejsza część naszego pobytu w Wiedniu. Bilety na samolot już wcześniej wykupił dla nas ktoś z wywiadu zagranicznego, a tego dnia mieliśmy się spotkać z agentem w terenie. Wyszliśmy na zewnątrz w lekką mżawkę, otworzyliśmy parasole. Niebawem udało nam się znaleźć budkę telefoniczną i Kim wygmerał z kieszeni spis numerów. Na pożegnanie Chun wręczył każdemu z nas zakodowaną listę bezpiecznych numerów telefonicznych w całej Europie, pod którymi mogliśmy się skontaktować z personelem wywiadu zagranicznego w poszczególnych miastach. Kim zadzwonił teraz na specjalną linię ambasady Korei Północnej w Wiedniu. Zamienił kilka słów i się rozłączył.

– Pół godziny – rzucił, kiedy wychodziliśmy z budki. Wskazał park po drugiej stronie ulicy. – Przez park płynie strumień. Spotkamy się z agentem na ławce położonej najbliżej mostu.

Przeszliśmy przez ulicę i wolnym krokiem weszliśmy

do parku. Liście dawno już opadły, było raczej pusto. Wkrótce znaleźliśmy strumień i podążając jego brzegiem, doszliśmy do małego kamiennego mostku przerzuconego nad wodą. W pobliżu stała ławka, na której usiedliśmy i czekaliśmy w przejmującym chłodzie.

Jakieś dwadzieścia minut później z drugiej strony strumienia nadeszła dobrze ubrana kobieta w kapeluszu z szerokim rondem. Kiedy znalazła się bliżej, zauważyłam, że wygląda na Korkankę. Przeszła obok nas, nie zatrzymując się, ale usłyszałam, jak wypowiada słowo *Nakayama*. Seung Il powtórzył to samo, nie patrząc na nią. Obserwowałam ją. Odchodząc, wrzuciła coś do kosza na śmieci. Po chwili znikła nam z oczu.

Kim odczekał kilka minut, po czym stwierdził, że na nas już czas. Ruszyliśmy tą samą ścieżką, którą odeszła kobieta. Mijając kosz na śmieci, Kim rozejrzał się szybko, a potem sięgnął do środka i wyciągnął dużą brązową kopertę. Szliśmy dalej, a on tymczasem otworzył przesyłkę i zajrzał do środka.

– Doskonale – powiedział. – Może jednak uda nam się ruszyć tę sprawę.

Następne kilka dni upłynęło nam na zwiedzaniu Wiednia. Gdziekolwiek się pojawialiśmy, robiliśmy zdjęcia, idealnie odgrywając rolę turystów. Nie fotografowaliśmy jednak wyłącznie dla zachowania pozorów: wiedzieliśmy, że nasi zwierzchnicy w Pjongjangu będą zainteresowani tymi zdjęciami, bo będą one dowodem na to, że

ściśle przestrzegaliśmy instrukcji i nie trwoniliśmy czasu w wymyślnych sklepach, zwabieni kapitalistyczną dekadencją.

Któregoś popołudnia zjedliśmy obiad w chińskiej restauracji, co było miłą odmianą od zachodnich potraw. Nie żebym ich nie lubiła, ale od tygodnia nie jadłam nic innego i teraz cieszyłam się, że mogę skosztować czegoś, co znam.

Podczas obiadu Kim złapał się nagle za brzuch i o mało nie spadł z krzesła.

– Mayumi – powiedział, bo nie wolno nam było używać swoich koreańskich imion podczas tej misji – nie dam rady wstać.

Podeszłam, żeby mu pomóc.

– Musisz, Shinichi. Nie możemy wezwać karetki.

Pomogłam mu wstać. Zapłaciłam rachunek i zabrałam Kima z powrotem do hotelu. Opierał się o mnie niemal całym ciężarem, łapał powietrze krótkimi wdechami. Przez chwilę bałam się, że umrze, ale kiedy dotarliśmy do hotelu, powiedział, że czuje się lepiej.

Przeszedł przez hol o własnych siłach, nie chciał bowiem zwracać na nas niczyjej uwagi. Kiedy znaleźliśmy się w pokoju, padł na łóżko. Wyjęłam jego leki i zmusiłam go, by je zażył. Wkrótce zasnął. Poczułam taką ulgę, że zrobiło mi się słabo.

Całe popołudnie spędziłam, oglądając austriacką telewizję, aż wreszcie sama usnęłam. Seung Il obudził się pod wieczór i mogliśmy wyjść na lekki posiłek. Po powrocie spędziliśmy jakiś czas, ćwicząc z atrapą bomby.

Ostatniego dnia w Wiedniu poszliśmy na zakupy. Jak zawsze oczekiwano, że przywieziemy upominki dla wysokich urzędników państwowych, ale każdy z nas miał do dyspozycji po dwieście dolarów na własne wydatki. Wkrótce okazało się, że w Wiedniu niewiele da się za to kupić. Wchodziliśmy do jednego sklepu po drugim i w porównaniu z eleganckimi Europejkami w futrach z norek, czuliśmy się zupełnie nie na miejscu jako rzekomo bogaci japońscy turyści, szczególnie że prawdziwi japońscy turyści naprawdę byli równie zamożni jak Europejczycy. Większość ubrań była na mnie zbyt duża i w końcu kupiliśmy jedynie drobiazgi: baterię do zegarka Seung Ila i pięć par pończoch dla mnie.

Nie było mi żal wyjeżdżać z Wiednia. To piękne miasto, ale odkąd odebraliśmy bilety na samolot, czułam, że dalszy pobyt tam jest bezcelowy. Nie mieliśmy nic do roboty, a ponieważ pochodziliśmy z socjalistycznego kraju, tak długi pobyt w Europie Zachodniej był może i fascynujący, ale przede wszystkim bardzo obcy.

Wydawało się, że w Belgradzie będzie inaczej. Mimo że Jugosławia była odizolowana od innych krajów bloku sowieckiego, było to państwo komunistyczne. Chodziły słuchy, że żyje się tam lepiej niż w Korei Północnej (ale to akurat była prawda o wszystkich krajach, które odwiedziłam). Bałam się używać japońskich paszportów w socjalistycznym kraju; spodziewałam się, że z tego powodu będą nas znacznie baczniej obserwować. Badacz z wywiadu zagranicznego w Pjongjangu potwierdził, że

owszem, Belgrad przyciąga japońskich turystów, ale w niewielkiej liczbie. Nawet nasi przełożeni przyznali, że może być ciężko.

Mój niepokój wzrósł, kiedy się okazało, że jesteśmy jedynymi Japończykami w samolocie do Belgradu. W Wiedniu musieliśmy unikać kontaktu z Azjatami. Tutaj rzucaliśmy się w oczy. Wspomniałam o tym Kim Seung Iłowi, który nie pierwszy raz odpowiedział, że plan naszej misji był od początku wadliwy.

Mimo to bez problemu wjechaliśmy do Belgradu, a na lotnisku kilkunastu taksówkarzy kłóciło się, z których usług skorzystamy. W drodze do hotelu Intercontinental, gdzie mieliśmy się zatrzymać, Belgrad wydał mi się brudniejszy, posepniejszy i znacznie bardziej przygnębiający niż Wiedeń. Pogoda była paskudna, miasto chaotyczne i ani krajobraz, ani architektura nie wydawały mi się szczególnie interesujące.

Nudziliśmy się jeszcze bardziej niż w Wiedniu. Kim przez większość czasu czuł się źle, choć codziennie wychodził chwiejnym krokiem na kilka godzin. Pewnego dnia udaliśmy się do domu towarowego, gdzie Kim prawie przez godzinę przymierzał kapelusze. Ja podeszłam do regałów z damską bielizną, zdumiona różnorodnością romantycznych i seksownych koronek. Miałam dwadzieścia pięć lat, byłam dziewicą i nie miałam żadnych perspektyw na zamążpójście w najbliższym czasie – o ile w ogóle.

Seks jako taki stanowił dla mnie ciekawy problem. Ani dla mnie, ani dla żadnej kobiety z mojego otoczenia

seksualna chemia pomiędzy przedstawicielami obu płci nie była tajemnicą, a jednak od dziecka byliśmy uczeni, że poza małżeństwem seks jest zabroniony. Nawet na studiach mężczyźni i kobiety byli trzymani oddzielnie. Po ślubie seks był dozwolony jedynie w celach prokreacyjnych, jako że nasz socjalizm nie znajdował żadnego zastosowania dla pojęć takich jak miłość. Korea Północna była całkowicie niezmysłowym społeczeństwem i moje poglądy po części odzwierciedlały ten stan rzeczy. Co za ironia więc, że przełożeni wymagali od nas, agentek, byśmy uwodziły mężczyzn i manipulowały nimi dla dobra misji. Jednak mimo wychowania, jakie otrzymałam, doskonale zdawałam sobie sprawę z erotycznego potencjału mężczyzn i kobiet i niekiedy odczuwałam wielką tęsknotę i bolesną samotność.

Kupiłam sobie koronkową bieliznę, nieosiągalną w Korei Północnej, a potem rozejrzałam się za Kim Seung Ilem. Nigdzie nie było go widać. Kiedy tak wędrowałam między regałami, zaczepił mnie przemoczony stary schizofrenik, który zaczął wykrzykiwać sprośności (a przynajmniej tak to brzmiało), a w końcu spróbował uderzyć mnie parasolem. Przeraziłam się, że ta scena zwróci powszechną uwagę, i zanim zdążyłam się zastanowić, zadziałały wyuczone odruchy. Złapałam go za rękę, w której trzymał parasol, i kopnęłam kolanem w krocze. W tym samym momencie wykręciłam mu rękę i rzuciłam go na dywan. Uklęknęłam przy nim z ręką uniesioną do ciosu w twarz, ale ponieważ skręcał się z bólu, trzymając się za

krocze, nie było potrzeby tego robić. Na szczęście zewsząd otaczały nas półki z bielizną i nikt nie zwrócił na nas najmniejszej uwagi. Chwyciłam torby z zakupami i uciekłam ze sklepu, zastanawiając się jak szalona, gdzie, do diabła, podział się Kim.

Wszystko mogło się zdarzyć, myślałam, na wpeł biegnąc do hotelu. Zawał serca, aresztowanie – może mnie nawet porzucił! Byłam zła i zdenerwowana, a perspektywa kontynuowania misji w pojedynkę była absolutnie przerażająca.

Wróciłam do hotelu i zastałam Kima w naszym pokoju. Otwierał właśnie jakieś paczki z jedzeniem. Poczulałam olbrzymią ulgę i wtedy moja radość natychmiast przerodziła się w gniew.

– Gdzie byłeś, do cholery?! – krzyknęłam, rzucając torby na łóżko i stając na wprost niego. – Wszędzie cię szukałam! Dlaczego, do diabła, zostawiłeś mnie tam samą?

Wydawał się rozbawiony moją furją, a w ramach odpowiedzi wskazał na stół.

– Kupowałem kiełbasę i chleb. Proponuję, żebyśmy zjedli, póki świeże, co?

Stałam tam, wciąż wściekła. Byłam zszokowana faktem, że zostawił mnie samą, i tak samo zaskoczona jego obojętnością wobec mojego gniewu. Uśmiechnął się i podniósł ręce w uspokajającym geście.

– Mayumi, ja też cię szukałem. Kiedy skończyłem z kapeluszami, nigdzie nie mogłem cię znaleźć. Miałem nadzieję, że po prostu wrócisz do hotelu, i sam zrobiłem

dokładnie to samo. Po drodze trafiłem na tę kielbasę, która teraz stygnie.

Podał mi kromkę chleba, a ja wepchnęłam ją sobie do ust. Nadal gapił się na mnie rozbawiony i po chwili ja też wybuchnęłam śmiechem. Zamierzyłam się na niego żartobliwym kopnięciem w twarz, a on mimo podeszłego wieku zrobił natychmiastowy unik, przyjmując pozycję bojową.

– Idiota – mruknęłam, wciąż się śmiejąc i przeżuwając chleb. – Martwiłam się o ciebie.

Przez resztę pobytu w Belgradzie szykowaliśmy się do wyjazdu do Bagdadu. W nieskończoność ćwiczyliśmy uzbrajanie bomby, tak że kiedy nadeszła pora wyjazdu, potrafiłam zrobić to nawet przez sen. Tego dnia bardzo uważnie spakowaliśmy walizki i dwa razy sprawdziliśmy pokój, by mieć pewność, że nie zostawiliśmy po sobie niczego, co pomogłoby nas wyśledzić.

– To już, Mayumi – powiedział Seung Il, kiedy zamknęliśmy drzwi i ruszyliśmy w kierunku windy. – Czas walki.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Stał na pasie startowym, nie dalej niż sto metrów ode mnie: samolot Korean Air 858. Wpatrywałam się weń przez ogromne okno terminalu, obserwując, jak załoga naziemna kończy prace konserwatorskie. Gdyby tylko wiedzieli, co się dzisiaj stanie...

Był 28 listopada, tuż przed zachodem słońca. Nawet teraz, pod koniec roku, w Bagdadzie panował duszący upał. Dopiero co zgodnie z rozkładem przylecieliśmy z Belgradu i za kilka godzin mieliśmy wyruszyć do Abu Zabi. Dziś, po tylu dniach przygotowań, akcja wreszcie się rozpocznie.

Kim Seung Il stanął obok mnie. Poczułam, że myśli o tym samym. Sięgnął po moją dłoń i uścisnął ją w rzadkim geście czułości. Dobrze wpisywało się to w nasze role – gest miłości ojca wobec córki. Wiedziałam, że mimo podeszłego wieku i doświadczenia denerwuje się równie mocno jak ja. Przez moment myślałam o tym, że naprawdę przez ten czas stał mi się bliski jak ojciec. A potem przypomniała mi się moja własna rodzina i zapragnęłam być z nimi w domu.

– Już niedługo, Ok Hwa – szepnął, po raz pierwszy ośmielając się użyć mojego koreańskiego imienia. – Już niedługo.

Odwróciliśmy się od okna i zobaczyliśmy dwóch eleganckich Koreańczyków, zmierzających w naszym

kierunku przez tłum oczekujących. Jeden z nich niósł sporą walizkę. Od razu wiedziałam, że to nasz kontakt i że w walizce znajduje się bomba. Udawałam spokój, ale żołądek miałam ściśnięty.

Obaj agenci nazywali się Choe i faktycznie było w nich jakieś upiorne podobieństwo, mimo że rzekomo nie byli spokrewnieni. Dokładnie tego samego wzrostu, obaj ubrani w drogie czarne garnitury i modne okulary przeciwsłoneczne w metalowych oprawkach. Nawet włosy mieli tak samo gładko zaczesane w tył i przez moment wydawało mi się, że patrzę na bliźnięta.

Starszy z mężczyzn był w randze dyrektora, a młodszy – agenta specjalnego. Po krótkiej wymianie powitań i uprzejmości udaliśmy się razem na drinka do lotniskowego baru. Z troską, która wydała mi się szczerą, dyrektor Choe pytał pana Kima o zdrowie, które nie poprawiło się od wyjazdu z Pjongjangu.

– To będzie moja ostatnia misja – odparł Kim.

Dyrektor Choe poklepał go po ramieniu.

– Jeśli tak, to nie wyobrażam sobie lepszego zakończenia tak znakomitej kariery. – Pociągnął łyk drinka, a potem rzucił: – Przypuszczam, że oboje pamiętacie, jak nastawić zegar?

– Oczywiście – odparł Kim.

– Doskonale – dokończył drinka i zerknął na zegarek.

– No cóż, na nas już chyba czas. Nie byłoby dobrze, gdyby ktoś nas z wami zobaczył. – Spojrzał na mnie i Kima. – Powodzenia.

Uścisnęliśmy sobie ręce i agenci wyszli, pozostawiając nas z walizką. Poczułam dziwną ulgę, że to Kim, a nie ja, ją poniesie.

– Pamiętaj – powiedział, kiedy zbliżaliśmy się do bramki – płyn zapalający w butelce zwiększy siłę wybuchu bomby radiowej, dlatego należy trzymać je przez cały czas w jednym miejscu. – Rozejrzył się wokół, by sprawdzić, czy nikt nas nie słyszy. – Poza tym – ciągnął dalej jeszcze ciszej – pamiętaj, że baterii do radia nie można zastąpić innymi, więc lepiej ich nie zgub. – Uśmiechnął się, co mu się rzadko zdarzało, i dodał drwiącym tonem: – I uważaj, żebyś nie pomyliła moich leków z płynem zapalającym.

W punkcie kontroli bezpieczeństwa rozdzieliliśmy się. W tej części świata sprawdza się nie tylko bagaż, ale i ciało pasażera. Na zewnątrz starałam się zachować spokój, ale serce waliło mi jak szalone i czułam się lekko zamroczona.

Wszystko szło gładko, dopóki celniczka w punkcie kontrolnym – surowa, ponura kobieta po trzydziestce – nie odkryła w moim bagażu podręcznym baterii. Natychmiast je zabrała.

– Na tym lotnisku nie wolno wносить baterii na pokład samolotu.

Od razu wpadłam w panikę. Bez baterii bomba nie wybuchnie i nasza długa, szczegółowo zaplanowana i kosztowna misja okaże się bezużyteczna, nasze wysiłki bezwartościowe. Błagałam ją niemal z płaczem, by oddała mi baterie. Pozostała niewzruszona, a przy tym wydało jej się podejrzane, dlaczego ktoś tak bardzo przejmuje się

kilkoma zwykłymi bateriami. Wrzuciła je do kosza na śmieci; widziałam, że traci cierpliwość.

Nie mogłam sobie wyobrazić powrotu do Korei Północnej, jeśli poniosę porażkę. Nabierałam właśnie oddechu, by dalej z nią dyskutować, kiedy dostrzegłam Kima idącego w moim kierunku. On sam przeszedł już kontrolę. W tamtej chwili był dla mnie jak wybawca – szybko opowiedziałam mu, co się stało. Zmarszczył brwi i zajrzał do kosza, a zaraz później sięgnął po baterie. Włożył je do radia i włączył je, by sprawdzić, czy działa.

– Proszę posłuchać – zwrócił się do celniczki – te baterie są potrzebne do radia, to wszystko. Nigdy nie mieliśmy z ich powodu kłopotów na żadnym lotnisku, na którym byliśmy. Jeśli nie pozwolicie nam wnieść ich na pokład, możecie być pewni, że złożę skargę w ambasadzie irackiej w Tokio zaraz po powrocie, że nie wspomnę o japońskiej ambasadzie w Bagdadzie.

W tamtej chwili zdałam sobie sprawę ze znaczenia japońskiej potęgi ekonomicznej. Kobieta zawahała się i zerknęła na innego celnika, który z boku przyglądał się całej scenie.

– Proszę wybaczyć – zaczął, występując naprzód. – My jedynie przestrzegamy przepisów, musi pan zrozumieć. – Przez moment patrzył na Kima, a potem skapitulował. – Jak pan sobie życzy. Może je pan wnieść na pokład.

Poczułam ogromną ulgę. Wreszcie mogliśmy przejść dalej. Czekał nas jeszcze jeden punkt kontrolny, gdzie in-

spekcja zaczęła się od początku. Tym razem jednak Kim schował sobie radio za pasem i przeszliśmy bez problemu.

– Mówiłem tym idiotom w Pjongjangu, że tu będą kłopoty – mruzczał pod nosem.

Podchodząc do bramki, zobaczyliśmy dużą grupę południowokoreańskich podróżnych. Mieliśmy niemal wrażenie, że jesteśmy na lotnisku w Korei Południowej. Udało nam się znaleźć miejsca z dala od innych. Kim poszedł z walizką do toalety, ale wrócił już po minucie.

– Mayumi, w męskiej toalecie jest tłok. Musisz zabrać bombę do damskiej ubikacji i sama ją nastawić.

Gapiałam się na niego przez chwilę, czując nagłe napięcie. Mimo że się wyuczyłam, jak uzbroidź bombę, to jednak przez całą misję zakładałam, że wszystko pójdzie zgodnie z planem i że to Kim się tym zajmie. Kiedy nasze oczy się spotkały, zrozumiałam, że to chwila próby. Zdołałam wytrzymać jego spojrzenie.

– Oczywiście, zaraz wrócę – odparłam.

W toalecie zamknęłam się w kabinie i wyciągnęłam radio. Ćwiczyłam to dziesiątki razy na atropie, ale teraz, z prawdziwą bombą, byłam śmiertelnie przerażona. Ręce mi się trzęsły i żadnym wysiłkiem woli nie mogłam ich uspokoić. Wreszcie postanowiłam, że po prostu muszę to zrobić. Spojrzałam na zegarek. Była 22.40. Za dwadzieścia minut powinniśmy wejść na pokład. Krok po kroku, tak metodycznie, jak to możliwe, ustawiłam alarm zegara na dziewięć godzin do przodu. Potem, wstrzymując oddech i podświadomie oczekując, że bomba eksploduje tu i teraz,

przełączyłam włącznik detonacji na pozycję „aktywny”.

Już. Zrobiłam to. Odetchnęłam z ulgą i przemknęło mi przez myśl, że nie ma już odwrotu. W tamtej chwili nie miałam poczucia winy czy wyrzutów sumienia z powodu tego, co robiłam. Myślałam tylko o tym, że muszę wypełnić misję i że nie mogę zawieść mego kraju.

Ale kiedy wychodziłam, a w lustrze mignęło mi moje własne odbicie, zobaczyłam twarz naznaczoną niepokojem i zmęczeniem ostatnich kilku dni i nie mogłam powstrzymać się od pytania jak, na Boga, się tu znalazłam. Przez moment widziałam twarz, którą znałam jako dziecko, a nie tę dojrzałą, dorosłą, która patrzyła na mnie teraz. W tamtej chwili wydała mi się dziwna, nagle obca, tak jakbym dorosła niespodziewanie dla samej siebie i zapomniała przy tym, kim jestem. Zobaczyłam w swojej twarzy twarz matki i zastanowiłam się, co też by teraz o mnie pomyślała. Poczulałam nagle z całym przekonaniem, że nie pochwaliby tego, co robię, mimo wszystkich zaszczytów, których miałam dostąpić. Minęło sporo czasu, zanim zdażyłam się oderwać od tych myśli.

Kiedy wróciłam, Kim pytająco uniósł brwi. Skinęłam głową z bladym uśmiechem i usiadłam obok niego, czekając, aż zostaniemy wezwani na pokład.

Kim wyciągnął fiolkę z pigułkami i wytrząsnął cztery. Przełknął dwie z nich, a pozostałe dwie wręczył mi.

– Na twoje nerwy – powiedział, a ja przyjąłam je z wdzięcznością.

Z głośnika dobiegł głos; rozpoczynała się procedura

wejścia na pokład. Wsiedliśmy do autobusu, który miał nas zawieźć do samolotu. Mimo że odległość była niewielka, dla mnie trwało to całe wieki. Nad Bagdadem zapadła już noc i teraz samolot górował nad nami, oświetlony majestatycznie na tle ciemnego nieba.

Kiedy myślę teraz o tłumie zgromadzonym podczas ogłoszenia mojego wyroku w sali sądowej, nie mogę nie myśleć o tej chwili w autobusie. Niemal wszyscy pasażerowie byli obywatelami Korei Południowej. Rozmawiali z ożywieniem. Poczułam nagły przypływ współczucia. Choć byli Koreańczykami „z Południa”, myślałam o nich jak o swoich. Ten podział między nami wydawał się taki sztuczny. Powtórzyłam sobie, że moja misja służy obu naszym narodom. Tak mi powiedziano i w to wierzyłam.

Teraz jednak, spoglądając wstecz, widzę zapłakane twarze rodzin w sali sądowej i próbuję połączyć je z roześmianymi twarzami w autobusie. Zastanawiam się, kto był czyim krewnym.

Autobus zatrzymał się, wytrącając mnie z rozmyślań. Wsiedliśmy na płytę lotniska i przeszliśmy niewielką odległość do schodów wiodących do samolotu. Na ich szczycie przywitały nas dwie stewardesy; trzecia przyszła wskazać nam miejsca.

Kim umieścił nasze bagaże w schowku nad głową. Przyglądałam mu się uważnie, gdy to robił – na jego twarzy malowało się wyczerpanie. W tamtej chwili wydawał się stary i słaby, ale nie mogłam przestać myśleć, że jest w nim także jakaś majestatyczność: stary, zasłużony

szpieg, który niejedno widział w swoim siedemdziesięcioletnim życiu.

Usiadłam przy oknie, Kim pośrodku. Miejsce od strony przejścia zajęła wkrótce jakaś Europejka. Ulżyło mi, że to nie Koreanka, ale potem zastanowiłam się, czy i ona za kilka godzin będzie martwa. To było upiorne uczucie.

Wcześniej, kiedy wsiadaliśmy na pokład, udało mi się uspokoić, ale teraz znów byłam przerażona. Zapadła noc i kabina samolotu wydawała się oddzielnym małym światem, bardzo ograniczonym, klaustrofobicznym. Czułam się jak w potrzasku. Poza tym zawsze istniała możliwość, że bomba wybuchnie przed czasem. W każdej chwili mogłam zginąć i nawet nie wiedzieć, co się stało. Nie była to przyjemna myśl.

Samolot wystartował zgodnie z planem. Próbowалам usnąć, ale nie mogłam. Zamiast tego przysłuchiwałałam się toczonym wokół rozmowom. Większość Koreańczyków stanowili robotnicy, prawdopodobnie zatrudnieni przy wydobywaniu ropy, którzy cieszyli się, że wracają do domu. Niektórzy narzekali na swoich pracodawców i warunki pracy, co w moim odczuciu potwierdzało, że – jak nas uczono – południowokoreańskie korporacje wyzyskują swoich pracowników.

Za każdym razem, kiedy w pobliżu pojawiała się stewardesa, serce zaczynało mi bić szybciej. W pobliżu siedział też ochroniarz, który obserwował pasażerów. Miałam wrażenie, że bez przerwy gapi się na mnie.

Raz jeszcze spróbowałam się uspokoić. Myślałam

o tym, że jeśli mi się powiedzie, czekają mnie w kraju najwyższe zaszczyty. Myślałam też o tym, co powiedziano mi w Pjongjangu przed rozpoczęciem misji, że ze względu na poufność tego przedsięwzięcia nigdy więcej nie będę już pracowała jako agentka. Umocniło to we mnie wiarę, że będę mogła wrócić do rodziny, czego pragnęłam najbardziej na świecie.

Pozostali pasażerowie usnęli i światła w kabinie przygaszono, pozostawiając samolot w ciemności. Słysząc było tylko jednostajny szum silników. Spojrzałam na Kim, który wydawał się pogrążony w głębokiej zadumie. Widziałam jednak, jak żyła na jego szyi pulsująca z każdym uderzeniem serca, i słyszałam, że oddycha bardzo szybko.

Lot, mimo że trwał zaledwie godzinę, wydawał się wiecznością. Wszystkie wcześniejsze niepokoje i trudności okazały się niczym wobec strachu, jaki odczuwałam w tamtej chwili. Nie mogłam zrobić nic więcej, musiałam czekać. Kiedy z głośników odezwał się głos pilota, informując nas, że zbliżamy się do Abu Zabi, dosłownie podskoczyłam w fotelu. Kim i ja spojrzeliśmy na siebie nawzajem i myślę, że byliśmy równie zdesperowani. Im bliżej było do lądowania, tym bardziej się denerwowałam, jak gdybym odliczała czas do nieuchronnej katastrofy.

Wreszcie samolot dotknął ziemi i zwolnił, ale długo trwało, zanim dotarliśmy do wyjścia. Wstaliśmy od razu i wyciągnęliśmy bagaże ze schowków. Przez moment wpatrywałam się w walizkę z materiałami wybuchowymi

– wyglądała tak nieszkodliwie. Trudno było uwierzyć, że wewnątrz znajduje się bomba zdolna zniszczyć ten samolot. Przeszedł mnie dreszcz i wreszcie odwróciłam się od niej na zawsze.

Mnóstwo czasu straciliśmy, czekając do wyjścia z samolotu. Wszyscy stali w kolejce. Wielu pasażerów, którzy lecieli dalej do Seulu, wysiadało jedynie po to, aby rozprostować nogi. „Ruszać się, do cholery! – myślałam, zaciskając zęby. – Dalej!!!”

Wydawało się, że stoimy w tym przejściu całą wieczność, zanim wreszcie dotarliśmy do wyjścia, ale nawet wtedy podświadomie czekałam, aż jakaś niewidzialna ręka wciągnie mnie z powrotem na pokład albo aż pojawi się steward z walizką i zapyta, czy ona należy do nas. Ale stewardesy przy drzwiach tylko się do nas uśmiechnęły i powiedziały:

– Do widzenia. Dziękujemy za wspólny lot.

Nogi mi drżały, kiedy wysiadałam, ledwie mogłam iść prosto. Czułam jednak wielką ulgę, jakby poddano mnie męczącej próbie, z której wreszcie wyszłam obronną ręką. Spojrzałam na Kima – uśmiechnął się.

Nasza ulga nie trwała jednak długo. Strażnik stojący w holu lotniska odbierał od pasażerów tranzytowych (przesiadających się na inne loty) bilety i paszporty, a tym, którzy lecieli dalej tym samym samolotem, wręczał żółte karty pokładowe.

Kim od razu się zdenerwował. Zgodnie z planem mieliśmy się przesiąść na samolot lotu 603 należący do

Jordanian Airlines, który zawiózłby nas przez Amman do Rzymu. Tu jednak wyniknął problem – oto zupełnie niespodziewanie strażnik każe nam pokazać bilety.

Problem polegał na tym, że jeśli pokazalibyśmy mu bilety z Abu Zabi przez Amman do Rzymu, niemal na pewno wzbudziłoby to w nim podejrzenia. Dlaczego japońska rodzina miałaby lecieć z Bagdadu do Abu Zabi i natychmiast kontynuować podróż przez Amman do Rzymu, skoro dostępnych jest mnóstwo bezpośrednich połączeń z Bagdadu do Rzymu? Nie mogliśmy też twierdzić, że zostajemy w Abu Zabi, bo musielibyśmy mieć wizę – co było niemożliwe, jako że Japonia nie podpisała w tym zakresie stosownych umów ze Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi.

Nie przewidzieliśmy takiego problemu. Żadne inne lotnisko na świecie – przynajmniej o ile nam było wiadomo – nie odbierało biletów pasażerom, którzy przez nie tylko przejeżdżali. Sytuacja stawała się niebezpieczna.

Kiedy zatem strażnik dotarł do nas, pokazaliśmy mu nasze zapasowe bilety relacji Wiedeń-Bagdad-Bahrajn. Zabrał je, informując nas, że zajmie się wszystkimi dalszymi procedurami.

– Co teraz robimy? – zapytałam szeptem Kima.

– Musimy wyjechać z Abu Zabi najszybciej, jak to możliwe – odparł. – Będziemy musieli najpierw polecieć do Bahrajnu, a dopiero stamtąd do Rzymu.

Samolot lotu 858 odleciał do Bangkoku i dalej do Seulu – patrzyłam, jak jego światło blednie na nocnym

niebie. Miałam mieszane uczucia, z jednej strony oczekiwania, z drugiej zaś lęku. Nie mogłam przestać myśleć o Koreańczykach i o tym, jak się śmiali.

Minęło kilka godzin. W Abu Zabi był środek nocy i na lotnisku panowała cisza. Strażnik, który zabrał nasze bilety, rozmawiał ze swoimi kolegami po przeciwległej stronie poczekalni i od czasu do czasu zerkał w naszą stronę. W którymś momencie Kim poszedł go zapytać, co się stało z naszymi biletami. Strażnik odparł, że dostaniemy je przed wejściem na pokład o dziewiątej i żebyśmy się nie martwili.

Kim usiadł, trąc twarz dłońmi i narzekając gorzko, że od początku wiedział, iż nasz plan jest źle skonstruowany. Potem jednak, widząc, że coraz bardziej się boję, próbował mnie pocieszyć:

– Przyczyn katastrofy lotniczej nie da się szybko wyjaśnić. Powinno nam się udać wrócić do Pjongjangu, zanim zaczną nas szukać.

Wyglądał jednak, jakby sam nie wierzył w to, co mówi, więc nic nie odpowiedziałam.

Tuż przed świtem spojrzałam na zegarek. Bomba miała wybuchnąć o 6.00 naszego czasu; była 5.54. Myślałam o samolocie, który powinien być gdzieś nad Morzem Andamańskim, w pobliżu Birmy. Teraz już w każdej chwili...

Zapadłam w niespokojną drzemkę. Kiedy się obudziłam, był już dzień i nasz samolot miał niebawem odlecieć. Strażnik zwrócił nam paszporty i bilety i wsiedliśmy na

pokład samolotu do Bahrajnu. Naprawdę odetchnęłam z ulgą, kiedy wznieśliśmy się w powietrze. Bardzo się cieszyłam, że wylecieliśmy z Abu Zabi.

Godzinę później wylądowaliśmy w Bahrajnie. Był niedzielny poranek, 29 listopada. Ale i tu nie czuliśmy się szczególnie bezpieczni i usiłowaliśmy natychmiast kupić bilety do Rzymu. Ponieważ jednak nasza trasa zaczynała się w Abu Zabi, konieczne było ich ponowne potwierdzenie w biurze linii lotniczych, które w niedzielę było nieczynne. Potrząsając głową ze złością, Kim stwierdził, że będziemy musieli zostać na noc w Bahrajnie, wykupiliśmy więc trzydniową wizę tranzytową.

Przez telefon zarezerwowaliśmy pokój w hotelu Intercontinental i udaliśmy się tam taksówką. Przespaliśmy prawie cały dzień. Nie mieliśmy nic do roboty, musieliśmy czekać.

W poniedziałek rano próbowaliśmy zarezerwować bilety do Rzymu, ale powiedziano nam, że nie ma wolnych miejsc i że musimy poczekać do wtorku.

Cały dzień zwiedzaliśmy więc Manamę, udając japońskich wczasowiczów, ale żadne z nas nie zapamiętało absolutnie nic z tego, co widzieliśmy. Udaliśmy się też na zakupy, żeby jakoś zabić czas. Kim kupił owoce i kanapki na kolację; zabraliśmy je z powrotem do hotelu.

Kiedy jedliśmy, zadzwonił telefon. Byłam tak zaskoczona, że upuściłam na podłogę banana, którego właśnie obierałam. Nikt nie wiedział, że tu jesteśmy, nawet nasi przełożeni. Nikt nie miał powodu, żeby do nas dzwonić.

Spojrzałam na Kima, czując, jak krew odpływa mi z twarzy. Odwzajemnił moje spojrzenie, a potem odebrał telefon.

Słuchał przez chwilę, a potem odłożył słuchawkę. Wstał i podszedł do okna, ręce założył za plecami. Zapytałam, co się stało, ale nie odpowiedział. Po sposobie, w jaki zacisnął szczęki, poznałam, że się denerwuje. Serce zaczęło mi walić, poczułam suchość w ustach. Parę minut później telefon znów zadzwonił. Kim podszedł, żeby odebrać, a potem gestem wskazał paszporty. Podałam mu je. Słyszałam, jak odczytuje nasze nazwiska i numery paszportów, potem odłożył słuchawkę.

– To była japońska ambasada – westchnął i spojrzał na mnie, a potem dodał: – Nie martw się, nie będzie im łatwo nas wyśledzić.

Spojrzałam mu w oczy i powiedziałam:

– Nie wierzę w to.

I naprawdę nie wierzyłam. Naszło mnie przeczucie, że władze dokładnie wiedzą, kim jesteśmy i gdzie się znajdujemy.

Wzruszył ramionami. Jego twarz nic nie wyrażała. Wstałam i zaczęłam sprzątać ze stołu, kiedy telefon zadzwonił po raz kolejny. Kim odebrał, słuchał przez chwilę, a potem odłożył.

– Mayumi, w holu są dwaj mężczyźni z ambasady Korei Południowej. Wchodzą na górę, żeby się z nami spotkać. Udaj, że śpisz, i pozwól, że ja się tym zajmę.

W przypiływie paniki położyłam się na łóżku, zapo-

minając o zdjęciu butów. Odwróciłam się do ściany i przykryłam aż po szyję. Chciałam zanurzyć się w to łóżko i zniknąć. Moje straszne przeczucie się potwierdziło, wiedziałam, że nie ma już dla nas nadziei.

Chwilę później usłyszeliśmy pukanie do drzwi. Kim otworzył i zaprosił obu mężczyzn do środka.

– Proszę wybaczyć – powiedział, przedstawivszy się uprzednio – moja córka jest wyczerpana i musi odpoczywać.

Usiedli przy stole. Koreańczycy nie znali japońskiego, więc rozmowa toczyła się w łamanym angielskim. Mężczyźni często przeklinali ze złością, ale Kim niewzruszenie odgrywał swoją rolę.

Wreszcie przedstawili sprawę, z którą przyszli. Powiedzieli, że samolot Korean Airlines do Seulu ze stu piętnastoma pasażerami na pokładzie zaginął w drodze do Bangkoku, gdzie miał mieć międzylądowanie, i że prawdopodobnie się rozbił. Wyczuwałam w ich tonie, że podejrzewają nas o spowodowanie katastrofy. Pytali, dokąd się dalej wybieramy.

Przez chwilę myślałam o eksplozji w samolocie. Przyznaję, że nie czułam wtedy żadnej skruchy i że ulżyło mi, kiedy się upewniłam, iż wykonaliśmy misję i pozostaliśmy wierni Kim Ir Senowi i Kim Dzong Iłowi. Byłam teraz przekonana, że planowane na 1988 rok igrzyska w Seulu nie odbędą się i że znacznie się przyczyniłam do zjednoczenia Korei.

Koreańczycy wyszli, uprzedzając, że nazajutrz wrócą.

Kilka godzin później usłyszeliśmy pukanie do drzwi. Kim uchylił je nieco. Dostawca wepchnął nam paczkę z czekoladkami i od razu się wycofał. Było oczywiste, że jesteśmy obserwowani.

Nie spałam tej nocy. Kim, który był skrajnie wyczerpany, zapadł w głęboki sen i chrapał głośno aż do rana. Ja mogłam tylko patrzeć w sufit i co kilka minut zerkać na zegarek. Popadłam w odrętwienie. To tylko kwestia czasu, mówiłam sobie, zanim nas aresztują.

Kim wciąż spał jak kłoda, nawet kiedy zrobiło się jasno. Potrząsnęłam nim niecierpliwie. Wstał, spakowaliśmy się w pośpiechu, żeby zdążyć na samolot. Kiedy wreszcie byliśmy gotowi i ruszyłam w kierunku drzwi, zawołał mnie.

– Zaczekaj, Mayumi.

Odwróciłam się w jego stronę. Twarz miał poważną i nie był w stanie długo patrzeć mi w oczy. Sięgnął do kieszeni i podał mi jedną z paczek Marlboro, które do tej pory przechowywał.

– Gdyby miało być gorzej niż źle – powiedział cicho. Zauważyłam, że ręka mu drżała, kiedy wręczał mi pudełko.

Myślę, że oboje wiedzieliśmy, że to koniec. Ale chyba żadne z nas nie spodziewało się, że będziemy musieli zażyć truciznę. Żadne z nas nie było pewne, czy starczy nam odwagi.

Kiedy szliśmy do windy, Kim powtórzył raz jeszcze swoją kwestię sprzed dwóch dni:

– Mówiłem tym idiotom, że plan jest zły. Mówiłem

im. Kiedy wrócimy, zrobię im piekło!

Wymeldowaliśmy się natychmiast, bez śniadania. Wyszliśmy wprost w oślepiające światło poranka, nie zważając na podejrzliwe spojrzenia personelu hotelu. Nasze przerażenie musiało być czytelne dla każdego, kto nas widział. Mimo wysiłków nie byliśmy w stanie zachować spokoju.

Zatrzymaliśmy taksówkę i pognaliśmy na lotnisko. Za oknem przesuwiał się jałowy krajobraz, a ja ścisnęłam w dłoni paczkę papierosów i modliłam się, bym nie musiała jej użyć. To było dziwne uczucie, trzymać ją w taki sposób, wiedzieć, że odrobina trucizny w niej zawarta może mnie zabić na miejscu. Od tej myśli robiło mi się niedobrze.

Dojechaliśmy na lotnisko bez żadnych problemów. Kim pośpieszył odebrać nasze karty pokładowe. Badałam hol wzrokiem w oczekiwaniu pościgu, ale nic się nie działo. Wreszcie Kim wrócił do mnie i ruszyliśmy do bramki. Stanęliśmy w kolejce za innymi pasażerami i zaczęłam wierzyć, że jednak uda nam się uciec.

Potem jednak usłyszałam za sobą głos mówiący płynnie po japońsku:

– Czy mogę prosić państwa paszporty?

Odwróciłam się i zobaczyłam wysokiego Azjatę. Bez słowa podaliśmy mu paszporty, a on odszedł i po chwili zniknął nam z oczu.

Kazano nam wyjść z kolejki, musieliśmy więc stać z boku i przyglądać się, jak inni pasażerowie wchodzą na

pokład samolotu. W głowie rozbrzmiewały mi słowa dyrektora wypowiedziane jeszcze w Pjongjangu: „Towarzysze, musicie pamiętać, że wasza misja jest ściśle tajna.

W najgorszym wypadku, by dochować tajemnicy, musicie być gotowi zażyć truciznę. Pamiętajcie, że choć stracie fizyczne życie, wasze życie polityczne będzie trwało wiecznie”.

Pomyślałam: „Tak. Pozostanę dumną córką mojej ojczyzny i z radością poświęcę życie dla jej zjednoczenia”.

Po raz pierwszy od wielu dni poczułam się naprawdę spokojna.

Potem usłyszałam, że samolot do Rzymu właśnie odlatuje. Odwróciłam się do okna i patrzyłam, jak kołuje, zabierając z sobą moją ostatnią nadzieję. Moje postanowienie sprzed kilku minut legło w gruzach. Głupotą było udawać, że jestem silna.

Już po chwili zobaczyłam Japończyka powracającego z naszymi paszportami. Miał srogi wyraz twarzy.

– Musicie tu zostać. Oboje.

– Z jakiego powodu? – zapytał Kim.

– Reprezentuję ambasadę Japonii w Bahrajnie. Zostało stwierdzone, że paszport na nazwisko Mayumi Hachiya jest fałszywy. Zostaniecie zatrzymani do przesłuchania. Policja przyjedzie za moment, ostrzegam, żebyście nie próbowali żadnych głupstw.

Odszedł kawałek, badając wzrokiem hol, jakby chciał się upewnić, że jesteśmy sami.

Kim dotknął mojego ramienia. Spojrzałam na niego,

był bardzo poważny.

– Ok Hwa, musisz być silna i przegryźć ampułkę. Teraz, kiedy zostaliśmy zdemaskowani, tylko przedłużysz swoją agonię, jeśli tego nie zrobisz. Mnie nie żal umierać. Dość się już nażyłem. Ale ty – głos mu się załamał i przez chwilę nie był w stanie na mnie spojrzeć – tak mi przykro.

Wiedziałam, że ten stary człowiek płacze w duchu, i byłam nieco zszokowana, widząc tę ludzką twarz Kim Seung Ila. Bo oto stał naprzeciw mnie jeden z najwybitniejszych tajnych agentów Korei Północnej, prawdziwy rewolucyjny bojownik. Przez całą naszą misję, mimo wieku, mimo choroby i mimo nieszczęśliwego obrotu spraw nie poddawał się. A teraz na sam koniec się rozkleił – nie z obawy o siebie samego, lecz o mnie.

Nie byłam w stanie nic powiedzieć, bo po policzkach płynęły mi łzy, ale skinęłam głową, by potwierdzić, że podjęłam decyzję.

I wtedy oczyma duszy niespodziewanie zobaczyłam twarz mamy.

Te kilka razy, kiedy odwiedziłam dom rodzinny podczas szkolenia – nie więcej niż raz na dwa, trzy lata – zawsze witała mnie serdecznie i cieszyła się, że widzi mnie w tak dobrym zdrowiu. Kiedy odjeżdżałam, jak mogła, starała się zapanować nad sobą. Była zawsze taka smutna. W tamtym czasie rzadko dostrzegałam jej uczucia. Wraciałam do obozu szkoleniowego z eskortującym mnie instruktorem, dumna z tego, że Partia mnie wybrała. Teraz czułam, że ją zawiodłam – kobietę, która włożyła tyle

pracy w moje wychowanie. Wstydziałam się swojej pychy i zbyt późno zrozumiałam swoje błędy. Żadna partia nie była warta tego, by zaniedbać rodzinę.

Wybacz mi, mamó. Proszę, zrozum...

Muszę umrzeć. Inaczej nie tylko ja, ale i ona zapłaci za moją porażkę.

Spojrzałam na Kima, który palił jednego papierosa za drugim.

– Ojczy, daj mi znak, kiedy mam przegryźć ampułkę.

Był pogrążony w myślach i tylko skinął beznamiętnie. Jego twarz otoczona dymem pozostawała bez wyrazu. Prawdopodobnie myślał o własnej rodzinie.

W tym momencie do holu weszło czterech czy pięciu bahrajńskich policjantów. Rozkazali nam pójść ze sobą. Rozdzielono nas i ja zostałam zabrana na kontrolę osobistą do małego, pustego biura.

Kobiety, które mnie sprawdzały, były bardzo skrupulatne. Obszukały każdy centymetr mojego ciała tak, by nie przeoczyć ani włoska. Uważnie przetrząsnęły moją kosmetyczkę. Nie zwróciły jednak szczególnej uwagi na papierosy, które włożyłam do czarnej torebki na ramię.

Gdy wróciłam do holu, Kim już na mnie czekał. Obok niego stał policjant. Kim spojrzał na mnie i uniósł brwi, jakby pytał, czy papierosy są bezpieczne. Uśmiechnęłam się w odpowiedzi, widziałam, że poczuł ulgę. Podał mi japońskiego papierosa, żeby wyglądało na to, że dużo palę. Dzięki temu w kluczowym momencie miało się to wydać mniej podejrzane.

To wystarczyło.

Kiedy wzięłam papierosa i sięgnęłam do torebki po zapalniczkę, jedna z policjantek, które mnie przeszukiwały, zażądała oddania torebki. Nie mogłam odmówić, wyciągnęłam więc paczkę Marlboro i podałam jej torbę. Wskazała gestem także na papierosy. Wyjęłam zatrutego papierosa i oddałam jej paczkę. Bez względu na to, jak podejrzenie mogło to wyglądać, nie mogłam pozwolić, by mi go zabrała. Wszystko zależało od tej ampułki. Musiałam ją zatrzymać.

Policjantka warknęła coś niezrozumiale i wyciągnęła dłoń. Spojrzałam na Kima – pokręcił przecząco głową. Zamarłam na chwilę i policjantka wyrwała mi papierosa z ręki. Nie zastanawiając się, co robię, wyszarpnęłam go z powrotem. Nie było czasu na wahanie. Rozgryzłam ampułkę, zanim kobieta zdążyła zareagować. Zobaczyłam, jak skacze ku mnie z wrzaskiem, ale już mnie to nie obchodziło. W tym momencie nieuchronnie pochłaniała mnie słodka, kojąca ciemność.

Wierna córka Kim Ir Sena, szkolona latami jak posłuszny pies, umarła właśnie wtedy.

To był koniec. Byłam wolna od wszelkiego bólu. Smolista ciemność otuliła mnie jak ciepły koc. Wszystko się skończyło...

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Obudziłam się, leżąc nieruchomo pośrodku białego pokoju.

Do mojej świadomości z wolna docierały głosy rozmawiające po arabsku i angielsku. Pokój nie miał okien. Mógł być równie dobrze dzień, jak i noc. Lewą rękę miałam przykutą do łóżka. Do nosa podłączono mi rurkę z tlenem, druga biegła w dół przez gardło, przypuszczalnie po to, by oczyścić żołądek. Do prawej ręki podłączono kroplówkę.

Nie byłam w stanie jasno myśleć. Zmysły miałam otepiałe – albo od znieczulenia, albo po prostu z wyczerpania. Największym wysiłkiem udawało mi się utrzymać oczy otwarte. Pamiętam, że myślałam, że to tylko sen i że ten biały pokój to jakaś stacja pośrednia pomiędzy jednym światem a drugim. Przypomniałam sobie jak przez mgłę, że zażyłam truciznę, i pierwszą myślą było, że naprawdę zadziałała.

Przez jakiś czas leżałam tak oszołomiona, w stanie zawieszenia, nie myśląc kompletnie o niczym. Przepływałam pomiędzy przytomnością a snem, oglądając rzeczywistość nieostrym, rozmytym wzrokiem. Powoli, stopniowo jednak jasność powróciła – odwróciłam głowę i zobaczyłam dwie pielęgniarki w tradycyjnych arabskich strojach. Siedziały obok łóżka i przyglądały mi się. Przy drzwiach stało dwóch śniadych mężczyzn w wojskowych

mundurach, z karabinami maszynowymi uniesionymi pod kątem czterdziestu pięciu stopni: pozycja gotowa do strzału. Zaniepokojona, zrobiłam pierwsze, co przyszło mi do głowy: uszczypnęłam się w udo.

Nic się nie zmieniło. To nie był sen.

„O nie! – pomyślałam. – Ja żyję”.

Jęknęłam z rozpacz. Dlaczego nie umarłam? Wiodocznie nie zaciągnęłam się trucizną wystarczająco mocno. Musiałam być bliska śmierci, to wydawało się oczywiste, ale ewidentnie nie dość bliska.

Nie cieszyłam się, że żyję. Od razu wiedziałam, że agonia dopiero się zaczyna.

Oslabienie i panika wywołały swego rodzaju delirium. Zauważyłam, że jedna z pielęgniarek ma w kieszeni nożyczki. Wyteżyłam wszystkie siły, by ich dosięgnąć, w nadziei że zakłuję się nimi na śmierć, zanim zdążą mnie powstrzymać, ale byłam przykuta do łóżka i nie mogłam się ruszyć.

Wreszcie usunięto mi rurki z nosa i gardła, więc natychmiast ugryzłam się w język tak mocno, jak tylko się dało. W dzieciństwie słyszałam opowieści, że w ten sposób można się zabić. Udało mi się jedynie sprawić sobie straszliwy ból. Z perspektywy czasu wydaje się absurdalne, że naprawdę wierzyłam w te zabobony.

Potem próbowałam się udusić. Wstrzymywałam oddech, aż puchły mi policzki, posuwałam się najdalej, jak mogłam. „Trochę dłużej – myślałam. – Jeszcze trochę dłużej”. Ale w ostatnim momencie nie byłam w stanie

wytrzymać i za każdym razem, dysząc, łapałam powietrze. Nie rozumiałam wtedy, że w chwili gdy tracę przytomność, moje ciało przejmuje kontrolę i tak czy inaczej zaczynam oddychać.

„Do cholery – wściekałam się w myślach. – Dlaczego, kurwa, nie potrafię się zabić?!”

Zastanawiałam się, czy Kim Seung Il także przeżył. Prawdopodobnie nie. Nawet jeśli cyjanek by go nie zabił (zakładając, że go zażył), sam stres spowodowany naszym pojmaniem wystarczył, by go wykończyć. I tak wydawało się nieprawdopodobne, że przeżył tak długo.

Myśl o nim przeraziła mnie. Tęskniłam za nim. Teraz byłam naprawdę zupełnie sama.

„Muszę być silna – myślałam. – Sam Drogi Przywódca mi zaufał. Umrę za mój kraj, umrę za zjednoczenie. Nie mogę zawieść mojego kraju”.

Jedno przynajmniej było pewne. Samolot został zniszczony.

Ale w tym momencie nie czułam się dumna ze swojej misji. Jak już mówiłam, przed naszym zatrzymaniem myślałam przede wszystkim o wypełnieniu zadania i rzadko musiałam walczyć ze swoim sumieniem. Teraz jednak zaczynałam myśleć o ludziach, którzy zginęli, i było mi przykro.

Pielęgniarki rozmawiały po cichu i musiałam się wysilać, by usłyszeć, co mówią. Na szczęście mówiły po angielsku i większość z tego rozumiałam. Mówiły, że przeżyję. Wspominały też, że Kim Seung Il nie żyje.

Byłam zdruzgotana i miałam mieszane uczucia. Było mi smutno, że nie żyje, bo byliśmy przyjaciółmi. A jednocześnie zazdrościłam mu, bo nie będzie musiał stanąć przed moimi inkwizytorami. I byłam też na niego zła, bo teraz zostałam sama i czułam się opuszczona. Mimo słabego zdrowia Seung Il był zawsze pociechą ze względu na swoje ogromne doświadczenie. Mogłam na nim polegać w licznych chwilach niepewności, z którymi musieliśmy się zmierzyć podczas tej misji.

I wtedy zrobiłam coś po raz pierwszy w życiu, coś bardzo dziwnego: pomodliłam się.

Przypomniałam sobie, jak na krótko przed śmiercią Bum Su odwiedziłam dom rodzinny i zastałam matkę stawiającą miseczki z wodą przed prowizorycznym ołtarzem, który skonstruowała w swojej sypialni. Był to akt wielkiej odwagi, bowiem religia była w Korei Północnej surowo zakazana. Matka – zdesperowana, żeby ocalić swoje dziecko – gotowa była zaryzykować wszystko, by prosić Boga o litość.

I ja też się pomodliłam: Proszę, Boże, gdziekolwiek jesteś, pomóż mi umrzeć, teraz, proszę.

Nawet sam ten akt był czymś bolesnym. Modliłam się do bytu, którego nie znałam.

Najbardziej ze wszystkiego przerażało mnie, że jeśli przeżyję, nie będę w stanie utrzymać w tajemnicy swojej tożsamości ani szczegółów misji. A w chwili, w której je wyjawię, stanę się na zawsze zdrajczynią w oczach moich przywódców i całego kraju. Fakt, że zostałam schwytana,

nie oznaczał jeszcze, że misja zakończyła się fiaskiem. Kim Seung Il nie żył i zabrał swoje tajemnice do grobu. Jeśli i ja zdołałabym zachować milczenie, mogłam jeszcze zostać zbawczynią Korei Północnej.

Ale to nie Korea Północna przyszła mi teraz do głowy, lecz rodzina. Zauważyłam też, że kiedy prosiłam Boga o miłosierdzie, nie modliłam się, jak to miałam w zwyczaju, do Wielkiego Przywódcy Kim Ir Sena, który był dla mnie zupełnie jak bóstwo.

Mijały godziny. Filipińska pielęgniarka zmieniła dwie poprzednie, pojawiła się też policjantka. Z całą pewnością kazano im obserwować każdy mój ruch i za wszelką cenę utrzymać mnie przy życiu. Nie pozwalały mi nawet spać. Może się obawiały, że wtedy znów zapadnę w śpiączkę. Wystarczyło, że zamknęłam oczy, a już pielęgniarka śpieszyła klepać mnie po twarzy, szepcząc: „Mayumi! Mayumi!”.

Były dla mnie miłe, ale nie mogłam oprzeć się myśli, że robią to jedynie na rozkaz swoich zwierzchników, tak by można było wyciągnąć ze mnie zeznania. W pierwszej chwili przeklinałam i krzyczałam, żeby zostawiły mnie w spokoju, ale później zrozumiałam, że zarówno pielęgniarki, jak i policjantka działały jedynie z potrzeby ocalenia ludzkiego życia.

Żałuję teraz, że nigdy nie wyraziłam swojej wdzięczności za ich dobroć. Ja, morderczyni, nie zasługiwałam na życie. Ale one nie pozwoliły mi umrzeć i ubolewam nad tym, że mogę im podziękować jedynie za

pośrednictwem tej książki.

Kiedy w pełni odzyskałam przytomność, zaczęłam odczuwać ból w całym ciele. Prawe kolano wydawało się szczególnie uszkodzone, tak że nie mogłam nim ruszać, nie czując rozdzierającego bólu. W ustach miałam mnóstwo bąbli od trucizny, a język spuchł mi tak, że nie mogłam przełykać.

Zaczęły mnie dręczyć koszmary. Śniłam, że na pokładzie lotu 858 znajduje się moja rodzina. Umieściłam bombę w górnym schowku i krzyczałam na nich, by wysiedli. Kim Seung Il o sienie, łuszczącej się na głowie skórze chwycił mnie dłonią kościotrupa i ciągnął do wyjścia.

Próbowałam się wyrwać, ale jego chwyt był zbyt mocny. Wrzeszczałam histerycznie do mojej rodziny, ale nie rozumieli, co mówię. W końcu Kim zaciągnął mnie do drzwi i wyrzucił na zewnątrz. Kiedy miałam właśnie upaść na pas startowy, obudziłam się z krzykiem.

– Mayumi! – Pielęgniarki podbiegły, żeby mnie uspokoić, ale ja szlochałam godzinami.

W innym śnie zobaczyłam siebie samą na zaśnieżonym górskim zboczu. Byli tam też członkowie mojej rodziny – szli w moim kierunku, ale nie zwrócili na mnie uwagi, tylko minęli mnie z nieprzyjaznym, obojętnym wyrazem twarzy, jakbym była im obca. Jedynie Bum Su się zatrzymał, ujął mnie za rękę i nagle skoczyliśmy w niebo. Lecieliśmy nad górami niczym orły. Okrążaliśmy krater wulkanu, kiedy Bum Su wyszczerzył zęby w uśmiechu i puścił moją dłoń. Spadłam w otchłań i znów

obudziłam się z krzykiem.

Nie zdawałam sobie sprawy z mijającego czasu. Wydawało mi się, że jestem w piekle. Od czasu do czasu budziłam się i widziałam obok siebie kolejną pielęgniarkę czy policjanta. Jedna z kobiet – czarnoskóra pielęgniarka o pięknych brązowych oczach – obmyła mi twarz i uczesała włosy z taką troską, że moja podejrzliwość i gniew stopiły się jak wosk. Ujęła moją dłoń i powiedziała:

– Jesteśmy twoimi przyjaciółmi, Mayumi, uwierz mi.

Potem wyszła z pokoju, a zamiast niej pojawiło się dwóch elegancko ubranych mężczyzn. Udawałam, że śpię.

– Otwórz oczy, wiemy, że nie śpisz.

Powiedzieli to po koreańsku. Byłam tak zaskoczona, że o mały włos otworzyłabym oczy, ale udało mi się tego nie zrobić. W tamtej chwili podjęłam decyzję, że nie wolno mi ujawnić swojej narodowości. Powtórzyli rozkaz, ale nie zareagowałam.

W duchu cieszyłam się, że słyszę ojczysty język, szczególnie tu, w tym obcym kraju. To jeszcze bardziej utrudniało zachowanie milczenia.

Potem jeden z nich odezwał się po japońsku. Otworzyłam oczy. Był to ten sam mężczyzna, który zatrzymał nas na lotnisku. Obok niego stał Koreańczyk, który przepytывał Seung Ila w hotelu.

Od tego momentu odpowiadałam wyłącznie na pytania w języku japońskim. Koreańczyk zniecierpliwił się, kiedy zlekceważyłam jego pytania, i teraz chodził po po-

koju tam i z powrotem, mrużąc coś pod nosem.

– Słuchaj – powiedział Japończyk. – Potrzebujemy od ciebie pewnych informacji. Próbujemy ci pomóc, Mayumi san, ale nie możemy ci pomóc, kiedy milczysz. Chcemy tylko, żebyś szybko wyzdrowiała.

Przytaknęłam, ale wiedziałam, że uważa mnie za winną. Jego sympatia była ewidentnie fałszywa, od czasu do czasu widziałam też, jak zerka na mnie piorunującym wzrokiem. Stało się jasne, że nie będę z nimi współpracować, i w końcu wyszli z pokoju.

Westchnęłam. Zdałam pierwszy test, ale to dopiero początek.

Trzeba było obmyślić wyjście z tej sytuacji. Wciąż czekałam na okazję, żeby popełnić samobójstwo, ale do tego czasu trzeba było zdecydować, co im powiedzieć. Wciąż jeszcze byłam roztrzęsiona po pierwszym przesłuchaniu. Zastosowałam techniki kontroli umysłu, których mnie wyuczono, i stopniowo odzyskałam – przynajmniej psychicznie – panowanie nad sobą.

Najlepiej byłoby udawać, że jestem niema. Przemyślałam to i przypomniałam sobie, że przecież mówiłam albo przynajmniej jęczałam w obecności pielęgniarek.

Ponieważ absolutnie nie wolno mi było mówić po koreańsku, musiałam dokonać prostego wyboru: udawać, że jestem Japonką czy Chinką? Wszyscy wiedzieli już, że mój japoński paszport był fałszywy, pozostawała też kwestia mojego związku z Seung Ilem.

Spodziewałam się, że zadecydują o mojej ekstradycji

do Japonii. Z północnokoreańskiej propagandy wiedziałam, że japońscy policjanci są bezwzględni i często uciekają się do przemocy, by wymusić od więźniów zeznania. Słyszałam też, że Koreańczyków traktują najgorzej ze wszystkich i że z rozkoszą ich torturują.

Ale nawet to było lepsze, niż trafić do Korei Południowej. Krążyły plotki, że tamtejsi policjanci wyłupują oczy, wybijają zęby i zrywają paznokcie. Może to dlatego agenta, któremu udało się powrócić bezpiecznie z misji w Seulu, traktowano jak bohatera.

To było pewne: nie mogłam być Koreanką ani Japonką, pozostawało mi więc udawać Chinę. Gdyby mi uwierzyli i dokonali ekstradycji do Chin, prawdopodobnie zostałabym odesłana do Pjongjangu, jako że rządy obu krajów łączył ścisły sojusz. Nie było – i wtedy wydawało się, że nie będzie – żadnych bezpośrednich dowodów, że miałam związek z katastrofą samolotu. Dopóki nie szłam na ustępstwa wobec śledczych, sytuacja nie wydawała się tak do końca beznadziejna.

Starałam się wymyślić dla siebie odpowiednią historię. Kiedy przebywałam z Suk Hui w Makau, przyjęłyśmy tożsamość dwóch faktycznie żyjących Chinek. Wydawało się, że teraz mogłabym użyć nazwiska jednej z nich – powiedzmy Pae Chui Hui – podając jednocześnie informacje biograficzne tej drugiej, Wu Eng, jako własne. To nie było niezawodne rozwiązanie, wiedziałam o tym, ale też nic lepszego nie przychodziło mi do głowy.

Mój stan się poprawiał. Ubierano mnie w niebieską

szpitalną piżamę i sadzano na wózku inwalidzkim, do którego przypinano mnie kajdankami. Pielęgniarki myły mnie i zaprowadzały do łazienki, co było oczywiście bardzo krępujące. W każdym razie ani na moment nie zostawiano mnie samej, a uzbrojeni strażnicy stali pod moimi drzwiami przez okrągłą dobę. Zaczęłam pić jakiś mleczny płyn. Zdałam sobie sprawę, że już niedługo będę na tyle zdrowa, by można mnie było oficjalnie przesłuchać.

Właśnie na tę chwilę próbowałam się przygotować.

Kilka dni później – nie potrafię określić ile – posadzono mnie na wózku i odwieziono do policyjnej furgonetki czekającej przed szpitalem. To był piękny dzień, ciepły i bezchmurny. Słońce świeciło tak jasno, że nie mogłam otworzyć oczu. Po raz pierwszy od czasu aresztowania wyszłam na zewnątrz i to, co zobaczyłam, było bardzo przygnębiające. Potwierdziły się moje przypuszczenia – podczas gdy mój świat się kończył, reszta świata najspokojniej zajmowała się swoimi sprawami. Twarz zakryto mi welonem na arabską modłę i przez chwilę myślałam, że zostanę stracona. Ale zamiast tego wniesiono mnie do furgonetki, która po chwili ruszyła przez miasto.

Bahrajn okazał się tropikalnym rajem. Marzyłam tylko o tym, żeby pójść na białą plażę, brodzić wśród fal i zapomnieć o tym, że kiedykolwiek byłam agentką specjalną i wysadziłam samolot. Chciałam wrócić pamięcią do dni spędzonych na Kubie, gdzie bawiłam się nad wodą z krewnymi i nie znałam żadnych trosk. Ale nie byłam już dzieckiem i rodzice nie mogli mnie uratować. Miałam

odpowiedzieć za swoje czyny jak dorosła – sama stanąć przed sędziami i sama umrzeć. Z zazdrością przyglądałam się niewinnym ludziom na ulicach. Fizycznie dzieliło nas ledwie kilka metrów, ale pod względem okoliczności – całe lata świetlne. Czułam, jak ta zazdrość mnie spala.

Wyjechaliśmy z Manamy, kierując się na wieś, aż dotarliśmy do opustoszałej drogi. Dojechaliśmy nią do policyjnego obozu, ogrodzonego i pilnowanego przez uzbrojone straże.

Furgonetka zatrzymała się i zabrano mnie do małego, szarego pokoiku z metalowym łóżkiem i biurkiem. Jedno spojrzenie na to miejsce i wiedziałam, że teraz zaczynamy na poważnie.

Rzucono mnie na łóżko i przykuto do ramy. Chwilę później do pokoju weszła para Europejczyków w średnim wieku. Oboje mieli blond włosy i niebieskie oczy i przyglądali mi się ciekawie, ale bez złych zamiarów. Wkrótce mężczyzna przemówił powolną, spokojną angielszczyzną:

– Nazywam się Ian Henderson, a to jest moja żona Maria. Jestem szefem policji w Bahrajnie.

Zapytał, jak się czuję. Maria wpatrywała się we mnie wielkimi niebieskimi oczyma i z jakiegoś powodu załamalam się pod tym wzrokiem. Płakałam, a ona wyciągnęła chusteczkę i otarła mi łzy z twarzy.

– Wszystko będzie dobrze, kochanie – powiedziała i pocałowała mnie w policzek. – O nic się nie martw.

Przywołała gestem dwie pielęgniarki, które stały

w pobliżu. Zręcznie zdjęły ze mnie szpitalny strój i ubrały w niebieską chińską piżamę.

– Jest piękna – powiedziała jedna.

Stwierdziłam, że próbują jedynie dręczyć mnie udawaną sympatią. „To tylko kolejny chwyt, by wydobyć ze mnie zeznania – pomyślałam. – Nie wolno mi stracić czujności ani na chwilę”.

Jakby czytając w moich myślach, Henderson znów przemówił:

– Sugerowałbym, żebyś zaczęła z nami współpracować – powiedział. – Tutejszy rząd nie ma o tobie dobrego zdania, bo praktycznie nie zamieniłaś z nikim ani słowa.

Wydawało mi się, że słyszę w jego słowach groźbę.

– Co takiego chcecie usłyszeć? – rzuciłam wyzywająco.

Zachmurzył się. Rozczarowałam go.

– Wrócimy jutro – powiedział, wstając z miejsca. – Przemyśl sobie to, co powiedziałem.

Nie pamiętam, ile dni spędziłam w policyjnym obozie. Podobnie jak w szpitalu, pielęgniarki towarzyszyły mi wszędzie. Wszyscy bardzo się mną interesowali, albo ze względu na ciężar mojej zbrodni, albo dlatego, że byłam młodą kobietą. Nocą pilnowało mnie trzech oficerów i pielęgniarka. Ale choć nadgarstek spuchł mi od kajdanek, a kolano wciąż bolało, nie okazywałam tego w obecności moich opiekunów. Byłam zdecydowana zachować resztki godności.

Codziennie poddawano mnie rehabilitacji, w ramach której przez dwie godziny w obecności lekarza chodziłam w tę i w tę po korytarzu. Wspierałam się na ramieniu pielęgniarki i prawie przez całą drogę ciągnęłam po ziemi lewą stopę. Co godzinę mierzono mi temperaturę i tętno. Zmuszano mnie też do jedzenia i zażywania leków.

Pewnego dnia próbowano pobrać mi krew, przez co prawie dostałam ataku hysterii. W Korei Północnej powiedziano mi, że jeśli zostanę ujęta, wróg poda mi dożylnie serum prawdy, które sprawi, że wyjawię śledczym wszystko. Pielęgniarka była zdziwiona moją reakcją i próbowała mnie uspokoić. W końcu po prostu przytrzymała moją rękę i siłą pobrała krew.

Zdecydowałam wówczas, że nie mogę dłużej milczeć. Musiałam coś powiedzieć, jeśli nie chciałam być trzymana w tym pokoju na zawsze. Poprosiłam o wodę i wspomniałam, że boli mnie nadgarstek. Pielęgniarka i pilnujący mnie policjanci byli wniebowzięci i w ciągu kilku chwil cały budynek wiedział, że Mayumi zaczęła mówić.

Henderson i jego żona – nie wiem, jaka była jej rola, poza tym może, by pomóc mi się otworzyć – nadal każdego popołudnia odwiedzali mnie w obozie. Przywieźli mi ubrania i herbatniki i robili wszystko, żebym poczuła się swobodnie. Rozmawiali o błahych sprawach, a potem nieoczekiwanie przechodzili do pytań o zamach bombowy. Najczęściej nie odpowiadałam albo mówiłam, że nic nie wiem.

Wreszcie któregoś dnia zirytowani podali mi kartkę z zapisanymi po chińsku pytaniami. Odpowiedziałam.

P: Jak się nazywasz?

O: Pae Chui Hui.

P: Narodowość?

O: Chińska.

P: Data urodzenia?

O: 27 stycznia 1964.

P: Miejsce urodzenia?

O: Wuchang w prowincji Heilongjiang, Chiny.

P: Ostatni adres zamieszkania?

O: 4–10–6 Shibaya, Tokio, Japonia.

P: Czy twoi rodzice żyją?

O: Nie.

P: Imiona braci i sióstr?

O: Brak.

Powiedziałam im, że jestem sierotą i że nie mam nic wspólnego z katastrofą samolotu Korean Air.

– Nie rozumiem, dlaczego jestem przesłuchiwana w tej sprawie – powiedziałam, mając nadzieję odwrócić rolę. – Czy to zbrodnia, że byłam w tym samolocie?

Im więcej mówiłam, tym mniej mi wierzyli. Zawsze jednak odnosili się do mnie uprzejmie i wyrażali troskę o moje zdrowie.

Pewnego dnia zabrano mnie do łazienki, choć o to nie prosiłam, i kazano umyć twarz. Wykonałam polecenie jedną ręką, jak kot. Pielęgniarka wycisnęła mi pastę na szczoteczkę i kazała umyć zęby. Odświeżyłam się, a kiedy

wróciłam do pokoju, zapytano, czy napiję się kawy albo herbaty Zdenerwowałam się nagle, nie rozumiejąc, do czego prowadzi ta gra.

Kiedy skończyłam herbatę, przyszli Hendersonowie. Przywitali się ze mną radośnie i już miałam im odpowiedzieć, kiedy zobaczyłam za ich plecami grupę osób. Zamknęłam oczy, a żołądek skurczył mi się ze strachu. To byli dziennikarze.

Gdy tylko weszli, zaczęli błyskać fleszami. Kazano mi słuchać ich poleceń, pozowałam więc tak, jak sobie tego życzyli. „Teraz moja twarz znajdzie się na okładkach wszystkich gazet na świecie – myślałam. – Wszyscy będą mówić o tej strasznej morderczynie, która pozbawiła życia sto piętnaście niewinnych osób”. Moi krewni nie dowiedzą się, oczywiście, choć pamiętałam, że matka wspominała, iż ojciec wyjeżdża do Angoli w interesach na cały miesiąc. Wyobraziłam sobie, jak wchodzi do hotelowego holu, żeby kupić poranną gazetę, i widzi zdjęcie swojej córki z podpisem: morderczynie.

Jeszcze dziennikarze nie wyszli, a już pojawiła się para południowokoreańskich agentów, którzy obejrzelik każdy centymetr mojego ciała, jakbym była zwierzęciem w zoo. Zaczęłam płakać i zakryłam twarz rękoma. Kiedy wyszli, Henderson usiadł na moim łóżku.

– Dlaczego bałaś się południowokoreańskich agentów, Mayumi?

– Nie bałam się – warknęłam. – Miałam po prostu żal o to, jak mnie traktują.

– A więc nie byłaś zaskoczona ich przybyciem?

– Dlaczego miałabym być zaskoczona? Oskarżyliście mnie o zniszczenie południowokoreańskiego samolotu, więc wydaje się oczywiste, że zainteresują się mną służby Korei Południowej.

Następnego dnia odwiedzili mnie przedstawiciele władz Japonii, którzy również próbowali nakłonić mnie do mówienia. Miałam wrażenie, że nie mają jeszcze absolutnej pewności, że jestem Koreanką, więc starałam się posługiwać doskonałym japońskim. Po części chyba mi się udało, bo kiedy wychodzili, widać było, że mają wątpliwości.

Westchnęłam. Byłam wyczerpana, ale odczuwałam też ulgę. Wiedziałam, że to nie będzie coraz łatwiejsze. Ale nawet wtedy nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo trudne może się stać.

*

U kresu cierpliwości moi prześladowcy sprowadzili tłumaczkę z Hongkongu. Była Angielką, znajomą Marii, i płynnie mówiła po kantońsku. Przedstawiła się jako Camilla, powiedziała, że ma trzydzieści cztery lata i że była w Bahrajnie dwa lata temu ze swoim mężem, który jest Chińczykiem i z którym wspólnie prowadzą chińską restaurację. Była atrakcyjną kobietą i szczerze zazdrościłam jej tego prostego małżeńskiego życia. Tak naprawdę wydała mi się najszczęśliwszą kobietą, jaką dotąd spotkałam.

Zaczęłam płakać, jeszcze zanim przesłuchanie się zaczęło, więc pierwsze pytania były proste i życzliwe.

– A zatem, Mayumi, spróbujmy zacząć od początku – powiedziała Camilla, kiedy już się uspokoiłam. – Gdzie się urodziłaś?

– Urodziłam się w miejscowości Wuchang. Mój ojciec był kierownikiem w firmie budowlanej. Podczas rewolucji kulturalnej uznano go za zdrajcę. Torturowano go i wreszcie zwolniono, ale wkrótce po tym popełnił samobójstwo. Matka porzuciła mnie i uciekła do Pekinu, żeby poślubić innego mężczyznę. Wtedy zostałam sama. – Rozpłakałam się, bo straszne było opowiadać takie rzeczy o rodzicach, choćby nawet zmyślane.

Obie moje słuchaczki myślały, że oplakuję samotne dzieciństwo, i cierpliwie czekały, aż się uspokoję.

– Nie miałam dokąd pójść – ciągnęłam dalej. – Wreszcie przyjęła mnie babka, która sprzedawała gazety na ulicach Kantonu. Znalazłam pracę jako kelnerka. Potem poznałam towarzyszkę Wu Eng, dziewczynę w moim wieku, i razem uciekłyśmy do Makau z chłopakami, którzy ukradli łódź.

Wyglądało na to, że kupiły moją historię. Sama prawie zaczynałam w nią wierzyć.

– Znalazłam pracę w kasynie w Makau. Poznałam tam starszego mężczyznę nazwiskiem Sinichi Hachiya. Był dla mnie bardzo dobry. Kiedy opowiedziałam mu o swoim życiu, zaproponował, że jeśli wyjadę z nim do Japonii i zajmę się prowadzeniem domu, adoptuje mnie jako córkę.

W tamtym momencie miałam naprawdę trudną sytuację, więc uważałam, że spadł mi z nieba. I tak nie mogłam wrócić do Chin, więc przyjąłam jego propozycję.

Mieszkał w Tokio, w dzielnicy Shinbuyachu Ebishu. Nazwał mnie Mayumi. Troszczył się o mnie jak o córkę, ale nie pozwalał wychodzić z domu. Ostrzegał, że mogę zostać aresztowana za brak pozwolenia na pobyt, więc praktycznie nie wychodziłam na zewnątrz. Obiecał, że będzie mnie zabierał do Europy dwa, trzy razy w roku, może nawet do Ameryki. Byliśmy w Europie kilka tygodni temu. On dbał o wszystko, paszporty, bilety. A teraz mam takie kłopoty. Jedyne człowiek, który mógłby potwierdzić moją wersję, nie żyje i wygląda na to, że będę cierpieć za zbrodnię, której nie popełniłam. Zabiorą mnie do Korei Południowej i będą torturować, a potem zabiją! – Zaczęłam szlochać i ku mojemu zdziwieniu, moje słuchaczki też zaczęły płakać. Camilla zapytała, czy mogłaby jakoś pomóc, tak jakby naprawdę się martwiła, że zostanę niewinnie skazana.

– Chui Hui – powiedziała, po raz pierwszy używając mojego „prawdziwego” imienia – musisz naciskać, by nie zabrano cię do Korei Południowej. Oni wyciągną z ciebie zeznanie, obojętnie, czy jesteś winna, czy nie.

– Wiem. – Płakałam. Miałam wyrzuty sumienia, że ją oszukuję. – Ale wy nie pozwolicie im mnie zabrać!

Zrozumiałam, że chociaż postanowiłam, że nic im nie powiem, ich prosta, ludzka życzliwość zaczynała brać górę.

W tym miejscu przesłuchanie się skończyło i znów zostałam jedynie w towarzystwie strażników. Zapadłam w niespokojny sen. Ponieważ ciągle śniłam koszmary, bałam się, że przez sen powiem coś po koreańsku. Tej nocy śniło mi się, że jestem w Akademii Wojskowej w Keumsung i trenuję pływanię na dwa kilometry. Płynełam przez jezioro, a trener Pak Ji Won wiosłował tuż przede mną. Chociaż wyteżałam wszystkie siły, nie posuwałam się ani o centymetr i wkrótce zaczęłam się topić. Zachłystywałam się wodą, wymachując desperacko ramiionami, i krzyczałam na Ji Wona, by się zatrzymał. Odwrócił się i to nie był Ji Won, a mój ojciec. Popatrzył na mnie beznamiętnie i wiosłował dalej, pozwalając mi utonąć. „Tato! – krzyczałam ostatkiem sił. – Tato, ja tonę!”.

Obudziłam się z płaczem, złana zimnym potem. Pielęgniarka przybiegła mnie uspokoić. Wciąż szlochałam. Już nigdy nie zobaczę ojca, nigdy. Już nigdy nie będę jego małą księżniczką.

Kilka razy dziennie strażniczka uderzała w małe dzwonki, a potem rozkładała na podłodze perski dywanik służący jej jako mata modlitewna. Następnie zwracała się na południowy zachód i padała na twarz w stronę Mekki. Dziwna to była praktyka – modlić się do Boga, którego nawet nie widać. Mieszkańcy Korei Północnej są od urodzenia uczeni, że religia jest odrażająca, nienaturalna, a przede wszystkim kontrrewolucyjna. Mówiono nam, że ludzie praktykujący religię to hipokryci, reagowałam więc

pogardą, gdy ktoś używał słowa „wiara”. Uważałam, że to o wiele lepsze i bardziej racjonalne, żeby to Wielki Przywódca, którego widzieliśmy przez cały czas, był naszym bohaterem i inspiracją. Zauważyłam jednak spokój malujący się na twarzy strażniczki, wyraz całkowitego oddania i zastanawiałam się, czy Koreańczycy z równą czcią zwracali się ku portretom Kim Ir Sena i Kim Dzong Ila.

Dzieciom przychodzi to naturalnie, bo zachęca się je do czczenia rodziny Kimów, jeszcze zanim nauczą się chodzić. Ale dla dorosłych nie jest to takie łatwe. Czczą Kimów dla pozorów. Ich entuzjazm jest w zdecydowanej części fałszywy. Nie chcą po prostu zostać deportowani albo jeszcze gorzej – spalowani. Prawo w Korei Północnej stanowi bowiem, że każdy, kto obrazi rodzinę Kimów, będzie ukarany poprzez pobicie na śmierć metalową pałką.

Strażniczka skończyła modlitwę i zwinęła dywanik. Potem podeszła do mnie i przyłożyła ramię do mojej ręki.

– Ty naprawdę jesteś Japonką, Mayumi, masz taką jasną skórę. Zobacz, jaka moja ręka jest ciemna przy twojej!

Uśmiechnęłam się, ale pozostałam nieufna. Mogła mieć jakieś ukryte zamiary. Była miła, ale wiedziałam, że uważa mnie za terrorystkę.

Dla Hendersona stało się jasne, że przesłuchanie nie postępuje tak, jak by sobie tego życzył. Kolejnym krokiem było wezwanie japońskiej śledczej, którą pamiętałam z hotelu w Manamie, gdzie mieszkaliśmy z Kim Seung Ilem. Przypomniałam sobie, że kilka razy złapałam ją na

obserwowaniu nas w holu albo podążaniu za nami ulicą. Wymierzyłam sobie kopniaka za to, że już wtedy nie domyśliłam się, że jest szpiegiem.

Okubo, bo tak się nazywała, zaczęła wypytywać mnie o Shinichiego i mój pobyt w Japonii. Odpowiadałam tak samo jak wcześniej Camilli. Okubo tłumaczyła moje słowa Hendersonowi, a jego pytania z kolei – mnie.

W mojej historii pojawiły się pewne sprzeczności, bo nie byłam w stanie spamiętać wszystkiego, co wcześniej wymyślałam. Kazano mi opisać dom Shinichiego, więc zaimprovizowałam odpowiedź. Pytali mnie o szkołę, jeżdżenie, czas wolny. Myślę, że powinnam się była zamknąć, ale zamiast tego po omacku brnęłam dalej.

W którymś momencie Henderson przerwał Okubo gestem i spojrzał na mnie uważnie.

– Chui Hui – powiedział powoli – powinnaś wiedzieć, że w Bahrajnie przebywa obecnie wielu południowokoreańskich agentów, którzy żądają, abyśmy im ciebie przekazali. Robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby ci pomóc. Jeśli będziesz z nami współpracować, pozwolimy ci wrócić do Chin. Ale jeśli nadal będziesz nas okłamywać, nie będziemy mieli innego wyboru, jak odesłać cię do Seulu. Pomyśl o tym. – Zawiesił głos, by się upewnić, że zrozumiałam, a potem dał Okubo znak, żeby kontynuowała.

Kiedy przesłuchanie zeszło na temat mojej wycieczki do Europy, poczułam się nieco pewniej. Henderson i ja starliśmy się w umysłowym pojedynku, który ja stopniowo

przegrywałam. Gdy zapytał o wejście na pokład lotu 858, odparłam, że przeprowadzono ścisłą kontrolę i że zarówno bagaż, jak i ja sama zostaliśmy dokładnie sprawdzeni.

Henderson nie wierzył przede wszystkim w to, że jestem sierotą, ponieważ zazwyczaj, gdy padało słowo „rodzina”, zaczynałam płakać. Myślę jednak, że najgorsze zaczęło się, kiedy zapytali, dlaczego zażyłam truciznę. Odpowiedziałam jak głupia, naiwna uczennica: „Bo Shinichi mi kazał”.

Okubo zapytała wtedy o mój stosunek do niego. Wiedziałam, że ten temat w końcu się pojawi. Mówiłam już, że Kim Seung Il zachowywał się jak gentleman, ale przecież byłam młodą kobietą i rozumiałam, że przedstawiciele innej kultury mogą podejrzewać istnienie jakiegoś uczuciowego związku między nami. Już wcześniej poruszyłam ten temat w rozmowie z szefem sekcji w Pjongjangu, jeszcze przed moim pierwszym wyjazdem do Europy. Denerwowałam się tą wyprawą, a przy tym byłam zdecydowanie zbyt skromną dziewczyną, by przeczytać taki szczegół. Kiedy jednak wspomniałam o tym przełożonemu, wrzasnął na mnie:

– Skąd niby mamy wziąć pieniądze na dwa pokoje?!

Patrzył na mnie, jakbym złamała zasady jakiejś ideologicznej czystości. Byłam agentką specjalną, to do mnie należało kontrolowanie swoich obaw.

– Podczas podróży mieszkaliście w tym samym pokoju. Rozumiem, że do niczego między wami nie doszło? – zapytała Okuba.

– Oczywiście, że nie – rzuciłam. – Był dla mnie jak ojciec.

– Mieszkaliście w pokojach z podwójnym łóżkiem czy dwoma pojedynczymi?

– Dwoma pojedynczymi.

– Gdzie się przebierałaś?

– W łazience.

– Zamykałaś drzwi na klucz, kiedy szłaś się kąpać?

– Tak, do cholery!

– Widziałaś Shinichiego nago?

Szczeka mi opadła. „Co takiego?”

– Na przykład – kontynuowała Okubo bez mrugnięcia okiem – czy zauważyłaś kiedykolwiek bliznę chirurgiczną na jego brzuchu?

– Nie, ale wiem, że przeszedł operację żołądka.

– Powiedz mi – zapytała Okubo, świdrując mnie wzrokiem, podczas gdy Henderson przyglądał się z boku – uprawiałaś seks z innymi mężczyznami poza Shinichim?

Byłam tak zszokowana, że nie powiedziałam ani słowa. Odebrała to jako przyznanie się do winy i przeszła do następnego pytania:

– Z iloma mężczyznami uprawiałaś seks?

Bez odpowiedzi.

– Miałaś kiedyś orgazm?

Bez odpowiedzi.

– Czy uwodzenie mężczyzn stanowiło część twojej pracy jako szpiega?

Bez odpowiedzi.

– Czy Shinichi był twoim najlepszym kochankiem?

– Spierdalaj! – wrzasnęłam, zdecydowana pobić ją jej własną bronią. – To był stary człowiek, na miłość boską!

– Ach tak – dołożył swoje Henderson – czyli mówisz, że próbował, ale nie mógł?

Wpatrzyłam się w niego, gotując się ze złości. Szukałam właściwej odpowiedzi, ale byłam tak wściekła, że potrafiłam jedynie wymamrotać coś bez składu i ładu, oddychając przy tym głęboko.

– Szkoda – rzuciła Okubo. – Widziałam podczas sekcji zwłok, że był dość hojnie obdarzony.

To podziałało. Skoczyłam przez stół, zanim ktokolwiek zdołał zareagować, i wymierzyłam jej klasyczny cios wschodnich sztuk walki – podstawą dłoni w nos. Usłyszałam odgłos łamanej chrząstki i na wszystkie strony trysnęła krew. Okubo wrzasnęła i upadła w tył na podłogę. Henderson też krzyknął i próbował mnie obezwładnić, przytrzymując ręce za plecami. Stąpnęłam mu piętą na palce stopy, co zwolniło nieco chwyt, i wymierzyłam cios pięścią w krocze, a zaraz po nim uderzenie łokciem w skroń. Był oszołomiony. Natychmiast sięgnęłam po jego broń, zdecydowana zastrzelić się na miejscu. Ale oto nadbiegli strażnicy. Już zamykałam dłoń na pistolecie Hendersona, kiedy ktoś złapał moją głowę pod ramię i odciągnął od niego.

– Nie zabijajcie jej! – wysapał z trudem Henderson. Widziałam go kątem oka, jak opierał się o ścianę zgięty wpół. – O to jej właśnie chodzi! Jest nam potrzebna żywa!

Wiedziałam, jak się uwolnić z tego chwytu. Walnęłam strażnika w krocze i w chwili, gdy mnie puścił, drugą ręką złapałam go za włosy i mocno pociągnęłam jego głowę w tył, szykując się do zadania śmiertelnego ciosu w szyję. Uniosłam rękę złożoną w ostrze, ale w tej samej chwili coś mną wstrząsnęło, jakby mnie raził grom. Natychmiast przewróciłam się na podłogę, czując odrętwienie w całym ciele. Upadłam na bok, mogłam więc zobaczyć drugiego strażnika pochylającego się nade mną z paralizatorem. Zanim zdołałam się poruszyć, trzeci strażnik skuł mi ręce za plecami. Byłam bezradna.

Henderson wstał z trudem. Miał wypieki na twarzy i ciężko oddychał. Patrzył na mnie z góry z wyrazem oszołomienia i wstrętu na twarzy.

– Wystarczy, Mayumi – wychrypiał. – Miałaś swoją szansę.

Odwrócił się, mówiąc do kogoś, kogo nie widziałam:

– Zabierzcie ją stąd. Od teraz należy do Koreańczyków.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Więzienna furgonetka mknęła o zmierzchu przez ulice Manamy. Wewnątrz włączono telewizor, który nadawał teraz wieczorne wiadomości. Mimo że program był w języku arabskim, wiedziałam, że głównym tematem jest Korea Południowa.

Studenci z twarzami przewiazanymi chustami ciskali koktajle Mołotowa w szeregi policjantów. Wyglądało na to, że na ulicach Seulu toczy się ni mniej, ni więcej, tylko zażarta wojna. To wszystko potwierdzało moje przekonanie, że południowokoreańskie społeczeństwo jest po prostu faszystowskie i niepomiernie gorsze od socjalistycznej Północy.

To jest początek końca, pomyślałam. Za kilka godzin i ja znajdę się w Seulu i nic mnie nie uratuje przed barbarzyństwem władz Korei Południowej.

Henderson siedział obok mnie bez słowa. Wiedziałam, że wyświetlane wiadomości są ostatecznym fortem mającym skłonić mnie do złożenia zeznań, zanim zostanę odesłana. Patrząc wstecz, zdałam sobie sprawę, że wszystko, co działo się w więzieniu, miało dokładnie ten sam cel. Kiedy Camilla namawiała mnie, żebym przeciwstawiła się odesłaniu do Seulu, grała po prostu na moim strachu. Ponieważ wierzyłam, że będę w Seulu bezlitośnie torturowana, Henderson postanowił wykorzystać to przeciwko mnie. Przypomniałam sobie prezenty, które przy-

nosiła mi Maria – ciastka, ubrania, biżuterię. Jej życzliwość mnie zaskakiwała, ale i to było zamierzone. Pewnego dnia Maria podarowała mi strój sportowy – spodnie, bluzę i nylonową kurtkę do kompletu. Każdy w Korei Północnej marzył o takich rzeczach. Prawie niemożliwe było nabyć je w sklepie i zazwyczaj krążyły jedynie na czarnym rynku. Szczególnie pożądane były te nylonowe. Ludziom Zachodu musi się wydać dziwaczne, że taki przedmiot stanowi ważny wyznacznik statusu w Korei Północnej. W 1987 roku jako dar dla narodu Kim Ir Sen udostępnił dresy dla wszystkich dzieci uczących się w gimnazjach i szkołach średnich. Mama popędziła, by kupić jeden dla Bum Su, który wkrótce potem zmarł. Wiedziała, że zostało mu niewiele czasu, i chciała go czymś ucieszyć. Był oczarowany dresem i kładł go obok siebie, by móc go dotykać. Uśmiechał się z wdzięcznością do matki, na przemian tracąc i odzyskując przytomność. Umarł, trzymając dres w dłoni. Nie zdążył ani razu go włożyć.

Kiedy więc Maria kupiła mi taki strój, czułam się naprawdę wdzięczna. Jednocześnie spodziewałam się, że niebawem zostanę stracona, uważałam więc, że ten dres jest ostatnim aktem hojności, zanim zostanę postawiona przed plutonem egzekucyjnym. W moim położeniu musiałam nieustannie kwestionować intencje przyświecające osobom, które mnie przetrzymywały, i często próby chłodnego, bezstronnego rozumowania zakłócało mi emocjonalne pogubienie.

Właśnie ten, dres miałam na sobie w furgonetce

i w nim miałam wysiąść w Seulu. W tamtej chwili wydawał mi się dziwnie symboliczny.

Maria również jechała z nami, podobnie jak czterech strażników. Często spoglądała na mnie z litością, ale nic nie mówiła. Nie było już nic do dodania między nami, choć bardzo chciałam podziękować jej za okazaną dobroć. Kiedy pielęgniarki ubierały mnie na podróż – wiedziałam, że wstrzymują łzy – Maria stała obok z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Musiałam ją bardzo rozczarować, ale podejrzewam, że również mi współczuła.

Po zajściach w więzieniu strażnicy przestali być dla mnie mili. Kiedy furgonetka była gotowa, wyprowadzili mnie na zewnątrz, trzymając pod ramiona, i po prostu wrzucili do środka. Zauważyłam, że towarzyszą nam dwa policyjne samochody. Miałam więc swój własny konwój, który eskortował mnie z Bahrajnu.

Kiedy dotarliśmy na lotnisko, było już ciemno. Podjechaliśmy wprost pod zatoczkę, mijając pojazdy serwisujące i rzędy świateł naprowadzających. Na dźwięk silników samolotu serce zaczęło mi walić, a na twarz wystąpił zimny pot. To było to.

Furgonetka się zatrzymała. Wyniesiono mnie na zewnątrz i moim oczom ukazał się odrzutowiec Korean Air wznoszący się nade mną niczym ogromny metalowy potwór. Ogarnęło mnie kompletne przerażenie, strach daleko silniejszy niż kiedykolwiek wcześniej. Krzyknęłam i zaczęłam szarpać się ze strażnikami, ale okazali się o wiele silniejsi. Miałam związane ręce, brakowało mi też

odpowiedniej równowagi, by móc użyć stóp. Pociągnęli mnie w stronę schodów wiodących do wejścia, u dołu których stało dwoje południowokoreańskich agentów o nieodgadnionym wyrazie twarzy. Zręcznie przejęli mnie z rąk Bahrajńczyków, wepchnęli mi coś do buzi i zakleili usta taśmą klejącą. Było to jakieś plastikowe urządzenie, które miało uniemożliwić mi gryzienie języka.

Koreańczycy wnieśli mnie do samolotu jak walizkę, wprowadzili do kabiny i pchnęli na siedzenie, a potem usiedli po obu stronach, wciąż trzymając mnie pod rękę. Już wcześniej zaczęłam płakać i teraz jakiś oficer podszedł, by wytrzeć mi twarz. Wymamrotał coś pocieszającego, ale wtedy wtrąciła się kobieta siedząca po mojej lewej stronie:

– Zostaw ją, niech sama się uspokoi.

Równie dobrze mogłabym nie żyć, pomyślałam nieświadoma, że najgorsze dopiero przede mną.

Już w parę chwil od rozpoczęcia tej nowej niewoli popełniłam pierwszy, a zarazem decydujący błąd. Jakiś mężczyzna podszedł, by obejrzeć moje dłonie.

– To są dłonie wyszkolonego szpiega – powiedział do agentów, którzy siedzieli obok mnie. – Widzicie, jak je otwiera?

Natychmiast zacisnęłam pięści. Tym samym, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, przyznałam się, że znam koreański.

Samolot wystartował bez żadnej oficjalnej informacji. Nie było stewardes; ten lot zorganizowano specjalnie dla mnie. Była w tym pewna ironia, że ja, Koreanka z Północy,

miałam dla siebie cały odrzutowiec. Ogromna większość moich rodaków nigdy nie wyjeżdża za granicę. Aby móc to zrobić, trzeba się „zaczepić” – to potoczne określenie, które znaczy tyle, co mieć specjalne powiązania z rodziną Kim Ir Sena.

Na zewnątrz panowały całkowite ciemności, ale w kabinie paliły się światła. Nikt nie miał zamiaru spać podczas tego lotu, a już najmniej ja. Próbowałam ustalić, co już wiedzą: że miałam przy sobie fałszywy japoński paszport, że próbowałam popełnić samobójstwo i że jestem wyszkolona w sztukach walki. Żaden z tych faktów nie łączył mnie bezpośrednio z zamachem bombowym, ale musiałabym być głupia, żeby nie dostrzegać widocznego schematu wskazującego na moją winę.

– Niewygodnie ci? – zapytała po japońsku siedząca obok mnie kobieta.

– Mów do niej po koreańsku – rzucił agent siedzący po mojej prawej stronie.

Za każdym razem jednak, kiedy mówili po koreańsku, udawałam, że nie rozumiem, więc kobieta od czasu do czasu szeptała coś po japońsku.

Lot ciągnął się w nieskończoność. Myślałam wyłącznie o tym, na jak różne sposoby będę torturowana w Seulu. Podtapianie, skorpiony, rozgrzane do białości pogrzebacze – to było zaledwie kilka metod, w których rzekomo lubowali się południowokoreańscy śledczy. Przez cały lot trzęsłam się niekontrolowanie, nawet wtedy, kiedy zarzucano mi na ramiona ciepły koc. W pewnym momencie

usłyszałam, jak któryś z agentów mówi:

– Jak na kogoś, kto dopuścił się takich potworności, czy nie wygląda jak śpiąca w lesie królowna?

Wtedy wydało mi się to bzdurą, ale potem zrozumiałam, że miał na myśli Królowę Śnieżkę. W tamtym czasie nie mogłam tego wiedzieć, bo w Korei Północnej jakkolwiek zachodnia literatura była zakazana, a wszystkie książki dla dzieci poświęcone były wyłącznie chwale Kim Ir Sena. Pewnego razu jakiś agent przemycił do obozu wojskowego egzemplarz *Baśni tysiąca i jednej nocy*, które potem wszyscy z wielkim podziwem i fascynacją czytaliśmy.

Aby jakoś zabić czas i podtrzymać swoje postanowienie, powtarzałam sobie w głowie pieśń zatytułowaną *Marsz komandosów*:

Towarzysze, chwycicie za broń!
Pokonajcie imperialistycznych najeźdźców!
Naprzód, wciąż naprzód, odważnie!
Pokonamy wroga, choćby za cenę tysiąca żyć.
Maszerujmy, to już ostatnie starcie!
Na pole walki marsz!
Mocno ściskając w dłoni broń,
Naprzód, wciąż naprzód, odważnie!
Pokonamy wroga, choćby za cenę tysiąca żyć.

Rozmyślałam także o rodzinie. Przypomniałam sobie, jak kilka miesięcy wcześniej, podczas mojej wizyty

w domu, przyjechała się ze mną spotkać babka ze strony matki. Nie widziała mnie od piętnastu lat i na mój widok zapłakała z radości.

– Kochana Hyon Hui – powiedziała, obejmując mnie mocno – warto było żyć, żeby cię znowu zobaczyć. Ciągle miałam przed oczami twoją twarz.

Tego wieczoru jedliśmy koreański przysmak, shins-hullo, i w radosnej atmosferze rozprawialiśmy o „starych, dobrych czasach”. Hyon Ok, która niedawno wyszła za mąż, wpadła z wizytą.

Nieco później tej samej nocy rozległo się gorączkowe pukanie do drzwi. Matka otworzyła: na zewnątrz stał młody mężczyzna, spocony i bardzo wzburzony. Roztrzęsionym głosem oznajmił nam, że mąż Hyon Ok zmarł na zawał serca, pływając w Changgwangwon. Do jego obowiązków jako pracownika agencji turystycznej należało zabieranie gości na największy basen w Pjongjangu. Mimo że był bardzo młody, od kilku dni skarżył się, że jest wyczerpany, i Hyon Ok namawiała go, by odpoczął.

Teraz nie żył, a Hyon Ok w wieku zaledwie dwudziestu lat została wdową. W naszym domu, jeszcze przed chwilą tak radosnym, nastąpiła żałoba.

Nagle się opamiętałam. Przez okna sączyło się światło dnia i czułam, że samolot gwałtownie obniża lot. Serce znów zaczęło mi walić, kiedy usłyszałam głos, który oznajmił:

– Zbliżamy się do Seulu.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Samolot osiadł gwałtownie. Kiedy zwolnił, jeden z agentów podszedł do mnie z futrzanym płaszczem w ręku.

– Na zewnątrz jest zimno – powiedział. – Włóż to.

Pozwolono mi wstać, rozpięto kajdanki. Wśliznęłam się w futro i na powrót skuto mi ręce. Samolot się zatrzymał. Drzwi otworzyły się i uderzył mnie podmuch zimnego powietrza, co było wielką odmianą w porównaniu z tropikalnym Bahrajnem. Zapach przywodził na myśl Pjongjang, aż przez chwilę myślałam, że tak naprawdę wylądowaliśmy na lotnisku Sunan. Potem jednak dotarłam do drzwi i wyjrzałam na zewnątrz. To nie było Sunan.

Lotnisko było oszałamiająco wielkie. Stało tu kilkadziesiąt samolotów, a co minutę któryś odlatywał. Było tak wielkie jak te, które widywałam w Europie.

Zobaczyłam, że na dole zebrał się tłum dziennikarzy trzymających aparaty w pogotowiu. Do drzwi samolotu podstawiano właśnie przenośne schody. Zamknęłam oczy, tak jakby to wystarczyło, by zniknąć z tego straszego miejsca.

Sprowadzono mnie ze schodów. Usłyszałam trzaski migawek i wśród dziennikarzy wybuchło podniecenie.

– Ależ ona jest piękna! – wykrzyknął jakiś mężczyzna.
– Jak taka piękna kobieta może być terrorystką?

Agenci, którzy mnie prowadzili, zatrzymali się na

chwilę, by dać szansę fotografom. Wszyscy wołali, bym spojrzała w ich kierunku, a ja z wielkiego wzburzenia wybuchnęłam płaczem. Nie pierwszy raz poczułam się jak towar na wystawie.

– Hej, mała, uspokój się! – krzyknął ktoś. – Jesteś w Seulu!

Wreszcie wepchnięto mnie do podstawionej limuzyny, która natychmiast odjechała. Byłam całkowicie oszołomiona, siedziałam więc z opuszczoną głową i zamkniętymi oczyma. Nie mogłam przestać płakać.

– Dlaczego nawet nie wyjrzysz przez okno? – zapytał jeden z agentów. – Nie jesteś ciekawa Seulu?

Tak naprawdę byłam ciekawa. Mimo rzekomego ubóstwa, przemocy i korupcji mieszkańcy Korei Północnej podziwiali Seul. Gdyby miało dojść do zjednoczenia, Seul stałby się perłą w koronie. W tamtej chwili jednak byłam tak wyczerpana i przerażona, że nie byłam w stanie podnieść wzroku.

– Czy ktoś nas jeszcze śledzi? – zapytał kierowcę jeden z agentów.

– Nie, zgubiliśmy wszystkich.

– Doskonale. Jedź do Namsanu.

Przez jakiś czas jechaliśmy bardzo szybko, a potem nagle stanęliśmy. Przez cały ten czas słyszałam wokół nas odgłosy innych samochodów. Gdybym tylko podniosła wzrok, zobaczyłabym – i pewnie byłabym zaskoczona – że kierują nimi Koreańczycy. Wówczas jednak, z pochyloną głową i zamkniętymi oczyma, zakładałam, że skoro na

ulicach jest taki ruch, to znaczy, że Seul opanowali cudzoziemcy.

Czułam się jak jagnię prowadzone na rzeź i nie mogłam się doczekać, kiedy dotrzemy na miejsce. W tamtej chwili miałam już tak dosyć życia, że śmierć wydawała się wybawieniem bardziej niż kiedykolwiek. I wtedy właśnie dotarło do mnie: agent powiedział „Namsan”. Musiał mieć na myśli niesławne centrum przesłuchań Namsan, o którym wśród północnokoreańskich szpiegów krążyły legendy. Plotka głosiła, że w piwnicach Namsanu znajdowała się sala, gdzie stosowano niewyobrażalne tortury. Żaden obywatel Korei Północnej nigdy stamtąd nie wrócił.

Zrobiło mi się słabo i chyba zemdlałam. Pamiętam, że kiedy odzyskałam przytomność, samochód już stał i drzwi były otwarte.

„O nie, to już. Co ze mną będzie? Będą wlewać we mnie wodę, aż pęknie mi żołądek? A może gwałcić drewnianym kołkiem..

– Jesteśmy na miejscu – powiedziała siedząca obok mnie agentka. – Teraz możesz odpocząć.

Zaprowadzono mnie do małego pokoju i kazano się położyć. Lekarz zbadał mnie i powiedział:

– Wszystko wydaje się w porządku, ale jest nazbyt wyczerpana. Powinna pospać przez jakiś czas. – A potem: – Zgoda, ale zróbcie jej najpierw zastrzyk z glukozy. Prawdopodobnie ma niski poziom cukru.

Kiedy wbijano mi igłę, zamknęłam oczy, myśląc, że musi to być serum prawdy. Przez chwilę czułam się spięta,

lecz wkrótce zapadłam w niespokojny sen.

Kiedy się obudziłam, usłyszałam odgłosy kłótni toczącej się w pokoju obok. Mimo że moje drzwi były zamknięte, dość wyraźnie słyszałam słowa.

– Po prostu tracimy czas, o to chodzi! – krzyczał mężczyzna. – Powinniśmy natychmiast wyciągnąć knebel i rozpocząć przesłuchanie!

– To zbyt niebezpieczne! – wrzasnęła w odpowiedzi kobieta. – Dyrektor nie udzielił nam jeszcze pozwolenia!

– Słuchaj, biorę na siebie odpowiedzialność – warknął mężczyzna. – I tak musimy to w końcu zrobić.

Głosy ucichły i kilka minut później śledczy przyszedł wyjąć plastikowy knebel. Miałam sucho w ustach i bolało mnie gardło, ale największy ból spowodowała taśma klejąca. Śledczy zerwał ją wraz z kawałkami skóry, ale nawet nie krzyknęłam. Od chwili wyjazdu z Bahrajnu byłam wrakiem człowieka i pomyślałam, że już czas okazać nieco odwagi.

Po raz pierwszy od wyjazdu z lotniska otworzyłam oczy. Pokój był zupełnie biały i nie miał okien. Poza łóżkiem znajdowały się w nim dwa biurka, sofa i kilka krzeseł. Dostałam gęsiej skórki, kiedy rozejrzałam się i zastanowiłam, ilu moich rodaków – patriotów i rewolucjonistów – zostało tu zamordowanych przede mną.

Do pokoju weszły jeszcze trzy osoby, łącznie było więc dwóch mężczyzn i dwie kobiety. Próbowałam zmobilizować się psychicznie na czas walki, którą – jak są-

dziłam – mieliśmy wkrótce stoczyć.

Agenci rozmawiali ze mną uprzejmie, ale jednocześnie byli wyczuleni na każdy detal. Byli zawodowymi śledczymi, południowokoreańskimi odpowiednikami agentów KGB i CIA.

Zmuszono mnie do wypicia jakiejś mlecznej substancji i wkrótce zapadłam w głęboki sen. Kiedy się obudziłam, wciąż tam byli i wyglądało na to, że w ogóle się nie ruszyli ze swoich miejsc. Kobieta i mężczyzna siedzieli przy biurkach, obserwowali mnie i robili notatki. Druga z kobiet stała w nogach łóżka, zaś czwarty agent opierał się o ścianę przy drzwiach. Z zewnątrz dochodziły jakieś odgłosy i zaczęłam się zastanawiać, czy to już poranek. Po jakimś czasie stojąca przy łóżku kobieta kazała mi wstać. Usiłowałam to zrobić, ale byłam zbyt słaba i potrzebowałam pomocy. Kobieta wyprowadziła mnie z pokoju, wzdłuż korytarza i do łazienki, gdzie rozebrano mnie do naga i dokładnie wyszorowano. Wstydziłam się nagości, ale gorąca woda działała kojąco. Moi prześladowcy okazali się bardzo łagodni, więc zaczęłam podejrzewać, że to fortel mający zaskarbić moje zaufanie. Zauważyłam z wyższością, że szampon i mydło były wyprodukowane za granicą. Na Północy produkowaliśmy takie dobra na własny użytek, choć może jakość nie była doskonała.

Pozwolono mi umyć zęby, czego nie robiłam od wyjazdu z Bahrajnu. Kiedy skończyłam, dostałam nowy komplet ubrań. Wszystkie miały południowokoreańskie

metki i zarówno bielizna, jak i dres były daleko lepszej jakości niż wszystko, co do tej pory nosiłam. Po co, zastanawiałam się, marnują takie drogie ubrania na zbrodniarkę, jeśli nie po to, by podstępem wymusić na mnie zeznanie?

Kiedy wróciłam do pokoju, dostałam kubek kawy. Od wielu dni o niej marzyłam. Była strasznie gorąca i musiałam zdmuchnąć unoszącą się nad nią parę. Jeden z agentów rzucił wówczas do drugiego:

– Jestem pewien, że to Koreanka. Tylko Koreańczycy zdmuchują parę w taki sposób.

Zanim zdołałam powstrzymać ten odruch, odłożyłam kubek.

„Sukinsyny!”

Wstałam i wyszłam do toalety, gdzie wylałam kawę. Kiedy myłam kubek, pojawiła się agentka i kazała mi go wyrzucić. Byłam zdumiona. Trzymałam w dłoni zupełnie dobry papierowy kubek, którego można było jeszcze używać. Wydawało się to strasznym marnotrawstwem i tylko potwierdzało, że Korea Północna to biedny, tonący w długach kraj.

Podano mi ogromne śniadanie, złożone z jajek, ryżu i kimchi – przyprawionej kapusty, która jest narodową obsesją Koreańczyków. Próbowałam się powstrzymać, ale już wkrótce smakowite zapachy okazały się silniejsze i pożarłam wszystko do ostatniego kęsa. Jedząc, zapytałam po japońsku, jaki mamy dzień. Powiedziano mi, że jest 17 grudnia, siedemnaście dni od zejść w Bahrajnie. Wyda-

wało się to prawdopodobne. Zastanawiałam się, jak długo zdołam jeszcze wytrzymać.

Wkrótce popełniłam kolejny poważny błąd. Pewnego dnia podsłuchałam, jak dwie agentki rozmawiają o moim cyklu menstruacyjnym. Ponieważ trzeba było jakoś o to zadbać, napisałam na kawałku papieru „24”, by dać im do zrozumienia, że spodziewam się miesiączki 24 grudnia. Wydawało się, że nie zwróciły na mnie wówczas szczególnej uwagi, i wkrótce rozmowa zeszła na temat wyborów.

– Na kogo głosowałaś?

– U nas w domu głosy podzieliły się według płci. Mężczyźni poparli X, kobiety Y. Ja też głosowałam na Y.

Nic z tego nie rozumiałam. Tam, skąd pochodziłam, uważaliśmy za wielkie szczęście, że mamy jednego mocnego kandydata – Kim Ir Sena – którego niezmiennie „wybieraliśmy” na prezydenta. Całe to pojęcie „wolności wyboru” wydawało się wprowadzać niepotrzebny chaos. Zastanawiałam się, jak to możliwe, że Koreańczycy z Południa dochodzą w jakiegokolwiek sprawie do porozumienia.

W Korei Północnej wybory odbywają się co cztery lata. O każde stanowisko ubiega się tylko jeden kandydat wyznaczany przez Partię Pracy, a naród głosuje na „tak” lub „nie”. Na całe tygodnie przed wyborami organizuje się wiece, parady i zebrania mające zachęcać do stuprocentowej frekwencji wyborczej. Oczywiście i tak każdy obywatel w wieku powyżej siedemnastu lat musi zgodnie

z prawem głosować, więc wszystkie te hasła i uroczystości niczemu nie służą.

W dniu wyborów obywatele już od siódmej rano ustawiają się w kolejkach do punktów wyborczych. W pobliżu zazwyczaj gra orkiestra, mająca ożywić atmosferę całego wydarzenia. Wyborca zostaje zarejestrowany, a następnie otrzymuje kartkę papieru z wstemplowanym „pozytywnym” głosem. Osoba ta przechodzi dalej do holu, w którym zasiada trzech członków komisji wyborczej, podchodzi do portretów rodziny Kimów i składa ukłon. Po tym wrzuca swój „pozytywny” głos do pudła ustawionego pod portretami. Aby zagłosować na „nie”, wyborca musiałby nie wrzucić kartki do pudła. Rzecz jasna w momencie, gdy trzech urzędników śledzi twój każdy krok, wyłamania się jest nie do pomyślenia.

Podano mi obiad złożony z kaszki ryżowej i suszonych wodorostów. To koreański przysmak, ale przecież ja miałam być Chinką, zapytałam więc strażników, czy wodorosty to spalony papier. Uśmiechnęli się, ale nic nie odpowiedzieli. Zamiast tego zaczęli sobie opowiadać dowcipy:

– Kto gada bez względu na to, czy ktoś go słucha, czy nie?

– Polityk?

– Blisko. Nauczyciel.

Albo:

– Sędzia pyta złodzieja, dlaczego kradnie. Złodziej

odpowiada, że z głodu. Kiedy sędzia stwierdza, że przecież właśnie ukradł parę butów, złodziej odpowiada: „Przecież nie będę kradł boso!”

Albo:

– Rosjanin zostaje zesłany na Syberię za niepatriotyczne zachowanie. Pyta sędziego: „Hej, jeśli Ameryka jest taka zła, jak mówicie, to może lepiej tam mnie posłać?”.

Musiałam wybiec do łazienki, żeby stłumić śmiech. Dla Koreańczyka takie żarty są przekomiczne i mimo mojego położenia, nie byłam na nie odporna. Puściłam wodę, by zagłuszyć swój chichot. Śmiałam się po raz pierwszy od kilku tygodni.

Południowokoreańscy agenci byli prawdziwymi profesjonalistami. Traktowali mnie z najwyższym szacunkiem. Wiedzieli, że takie działanie przyniesie szybsze efekty niż jakakolwiek przemoc fizyczna czy bezpośrednie pytania. Będąc zmuszona po prostu przebywać z nimi, ja – również Koreanka – powoli lecz nieuchronnie się załamywałam.

Któregoś dnia agentki zaproponowały, byśmy pośpiewały razem piosenki, zamiast tak bezczynnie siedzieć. Kobieta nazwiskiem Pak Lin zaczęła piosenką, którą znałam: *Górski króliczek*. Była to pieśń zakazana przez Kim Ir Sena i zastąpiona nacjonalistyczną propagandą. Kiedy przysłuchiwałam się im z fascynacją, w pamięci pojawiały się obrazy dzieciństwa.

Moja rodzinna wioska leżała w kwiecistej dolinie wśród wzgórz,
Gdzie brzoskwinie, morele i młode azalie obsypane kwieciami
Stroiły ją kolorami niczym pałac.
Tęskno mi do tych dni, gdy igrałam w kwitnącym pałacu.

W głębi duszy śpiewałam wraz z nią. Przypomniał mi się dom mojej babki w Gaesung, tradycyjny kryty gontem dom położony wśród przepięknych wzgórz, ze strumykiem przepływającym przez podwórze. Wiosną azalie obsypywały się kwiatami, ścieląc dolinę jasną czerwienią, dokładnie tak jak w piosence.

Teraz nadeszła moja kolej. Zaśpiewałam popularną chińską piosenkę zatytułowaną *Kwiecie śliwy*:

Kwiecie śliwy, kwiecie śliwy wszędzie wokół,
im większy chłód, tym piękniej rozkwita.
Kwiecie śliwy, co opiera się zimie,
jest symbolem naszego ducha.
Kwiecie śliwy, kwiecie śliwy, najpiękniejszy kwiecie Chin.

Kiedy skończyłam, jeden z agentów zapytał po japońsku:

– Dlaczego nie zaśpiewasz jakiejś koreańskiej piosenki, skoro jesteś w Korei? Wiesz, z czystej uprzejmości.

Pozostali zaczęli klaskać w dłonie i zachęcać mnie. Odmówiłam, mówiąc, że nie znam żadnych koreańskich pieśni, ale oni wciąż nalegali. Wreszcie się poddałam i zanuciłam kilka taktów piosenki, którą słyszałam w telewizji. Byli zachwyceni. Wydawało się to lepszym wyjściem, niż całkiem odmówić udziału.

Potem inna z kobiet zaśpiewała przejmująco piękną koreańską pieśń:

Dźwięczące dzwony, kolorowe kwiaty,
Rozśpiewane ptaki, uśmiechnięte twarze.
Tęsknię za mym ukochanym w dalekim Seulu,
w pięknym Seulu zamieszkać pewnego dnia.

Po tej piosence coś we mnie pękło. Zaczęłam się zastanawiać, czy Seul faktycznie jest piękny. Sądząc z wyrazu twarzy zebranych, było to bardzo prawdopodobne. Ale potem zganiłam samą siebie: gdzie się podział mój rewolucyjny duch pielęgnowany przez ostatnie osiem lat? Gdzie moje bezwzględne oddanie dla kraju? Ci ludzie mnie uwodzili, a ja nie potrafiłam im się oprzeć.

W końcu śledczy zaczęli zadawać przypadkowe pytania o moje pochodzenie, choć nie odbywało się żadne formalne przesłuchanie. Robili to w luźnej rozmowie, jakbyśmy byli przyjaciółmi, a ja opowiedziałam im tę samą historię, którą wcześniej przedstawiłam w Bahrajnie Hendersonowi. Wyglądało na to, że mi wierzą; nie byli napastliwi ani nie podważali moich słów, a jedynie czasami coś notowali. Odpowiedzi na niektóre pytania musiałam szukać po omacku.

– Czy przypominasz sobie jakichś aktorów z filmów, które oglądałaś w Makau?

– Brucea Lee.

– Zażyłaś truciznę, bo Shinichi ci kazał?

– Yyyy...

– Jeśli jesteś Chinką, musiałaś w życiu poznać wielu Koreańczyków. Mówisz, że nie znasz ani słowa po koreańsku?

– Hm... *gan na* [suka].

Jeden z agentów pokazał mi zdjęcie Kim Ir Sena:

– Czy widziałaś kiedyś tego człowieka?

Przyjrzałam się zdjęciu z namysłem.

– Tak, w telewizji.

– Jak on się nazywa?

– Jin Reu Chung – odparłam, używając chińskiej wymowy.

Tej samej nocy, kiedy próbowałam usnąć, usłyszałam, jak rozmawiają szeptem:

– To niewybaczalne, używać takiej dziewczyny jako politycznego narzędzia.

– Wiem. Zbrodnia pozostaje zbrodnią, ale naprawdę jest mi jej żal.

– To ten bękart Kim Ir Sen zasługuje na karę.

W tamtej chwili chciałam wyskoczyć z łóżka i wrzasnąć: „Skurwysyny! Jak śmiecie nazywać Wielkiego Przywódcę bękartem?”. W moim kraju nie było większej herezji. Dla obywateli Korei Północnej Kim Ir Sen był tym, czym Słońce dla Ziemi. Oczywiście nic nie mogłam zrobić.

Następnego dnia – 18 grudnia – przesłuchanie rozpoczęło się na poważnie. Byli uprzejmi, lecz bardzo skrupulatni i dociekali szczegółów, których, jakkolwiek bym się starała, nie byłam w stanie im podać. Pytali o nazwy ulic, na których się rzekomo wychowałam, i nazwy kin, do

których chadzałam. Kazali mi narysować dom Shinichiego i zadawali niekończące się pytania o mój pobyt w Japonii. Ponieważ nigdy tam nie byłam, nie mogłam udzielić odpowiedzi, które byłyby choć trochę prawdopodobne. Przez cały ten czas rozmawiali między sobą po koreańsku, komentując moje odpowiedzi.

– Ta dziewczyna jest zbyt głupia, żeby być szpiegiem – rzucił jeden z mężczyzn, obserwując moją reakcję.

Następny dzień był koszmar. Sprowadzono nowego śledczego – przystojnego mężczyznę po pięćdziesiątce w eleganckim czarnym garniturze, który palił amerykańskie papierosy jednego po drugim. Zwracając się do mnie po chińsku, rozkazał narysować schemat całego mojego życia, z podaniem nazwisk, dat i ważnych wydarzeń.

– Wiemy, że jesteś Koreanką – rzucił, kiedy rysowałam. – Łatwiej byłoby się do tego przyznać.

Zlekceważyłam go i ukończyłam diagram, który pchnęłam w jego kierunku przez szerokość biurka. Zerknął nań i uśmiechnął się pogardliwie, a potem zgniótł kartkę i wrzucił ją do kosza.

– Ta dziewczyna ewidentnie kłamie – powiedział po koreańsku do pozostałych.

W tym momencie wtrąciłam się po chińsku:

– W którym miejscu niby kłamie?

Spojrzał na mnie kpiąco, jakby chciał powiedzieć: „Muszę mówić dalej?”. Zapalił kolejnego papierosa i przyjrzał mi się uważnie.

– Powiedz mi – zaczął, wypuszczając dym nosem –

jaką stację telewizyjną oglądałaś w Japonii?

– Azalię.

Uśmiechnął się z wyższością, a pozostali agenci wybuchnęli śmiechem. Azalia to stacja północnokoreańska, ale w tamtej chwili byłam zbyt zdezorientowana i wściekła, by jasno myśleć.

– Jaką stację zwykle oglądałaś? – powtórzył.

– Słuchaj – warknęłam, podnosząc się z miejsca – mam już dość odpowiadania na te wszystkie pytania. Dlaczego pytacie mnie w kółko o to samo? Jeśli uważacie, że jestem winna, to dlaczego mnie, kurwa, nie zastrzelicie?!

Rzuciłam się z płaczem na łóżko. Nie zasługiwałam na miano agentki specjalnej. Brakowało mi psychicznej determinacji i analitycznej sprawności, która w tym zawodzie była całkowicie nieodzowna. Chciałam tylko wrócić do domu, do rodziny, i zapomnieć, że kiedykolwiek zostałam wybrana przez Partię. Chciałam, żeby Bum Su żył. I żebym ja umarła.

Z dnia na dzień ich pytania stawały się coraz trudniejsze. Pytali, ile Shinichi mi płacił, ile z tego odkładałam i jak nazywał się bank, w którym miałam konto. Zapytali też, czy kiedykolwiek jechałam w Japonii taksówką, a gdy odpowiedziałam twierdząco, kazali mi rozrysować układ siedzeń. Czy znam kolor terminalu na lotnisku Narita? Czy wiem, ile ma pięter? Czy byłam kiedyś w Kantonie w miejscu zwanym Shawmen?

Kazali mi napisać, jak się nazywam. Napisałam po chińsku Pae Chui Hui. Wzięli kartkę i wyszli z pokoju, a kilka chwil później wrócili z moim nazwiskiem wydrukowanym w kilku rozmiarach. To było moje pismo, ale jakim cudem sprawili, że raz było drobne jak ziarenka sezamu, a innym razem wielkie jak znak drogowy? Gapiłam się na kartki, kompletnie zbита z tropu. Moja reakcja rozbawiła ich, ale nie skomentowali jej w żaden sposób, tylko zaczęli zadawać pytania, od których przeszły mnie dreszcze:

– Z kim się spotkaliście na lotnisku w Bagdadzie? To była więcej niż jedna osoba, prawda? Czy nazwisko Choe coś ci mówi?

To ostatnie pytanie zadano po koreańsku, ale było dla mnie takim zaskoczeniem, że nie potrafiłam tego ukryć. Otworzyłam oczy i pobladłam.

– To zaczyna być nużące, prawda? – zapytał po chińsku śledczy. – To zaczyna być nużące, prawda? – powtórzył po japońsku. – to zaczyna być nużące, prawda? – niemal wykrzyczał po koreańsku, a ja wybuchnęłam płaczem.

Rzucił mi w twarz mój paszport.

– Kto to jest? – zapytał stanowczo.

– Skąd mam, kurwa, wiedzieć?! – wrzasnęłam, wstając z miejsca i zaciskając pięści.

Przypierał mnie do muru. Miał kamienną twarz, a kiedy mówił po koreańsku, jego głos brzmiał jak cichy syk.

– Na pokładzie tego samolotu było sto piętnaście osób. Większość z nich to niewinni robotnicy, bez żadnych politycznych powiązań. Zaharowywali się na tej cholerniej pustyni, żeby nakarmić i ubrać swoje rodziny, dać dzieciom wykształcenie. Od miesiący nie byli w domu, a teraz wracali z pieniędzmi, na które tyrali do upadłego. Nie wiemy, dlaczego to zrobiłaś, ale powinien cię za to trafić szlag. – Przerwał, by zaciągnąć się papierosem, a potem dmuchnął mi dymem prosto w twarz. – Wiem, że nie działałaś sama i że prawdopodobnie nakłoniono cię do tego za cenę twojego własnego życia. Ale niech cię diabli, jesteś winna rodzinom ofiar zeznanie, tak byśmy mogli działać przeciwko tym, którzy naprawdę ponoszą odpowiedzialność za tę zbrodnię. Jeśli tracimy istotę naszego człowieczeństwa, to czym więcej jesteśmy niż dzikimi zwierzętami, szalonymi, niecywilizowanymi bestiami?

Zaczęłam szlochać, ale on jeszcze nie skończył.

– Właśnie straciłaś swoje człowieczeństwo, młoda damo – ciągnął, dźgając mnie palcem. – Dlaczego mieliśmy cię traktować jak człowieka? Wszystko ma swój czas, a twój czas na skruchę nieubłaganie mija. Jeśli nie skorzystasz z tej okazji, kolejnej możesz już nie dostać. – Utkwił we mnie wzrok. Z bliska nie wydawał się już tak przystojny. – Twój rząd nie liczy się z ludzkim życiem i przykro mi, że byłaś jego pionkiem. Gdybyś zrobiła coś szlachetnego, może należałyby ci się jakieś honory. Ale zabijanie niewinnych ludzi nie jest zaszczytnym czynem. Jest złe i cholernie głupie. A ty, nie zdając sobie z tego

sprawy, sama jesteś głupia. Rozumiesz? Ten, kto odwraca się od sprawiedliwości i czyni zło, jest zdrajcą. Ale ten, kto odwraca się od zła ku dobru, jest sprawiedliwy. Pranie mózgu młodej dziewczynie to nikczemna rzecz. Jeszcze masz czas, młoda damo, żeby prosić o wybaczenie i próbować odkupić to, co zrobiłaś. Ale powiem ci, że ten czas się kończy. – Patrzył mi przez chwilę w oczy, a potem się odwrócił. Ale nawet wtedy miał jeszcze coś do dodania. Stojąc w drzwiach, odwrócił się nagle i zadał ostatni cios: – Pomyśl o tym w ten sposób: możesz się przyznać i tym samym prosić o wybaczenie rodziny, które straciły swoich najbliższych, albo umrzeć z krwią stu piętnastu osób na rękach, za kraj, dla którego twoje życie nie jest warte więcej niż życie muchy. Ale wtedy nawet Bóg nie zechce cię wybawić. – Wyszedł na korytarz, ale nawet gdy się oddalał, wciąż docierał do mnie jego głos: – Pomyśl o tym, Chui Hui. A może powinienem powiedzieć: Ok Hwa?

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Zostałam pokonana.

Przez dwa tygodnie bezlitosnych przesłuchań w Bahrajnie i osiem dni jeszcze intensywniejszego przepytывania w Seulu udawało mi się opierać. Angażując resztki sprytu, które udało mi się zmobilizować, kłamałam, by być wierna Naszemu Wielkiemu Przywódcy. Potem kłamałam dalej, by pokryć poprzednie kłamstwa. A przede wszystkim kłamałam, by uchronić moją rodzinę, bo wiedziałam, jaki los nieuchronnie by ich czekał.

Ale teraz to wszystko było skończone. Moje siły się wyczerpały. Koreańczycy z Południa pokonali mnie. Nie użyli przemocy, jak się tego obawiałam, a jedynie niewyczerpanej, dobrze przemyślanej cierpliwości. Powiedziałam im, że jestem chińską sierotą. Powiedziałam im, że zostałam nieformalnie adoptowana przez dobrotliwego Shinichiego Hachiyę i że wyjechałam z nim na wakacje do Europy. Ale nie dali się zwieść. Doskonale wiedzieli, że jestem północnokoreańskim szpiegiem, nawet zanim się do tego przyznałam. Wiedzieli też, że to ja spowodowałam śmierć stu piętnastu osób, co było absolutnie niewybaczalne.

Tak, zostałam pokonana. Ale ostatecznie to miasto Seul, bardziej niż cokolwiek innego, przełamało resztki mojego oporu. Wychowano mnie w przekonaniu, że Koreańczycy z Południa to nękane biedą marionetki bez-

względnego kapitalistycznego reżimu. Gdy po raz pierwszy znalazłam się w Seulu, usiłowałam desperacko wierzyć w to, czego mnie nauczono.

W końcu jednak narodziłam się na nowo. Dziewczynka wychowana jako uczennica Kim Ir Sena umarła na lotnisku w Bahrajnie.

Powoli, stopniowo jej miejsce zajmowała inna osoba. I to przede wszystkim Seul się do tego przyczynił.

To się stało na dzień przed tym, jak przyznałam się do winy. Śledczy oświadczyli mi, że zrobimy sobie dzień przerwy od przesłuchań i pojedziemy zwiedzać miasto.

Dostałam do ubrania czarny damski kostium. Tak wystrojona poczułam się jak mała dziewczynka w pierwszym dniu szkoły. Zastanawiałam się, dlaczego są dla mnie tacy mili.

Wyjechaliśmy z policyjnego obozu i podążaliśmy dalej na wzgórze. Drzewa wyglądały znajomo, granitowe skały i czerwona ziemia wyglądały znajomo... Wszystko było mi tak bliskie. Niebo nade mną – ciemnoniebieskie, z jedną przepływającą białą chmurą – było takie samo jak to, na które patrzyłam w Pjongjangu. Potem jednak osiągnęliśmy grzbiet wzgórza i ujrzałam przed sobą centrum Seulu rozpościerające się po horyzont niczym jeden z cudów świata. Złudzenie, że jestem w Korei, którą znam, rozwiało się.

W dole zobaczyłam prawdziwą powódź samochodów. Nawet na zachodzie Europy nie widziałam tylu aut tłoczących się na szerokich ulicach. Zszokowana zaczęłam

się przypatrywać kierowcom. To byli Koreańczycy, nie cudzoziemcy.

Przez chwilę nie byłam w stanie wydusić z siebie słowa. Ten widok był tak inny od tego, czego się spodziewałam, że nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Nie wierzę w to – wyszeptałam w końcu.

Agent, który jechał z nami, wskazał gestem ruch uliczny.

– Wszystkie te samochody produkuje się w Korei – powiedział. – Większość rodzin posiada obecnie samochód. Mówi się, że nawet żebracy krążą teraz po mieście samochodami. Skutkiem są korki na drogach i brak miejsc parkingowych. To poważne problemy społeczne.

Zatrzymaliśmy się co chwilę i ruszaliśmy wraz z innymi. Rozumiałam sens jego ostatniego zdania, ale skupiałam się też na wcześniejszych słowach. W Korei Północnej tylko najwyżsi urzędnicy partyjni i ministrowie jeździli samochodami, a my, uczniowie, zwykliśmy się kłaniać, gdy nas mijali. Zawód kierowcy to jedna z najbardziej pożądanых profesji wśród młodych ludzi, przynajmniej jeśli chodzi o mężczyzn. Kobiety nie mogą nawet marzyć o prowadzeniu samochodu. Czasami wolno im kierować trolejbusem, ale to wszystko, na co mogą liczyć.

Tymczasem tu, w Seulu, zauważyłam, że wielu kierowców to kobiety. Byłam tak oszołomiona, że potrafiłam jedynie gapić się z czołem przyklejonym do szyby.

Minęliśmy South Gate, ratusz, budynek kongresu,

wioskę olimpijską, centrum handlowe w Jamsil. Byłam pod wrażeniem swobody, z jaką wszyscy się zachowywali, ich ożywionych twarzy, kolorowych ubrań. Najbardziej jednak uderzali mnie uliczni handlarze, których widać było na każdym skrzyżowaniu. W Korei Północnej mówiono nam, że uliczni handlarze to najbiedniejsi ludzie na Południu. Jednak towar, który oferowali, nie był w żadnym wypadku tani: drogie zegarki, narzędzia wysokiej jakości, eleganckie ubrania i buty. Coś takiego byłoby całkowicie niemożliwe w Korei Północnej, gdzie cena jednego zegarka równała się kosztom wyżywienia pięcioosobowej rodziny przez siedem miesięcy. Ci sprzedawcy zaś wyglądali, jakby zarabiali fortunę. Jak można ich nazywać biedakami?

O zmroku wjechaliśmy na górę Namsan, żebym mogła z wysoka zobaczyć światła miasta. Widok był przepiękny. Zakochałam się.

To, że zgodziłam się zobaczyć Seul, było moim ostatecznym błędem, a zarazem wyzwoleniem. Ci, którzy mnie przetrzymywali, musieli się spodziewać, jaki to będzie miało na mnie wpływ. Nie mogłam się otrząsnąć z wrażenia, że pierwsze dwadzieścia sześć lat mojego życia było jakąś fikcją.

Kiedy w jednej krótkiej chwili zrozumiałam, że cała moja ciężka praca, plany i szkolenie – tak naprawdę całe moje życie – opierały się na kłamstwie, poczułam przypływ nienawiści do Kim Ir Sena.

*

Nazajutrz rano znów siedziałam przy stole przesłuchań naprzeciw agenta, który dwa dni wcześniej dał mi długi wykład. Zapytał uprzejmie, jak mi się podobała wczorajsza przejażdżka, i uśmiechnął się, gdy nie mogłam znaleźć odpowiednich słów.

– Zamierzam teraz wypunktować wszystkie twoje kłamstwa, jedno po drugim. Słuchaj uważnie, przemyśl dokładnie sprawę i nie kłam. Prawda jest tylko jedna i my już ją znamy. Rozumiesz? – Umilkł na chwilę, zapalił papierosa, a potem ciągnął dalej: – W żadnym razie nie jesteś Chinką. Dlaczego? Powiedziałaś, że przez piętnaście lat mieszkałaś w mieście Wuchang. Tymczasem nie ma czegoś takiego jak Wuchang, jest tylko miejscowość zwana Wuchanghsien. Ponadto, gdybyś naprawdę wychowała się na północy Chin, tak jak utrzymujesz, wiedziałabyś, że słowa *tungsu* [dorastać] używa się tylko na południu. Ty jednak użyłaś go wiele razy. Podobnie kaszkę kukurydzianą nazywasz *wuimei*, co również jest południowym określeniem. Mieszkańcy północy używają słowa *paomei*, którego ty nie przywołałaś ani razu.

Twierdzisz też, że wychowałaś się jako sierota na ulicy i że twoim podstawowym pożywieniem był chleb *hoppang*. Niestety, ten chleb jadają wyłącznie bogaci ludzie. Kiedy zaś zeznałaś, że twoja ciotka sprzedaje na ulicy gazety i pierogi, najwyraźniej nie zdawałaś sobie sprawy, że na ulicach Wuchanghsien nie sprzedaje się gazet. –

Znów przerwał, pozwalając mi przetrwać te informacje. – Takich sprzeczności jest o wiele więcej – kontynuował. – A wszystkie one wskazują na jedno: nie jesteś Chinką i nie ma sensu dalej udawać, że jest inaczej. – Zapalił kolejnego papierosa, nie spuszczał ze mnie wzroku. Wydmuchując dym, ciągnął dalej: – Twierdzisz, że przez rok mieszkałaś w Japonii z panem Hachiya. Mimo to kiedy podaliśmy ci smażone wodorosty, japoński przysmak, spytałaś sarkastycznie, czy to spalony papier. – Wydawał się tym rozbawiony. Pozostali też się podśmiewali. – Pamiętasz szkic japońskiego domu Shinichiego, który zrobiłaś? Ten dom w żadnym razie nie przypominał domów w Japonii, podobnie jak rzekomo japońskie ulice, które rysowałaś, nie przypominają w niczym ulic w Japonii. Twierdzisz, że często oglądałaś telewizję, a jednak zapytana o markę telewizora Shinichiego podałaś Jindalrae, koreańską nazwę azalii. Tak się składa, że Jindalrae to północnokoreańska marka, o czym w skrytości ducha zapewne wiesz. Ponadto relacje z mistrzostw Azji w Seulu transmitowano w Japonii dzień w dzień podczas twojego rzekomego pobytu w tym kraju, ale ty nie wiesz, które państwo wygrało. Powiedziałaś, że w taksówkach w Japonii kierowca siedzi po lewej stronie, a tak naprawdę siedzi po prawej. I wreszcie, gdybyś faktycznie wyjechała z Japonii czternastego listopada, tak jak utrzymujesz, wiedziałabyś, że ich premier został odwołany. Ty jednak powiedziałaś, że premierem jest Nakasone, a nie Takeshita – decydujący błąd. A zatem – zakończył, gasząc papierosa – jak po tych

wszystkich sprzecznych wypowiedziach, a zapewniam cię, że było ich znacznie więcej, możesz utrzymywać, że naprawdę mieszkałaś w Japonii?

To było tak, jakby ktoś zaciskał mi pętlę na szyi. Zabrakło mi kłamstw, które mogłabym im powiedzieć, więc tylko pochyliłam głowę. Ale śledczy jeszcze nie skończył.

– Obserwowaliśmy cię uważnie, odkąd przyjechałaś, śledziliśmy każdy twój ruch. I zauważyliśmy na przykład, jak fachowo ścielisz posłanie, zupełnie jakbyś odbyła długie i systematyczne szkolenie wojskowe. Twierdzisz, że nie znasz koreańskiego. Kiedy więc zauważyliśmy, że odruchowo bębniysz palcami podczas przesłuchania, powiedzieliśmy po koreańsku „Bębnienie palcami jest oznaką zdenerwowania”. Natychmiast przestałaś. Kiedy rozmawialiśmy między sobą po koreańsku, twierdząc „Oj, posłuchaj tylko, ona kłamie”, próbowałaś jeszcze usilniej niż dotąd przekonywać nas, że mówisz prawdę. A gdy opowiadaliśmy koreańskie dowcipy, musiałaś biec do łazienki, żeby się nie roześmiać. I wreszcie ostateczna próba. – Jego twarz przybrała surowy wyraz, kiedy pochylił się nad stołem, świdrując mnie oczyma. – Kiedy wręczyłem ci kartkę z napisanym po koreańsku zdaniem „Jesteś północnokoreańskim szpiegiem”, zareagowałaś zmieszaniem i zdenerwowaniem. Mam kontynuować?

Czułam się, jakby ktoś rozebrał mnie do naga, zdejmując jedną część odzieży po drugiej. Nie, nie musiał kontynuować. Nie zniosłabym nic więcej. Było mi wstyd, byłam zła, upokorzona, było mi przykro... Krótko mówiąc,

zostałam całkowicie pokonana i wiedziałam, że nie będę w stanie dłużej się opierać. Nawet cisza nie mogła już uratować mi życia.

Tylko co się stanie, gdy wyjawię swój sekret? Poniosę śmierć, to pewne, bo jestem morderczynią. A co z moją rodziną? Przypomniała mi się koleżanka z liceum, Ku Jae Yang, której rodzina miała czarno-biały telewizor i w której domu nigdy nie brakowało cukierków. Często u niej nocowałam, bo wtedy oglądałyśmy telewizję i jadłyśmy słodycze. Jej młodsi bracia byli najlepszymi uczniami i liderami Korpusów Młodzieży w swoich szkołach.

Pewnego dnia w 1974 roku Ku Jae Yang nie pojawiła się w szkole. Plotka głosiła, że jej młodszy brat doniósł do Wydziału Bezpieczeństwa Społecznego, że ich matka jest szpiegiem. Przeprowadzono śledztwo, w wyniku którego oboje ich rodziców, a także wuja oskarżono o szpiegostwo. Niebawem całą rodzinę wysiedlono do obozu pracy w Yanggang-do, a ich sąsiedzi martwili się, że zostaną deportowani za to, że utrzymywali z nimi kontakty.

Słyszałam, jak jest w tych obozach: dzień po dniu, rok po roku praca ponad siły. Nie chciałam, żeby moja siostra, bracia i rodzice przechodzili przez coś takiego.

W Korei Północnej żony martwią się, że mężowie zbyt dużo piją, ale nie z obawy o ich zdrowie, jak wszędzie indziej na świecie. Boją się, że po pijanemu powiedzą coś głupiego i ktoś na nich doniesie. Wystarczy jedno niewłaściwe słowo i cała rodzina może zostać zrujnowana.

Tak wyglądało życie w Korei Północnej i było jasne jak słońce, co się stanie z moją rodziną, jeśli przyznam się do winy. Wyobrażałam sobie, jak ojciec, matka, Hyon Su i Hyon Ok zostają aresztowani przez Tajną Policję i wywiezieni.

Wątpliwości nie dawały mi spokoju. Czy moja misja naprawdę była tego warta? Czy moje straszliwe czyny i śmierć tylu osób, którą spowodowały, naprawdę przyczyniły się do zjednoczenia Korei? Czy kraj nadal będzie podzielony, jeśli igrzyska nie odbędą się w Seulu?

I czy zniszczenie jednego samolotu naprawdę spowodowałoby ich odwołanie?

Z wolna docierało do mnie, że tylko kompletny idiota nie zorientowałby się, co jest prawdą a co fałszem.

W tamtej chwili od przyznania się do winy dzieliła mnie jedynie troska o los mojej rodziny. Jeśli zachowam milczenie aż do śmierci, przeżyją resztę życia w godności. A jednak...

A jednak czy aby na pewno? Śledczy już wiedzieli dużo i z całą pewnością mogli poskładać resztę mojej historii w całość bez mojej pomocy. Nie mogłam liczyć na to, że coś wytarguję; nie zgodzą się po cichu odebrać mi życia, by oszczędzić moją rodzinę. Mogli nagłośnić moją sprawę, kiedy tylko zechcą.

A potem przyszło mi do głowy jeszcze coś. Czyż nie powinnam złożyć zeznań ze względu na rodziny ofiar? Czy nie powinnam wyznać – uczciwie i ze skruchą – że popełniłam straszną zbrodnię, po to, by przestano uważać mnie

za potwora? Przecież ci ludzie na to zasługiwali.

Podniosłam wzrok na śledczego. Powoli wydusiłam z siebie:

– Wybaczcie mi, przepraszam. Wszystko wam powiem.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Czułam się pusta.

Po złożeniu zeznań byłam w stanie tylko odrętwiała leżeć w łóżku. Byłam sparaliżowana, fizycznie i psychicznie. Przyznając się do winy, zrzuciłam z ramion ogromny ciężar, ale teraz dryfowałam w pustce, pozbawiona kotwicy, jakiegokolwiek kierunku. Na wpół przytomna, wyczerpana i przygnębiona, spodziewałam się, że niebawem zostanę stracona, ale i to nie robiło na mnie wielkiego wrażenia. Nie byłam w stanie poczuć niczego i nie dbałam o to, co się ze mną stanie.

Odkrycie całej prawdy trwało osiem godzin. Teraz wiedzieli o mnie niemal tyle, ile ja sama o sobie. Zerkając na zegarek agenta, zorientowałam się, że rozmawialiśmy bez przerwy do trzeciej nad ranem. Atmosfera w pokoju wyraźnie zelżała i cieszyłam się, że rozmawiam ze śledczymi po koreańsku. Przyjemność ta była jednak pusta, gdyż jakiś cichy, lecz nieubłagany głos gdzieś w mojej głowie podpowiadał mi, że ja i moja rodzina jesteśmy skończeni.

Dwa dni po przyznaniu się do winy poczułam się nieco normalniej. Otaczający mnie agenci odegrali w tym ważną rolę. Włączali mnie do rozmów, w których wymienialiśmy się uwagami na temat tego, jak różne jest nasze życie. Przystojny agent, który przesłuchiwał mnie po chińsku, nazywał się Nark Jong. Razem ze mną przebywał też inny

młody mężczyzna nazwiskiem Seng Ju. Niska, ładna agentka nazywała się Li Ok.

Seul mnie pokonał, ale wątpliwości pozostały. Widziałam wiele imponujących budynków, wiele oznak szczęścia. Ale jacy naprawdę byli mieszkańcy Seulu? Za fasadą tych pięknych domów i drogich przedmiotów – czy byli naprawdę szczęśliwi?

Tego dnia zwróciłam się do Li Ok:

– Czy mogłabym zobaczyć, jak tutaj żyją zwykli ludzie?

– Oczywiście, w każdej chwili – odparła i przekazała moją prośbę zwierzchnikom.

Podczas wypraw do Europy miałam wrażenie, że nie odkrywam całej prawdy o życiu tam. Agentom specjalnym nie wolno było rozmawiać z obcokrajowcami bez wyraźnej potrzeby. Ponadto z powodu napięcia towarzyszącego każdej misji niemożliwe było tak naprawdę doświadczenie odwiedzanych miejsc. Teraz, w Seulu, chciałam robić właśnie to. Dawniej oceniałam dany kraj jedynie na podstawie powierzchownych obserwacji i tego, co udało mi się podejrzeć, chodząc ulicami. Jeśli na rynku widziałam mnóstwo towarów, wnosiłam, że danemu państwu wiedzie się lepiej niż Korei Północnej. Jeśli napotykałam wiele barów i pubów, wnioskowałam, że kultura danego kraju jest dekadentka i niemoralna. Jeśli na ulicach widać było żebraków, to oczywiście znaczyło, że kraj pogrążony był w nędzy i nie mógł wyżywić własnego narodu.

W ciągu kilku minut wszystko zostało przygotowane.

Li Ok zapytała, czy chciałabym zobaczyć jakieś konkretne miejsce.

– Nie, tak naprawdę to nie wiem – odparłam. – Idźmy, dokąd chcesz. W jakieś miejsce... typowe dla Seulu.

Na zewnątrz Li Ok szła obok mnie, Nark Jong za nami, a Seng Ju na przodzie. Dostałam na swoje wydatki dwadzieścia pięć tysięcy wonów – około dwudziestu dolarów – co wydawało się ogromną sumą.

Rozpoczęliśmy spacer od wąskich alejek dzielnicy Myung Dong. Wkrótce natrafiliśmy na dom towarowy o nazwie Lotte's. Powiedziano mi, że nazwa ta pochodzi od bohaterki powieści niemieckiego pisarza Goethego.

Weszliśmy do środka. Byłam ciekawa, czy towary pochodzą z zagranicy. Wszystko było doskonałej jakości, ale miało zagraniczne nazwy. Zapytałam o to Li Ok.

– Nie, te rzeczy produkuje się w Korei – odpowiedziała. – Większość z nich jest eksportowana do innych krajów, dlatego mają takie nazwy. Zresztą nieważne. Kup sobie coś.

Z pewną obawą podeszłam do stoiska z kosmetykami. Ekspedientka była sympatyczna i pomocna, co wydawało mi się zupełnie obce. Na Północy pracownicy sklepów bywają najczęściej nieuprzejmi i obcesowi, bo i tak niewiele jest do sprzedania. Tu ludzie wydawali się naprawdę przyjaźni.

– W czym mogę pomóc? – zapytała sprzedawczyni.

Wskazałam na krem do twarzy i próbowałam się nie jękać.

– Czy to jest zagraniczny krem?

Podniosła słoiczek.

– Nie, produkuje go firma Lucky, tu, w Seulu. Kosztuje jedyne sześć i pół tysiąca wonów.

Spodziewałam się, że krem kosztuje fortunę, i byłam miło zaskoczona, że mnie na niego stać. Nie byłam w stanie ocenić prawdziwej wartości danych mi pieniędzy, ale wiedziałam, że śledczy nie daliby mi zbyt dużo. Mimo to byłam zbyt wystraszona, by kupić ten krem. Trudno było przywyknąć do atmosfery wolności i swobody.

Li Ok kupiła mi szal. Różnorodność towarów oszalała mnie i bałam się wybrać coś dla siebie. Ruszyliśmy dalej. Ulice pełne były ludzi, ale nikt się nie spieszył. Mijały nas grupy roześmianych mężczyzn i kobiet. Wpadliśmy na jakiegoś mężczyznę wyciągającego ku przechodniom miseczkę i dzwoniącego dzwonkiem. Był ubrany w dziwny uniform. Pomyślałam, że to pewnie żebrak, ale Li Ok wyjaśniła, że człowiek ten zbiera datki na Armie Zbawienia, która pomaga biednym.

– Jest Wigilia Bożego Narodzenia – powiedziała, nakłaniając mnie, bym wrzuciła datek. – To dobry czas, by być hojnym.

Powszechna radość porywała mnie, ale nadal czułam się zupełnie zdezorientowana. Na Północy nie obchodzi się Bożego Narodzenia i większość rodzin nigdy o nim nie słyszała. Dlaczego Południe, które przecież nie jest zachodnim państwem, miałoby świętować Wigilię? Można to było tłumaczyć zależnością od jankeskiego imperializmu,

ale ludzie wydawali się szczerze radośni. Nieśli pod pachą prezenty, a niektórzy nawet podśpiewywali kolędy. Poczulałam nagły smutek, jakbym z jakiegoś powodu była wykluczona.

Zdziwiło mnie też, że sprzedawcy stoją na ulicy i nawołują klientów. Potrzeba było sporo czasu, zanim zrozumiałam, że konkurencja stanowi siłę napędową handlu w Korei Południowej i że tak naprawdę jest podstawą tutejszego dobrobytu.

– Jestem głodna – powiedziałam. – Możemy kupić coś do jedzenia?

– Oczywiście – odparła Li Ok.

Poprowadziła mnie wąską uliczką pełną restauracji. Na wystawach stało jedzenie: apetyczne ciasta ryżowe, tempura, salceson, kaszanki, a nawet chop ciao, koreańska potrawa z makaronu, warzyw i mięsa. Byłam zdumiona tą obfitością i przypomniałam sobie, że w Korei Północnej przez dziesięć lat nie można było kupić salcesonu. Moja mama uważała za szczęście kupienie zepsutego arbuza.

Gdybym tylko mogła sprowadzić tu rodzinę... Tak trudno było myśleć o wszystkich trudnościach, jakie oni przeżywali, gdy tymczasem przede mną leżały takie wspaniałości.

– Na co masz ochotę? – zapytała Li Ok. – Możesz sama wybrać miejsce.

Ponieważ uwielbiałam kaszanke, wskazałam niewielką jadłodajnię, która specjalizowała się właśnie w tej potrawie. Wewnątrz był tłok, a większość gości piła soju,

tradycyjny koreański alkohol ryżowy. Kupiliśmy jedzenie i usiedliśmy. Obok nas grupa przedsiębiorców w średnim wieku narzekała na niedawne wybory.

– Nie możemy po prostu obwiniać rządu – mówił jeden. – Nie można oczekiwać zbyt wiele, kiedy ludzie myślą tylko o sobie.

– Ja uważam, że gdyby partie mniejszościowe stworzyły koalicję, mogłyby wygrać.

Spojrzałam wyczekująco na eskortujących mnie agentów, pewna, że aresztują tych ludzi, którzy tak swobodnie i krytycznie wypowiadali się na temat rządu. Agenci jednak, jeżeli w ogóle słyszeli rozmowę, najwyraźniej wcale o to nie dbali. Jedli ze smakiem i nie interesowali się niczym innym.

Później w drodze powrotnej do Namsanu, kiedy czułam się coraz bardziej zaniepokojona tym otwartym społeczeństwem, zapytałam agentów, jak to możliwe, że ludziom wolno tak swobodnie krytykować władze.

Wszyscy zaczęli się śmiać.

– To demokratyczny kraj – odpowiedziała Li Ok. – Mamy tu wolność słowa. Nie ma prawa, które zabrania krytykowania władz.

– Nie rozumiem – odparłam. Jej wyjaśnienie nie robiło na mnie wrażenia. – Trudno uwierzyć, że w tym kraju w ogóle coś udaje się zrobić. Ale mniejsza o to. Kiedy mijaliśmy plac budowy, zauważyłam tylko kilku robotników. Gdzie się wszyscy podziali? Pracują nocą?

– No cóż... – zaczął niepewnie Nark Jong, który wy-

dawał się zdumiony moim pytaniem. – A jak to się robi na Północy?

– Wszyscy zostają zmobilizowani – wyjaśniłam. – Angażujemy wojsko, studentów i Rady Ludowe i wszyscy kopią, mieszają cement, noszą cegły. Wszystko w doskonałym porządku – mówiłam z dumą. To było wspaniałe uczucie wznosić wspólnie budynek, a mój naród pracował przecież tak ciężko.

– Rozumiem – odparł. – Tu nic takiego się nie dzieje. Większość prac wykonują maszyny.

Dotarło do mnie, że nie jestem w stanie ocenić technologicznego zaawansowania tego kraju. Zupełnie jakbym była na innej planecie. Dlaczego Północ nie zmodernizowała w ten sposób swojego sektora budowlanego?

Miałam tyle pytań. Zastanawiałam się, czy pożyję dość długo, by poznać odpowiedzi.

Kilka dni później pojechaliśmy za miasto. Odwiedziliśmy też pałac Duksoo. Mówiono mi, że południowokoreańska kultura została całkowicie wyparta przez amerykańską, a tymczasem pałac był dobrze zachowanym świadectwem koreańskiej przeszłości. Przed nim stał pomnik króla Sejonga, który stworzył koreański alfabet. Cieszyłam się, że wybraliśmy się na przejażdżkę, ale nie otrząsnęłam się jeszcze z przygnębienia, które dręczyło mnie od czasu złożenia zeznań.

Niemniej z przyjemnością obejrzałam pomnik, bo wcześniej nie miałam pojęcia o tym, jak powstał koreański alfabet.

Ruszyliśmy dalej i wkrótce znaleźliśmy się w niewielkiej wiosce. Wszystko wyglądało tak samo jak na północnokoreańskiej wsi, tyle że zimowy krajobraz nadawał temu miejscu opustoszały wygląd.

– To Wondang – rzuciła Li Ok. – Jest dość popularny w tej okolicy ze względu na niezwykle czyste powietrze.

Zatrzymaliśmy się przed pochyłą ze starości zagrodą. Wokół nie było ogrodzenia, podeszliśmy więc do drzwi wejściowych, rozglądając się za mieszkańcami. Nie znaleźliśmy nikogo, więc weszliśmy do środka. Byłam naprawdę zaskoczona, kiedy okazało się, że w kuchni są dwie lodówki i telefon. Na Północy wsie nie cieszyły się takimi wygodami.

Moi towarzysze rozmawiali między sobą zaabsorbowani domem.

– To bardzo ciekawe – powiedział Seng Ju. – Nawet tutaj mają wszystkie udogodnienia, elektryczność, telewizję. Nie wygląda to na zagrodę, jeśli o mnie chodzi.

– Masz rację – dorzucił Nark Jong. – To miejsce nie ma już dawnego uroku. Powinniśmy tu siedzieć wokół ogniska, piec ziemniaki...

– Tak, ale czy zwróciliście uwagę, że drzwi były otwarte? – włączyła się Li Ok. – Kto w Seulu zostawiłby otwarte drzwi?

Spędziliśmy we wsi jeszcze trochę czasu, a potem wróciliśmy do Seulu. Li Ok zaproponowała, żebyśmy odwiedzili rynek przy Wschodniej Bramie, gdzie mieściło się mnóstwo sklepów i restauracji. Wstąpiliśmy do sklepu

z materiałami i natychmiast otoczyły mnie sprzedawczynie zachwalające towar. Były radosne i kolorowo ubrane i ich zainteresowanie trochę mnie irytowało. Właśnie wtedy jedna z nich powiedziała coś, przez co moje serce stanęło:

– Chwileczkę. Czy ty nie jesteś przypadkiem Kim Hyon Hui?

Zaległa długa cisza. Kiedy wokół zgromadzili się klienci, szepcząc z zaciekawieniem, oblałam się zimnym potem.

– Kto to?

– Kim Hyon Hui. No wiesz, ta, która wysadziła samolot.

Zapanowało ogólne podniecenie i zgromadzeni ludzie zaczęli napierać na mnie, by lepiej widzieć. Towarzyszący mi agenci natychmiast wkroczyli do akcji i wyprowadzili mnie ze sklepu, zanim sytuacja wymknęła się spod kontroli. Kiedy wychodziliśmy, jedna ze sprzedawczyń zawołała:

– Wróć, kiedy zechcesz, Hyon Hui! Dam ci każdą sukienkę za darmo!

Mimo że byłam zdenerwowana, nie chciałam jeszcze wracać do Namsanu i zaproponowałam, żebyśmy przeszli się jeszcze po rynku.

– Wiesz – zagadnęłam po drodze Li Ok – nie widziałam tu nigdzie sklepów sprzedających nylon. Nie macie go tutaj?

W głębi duszy założyłam, że w Korei Południowej nie udało się jeszcze wyprodukować nylonu, który w Korei

Północnej był towarem luksusowym.

– Nie używamy tu już nylonu – odparła, z trudem posuwając się przez zatłoczony rynek. – Jakiś czas temu odkryto, że może być szkodliwy dla zdrowia. Stosujemy teraz włókna na bazie bawełny, które są równie wytrzymałe. Nylon uważa się obecnie za materiał niskiej jakości.

Miałam ochotę się roześmiać.

– To niewiarygodne. Wszystko tutaj wygląda dokładnie odwrotnie niż w Korei Północnej. Tam ludzie nie mogą sobie pozwolić na dbanie o zdrowie. Cieszą się, kiedy w ogóle udaje im się kupić nylon.

Dotarliśmy teraz na rynek Joongbu, gdzie handlowano suszonymi rybami i owocami morza. Leżały tu całe stosy kalmarów, sardeli, wodorostów i innych produktów. W głębi rynku znajdowała się otwarta jadłodajnia z jednym długim stołem i ławkami po obu stronach. Zainteresowana podeszłam bliżej.

– Kto się tu stołuje?

– Głównie robotnicy – odparła Li Ok. – Uliczni sprzedawcy, dokerzy, kierowcy ciężarówek i tym podobni.

– No cóż, jadają lepiej niż moja rodzina – powiedziałam, widząc obfitość sprzedawanego ryżu, makaronu, salcesonu i soojebie, koreańskiej zupy z płatkami ciasta. – Czy możemy tu zjeść?

Li Ok zerknęła na pozostałych agentów, ale oni potrząsnęli głowami.

– Będziemy tu zbyt narażeni – powiedział Nark Jong. – Łatwo by cię tu rozpoznano. Spróbujmy lepiej

w Naengmyun House tuż obok.

Kiedy wracaliśmy przez rynek, Li Ok wyjaśniła, że tutejsze restauracje serwujące nangmyun, zimną zupę z makaronem, są znane w całym Seulu. Ta, do której teraz trafiliśmy, musiała być bardzo popularna – wzdłuż ulicy zaparkowano drogie samochody, a do wejścia ustawiała się kolejka. My również w niej stanęliśmy; wyglądało na to, że sprawnie posuwa się do przodu. Znów uderzyła mnie lekka, swobodna atmosfera Seulu. W porównaniu do tego Północ wydawała się bardzo jałowym miejscem. Niewielu mieszkańców, prawie żadnych samochodów, obcy sobie ludzie nigdy nie rozmawiali na ulicach. W życiu codziennym nie było czegoś takiego jak dobry humor. Seul zaś tętnił życiem i energią.

Po kilku minutach wpuszczono nas do restauracji, gdzie kelnerka wskazała nam miejsce w narożniku. Byłam zachwycona. Na Północy takie miejsca nie istniały. Sala pękała w szwach, wszędzie słychać było ożywione rozmowy, a kelnerki w pośpiechu podawały do stołów. Wszyscy zamówiliśmy nangmyun i rzuciliśmy się do jedzenia.

Przy stole obok siedziała grupa elegancko ubranych mężczyzn. Rozmawiali głośno, więc nie sposób było nie słyszeć, o czym mówią.

– Pamiętasz Lee Woong Pyuna? Dorobił się prawdziwej fortuny na swojej ucieczce.

– No cóż, ten radziecki samolot, którym przyleciał, musiał być trochę wart. Ale i tak rząd wydaje mnóstwo

pieniędzy na tych uciekinierów. [Uciekinierzy z Korei Północnej otrzymują od rządu Korei Południowej wsparcie finansowe.]

– Skoro mowa o Północy, widziałeś zdjęcie Kim Hyon Hui?

– Taa, założę się, że to cholerna nimfomanka. Mówią, że potrafi obsłużyć kilku mężczyzn naraz.

– To dlatego wszyscy tak jej współczują, bo jest ładna. Gdyby była małą wstrętną suką, już dawno zostałaby stracona.

– Myślisz, że jest dziewicą?

– Kto ją tam wie. Ale z takim ciałem nie liczyłbym na to.

Zatrzymałam rękę w pół drogi do ust. Cała się trzęsłam, a makaron zwisający z moich pałeczek drgał komicznie. Agenci próbowali mnie uspokoić.

– Hej, już dobrze, nie powinniśmy byli tu przychodzić – powiedziała Li Ok. – Chodź, wyjdźmy stąd.

Ale byłam zbyt wzburzona, by dać się tak łatwo uspokoić. Powoli odłożyłam pałeczki i wzięłam miskę z zupą. Wstałam, odwróciłam się do rozmawiających mężczyzn i wylałam na nich zupę. Zszokowani podnieśli wzrok. Byłam tak wściekła, że nie potrafiłam nad sobą zapanować.

– Sukinsyny – powiedziałam niskim, lodowatym głosem. – Co wy sobie wyobrażacie, do cholery?

– Mój Boże! – rzucił jeden z nich. – To ona!

– Tak, to ja – warknęłam. – I macie szczęście, że nie spiorę wam dupy tu i teraz!

Gapili się na mnie w milczeniu, zupełnie oszołomieni. Wiele osób zwróciło na nas uwagę i Li Ok zaczęła odciągać mnie w stronę wyjścia. Pozostali agenci zabezpieczali tyły; Seng Ju zostawił pieniądze na stole. Czułam się zażenowana wszechobecnymi szeptami i niezliczonymi wpatrzonymi we mnie oczami, więc ulżyło mi, kiedy znaleźliśmy się na zewnątrz.

Li Ok zatrzymała pierwszą lepszą taksówkę. Seng Ju spoglądał przez tylną szybę, by upewnić się, że nikt nas nie śledzi.

– To może trafić do gazet – zauważył, lustrując drogę za nami.

– Nic mnie to nie obchodzi – odpowiedziałam gniewnie. – Jak mogliście pozwolić, by mówili takie okropne rzeczy?

Li Ok wtrącała się uspokajająco:

– Hyon Hui, to nie jest Północ. Nie możemy aresztować ludzi na miejscu, choćby nie wiem co mówili. Co mieliśmy zrobić? Naprawdę narobiłaś zamieszania.

Taksówkarz wysadził nas przy Wschodniej Bramie, gdzie zostawiliśmy samochód. W drodze powrotnej do Namsanu Li Ok zapytała:

– Jak ci się podobało dzisiejsze wyjście? Poza tym ostatnim incydentem było w porządku, prawda?

– Nigdzie już nie wychodzę – odparłam, wciąż bardzo zdenerwowana i bliska łez.

– Dlaczego? Bo ludzie cię rozpoznają? Boisz się, co o tobie powiedzą?

– Możliwe – powiedziałam, ocierając oczy – ale chodzi o coś więcej. Za każdym razem, kiedy wychodzimy, wspaniale jest oddychać świeżym powietrzem, spacerować po mieście. Ale ten świat – wskazałam za okno – nie ma ze mną nic wspólnego. Ci ludzie mają swoje życie. Po co w ogóle to robić, jeśli i tak niedługo umrę? – Załamalam się i zaczęłam żałośnie szlochać.

– Nie mamy władzy nad twoim losem, Hyon Hui – pocieszała mnie Li Ok. – O tym zdecyduje sąd. Zanim to nastąpi, możemy tylko próbować cię uszczęśliwić na tyle, na ile to możliwe.

– Nie chcę być szczęśliwa – odpowiedziałam. – Chcę, żebyście mnie zabili i niech to się wreszcie skończy.

W kolejnych dniach jednak miało być jeszcze gorzej. Li Ok poinformowała mnie, że 15 stycznia będę musiała publicznie złożyć zeznanie podczas konferencji prasowej.

Byłam zbulwersowana.

– Przecież wszystko wam już powiedziałam. Dlaczego znowu muszę przez to przechodzić? Proszę, po prostu mnie zabijcie!

– Posłuchaj – odburknął Nark Jong – twoje życie i śmierć nie zależą ani ode mnie, ani od ciebie. Czy to jest jasne? Jedyne, co ci zostało, to żałować za swoje czyny. Jeśli żal ci rodzin ofiar, będziesz współpracowała w każdy możliwy sposób. A tymczasem nie chcę więcej słyszeć tego „zabijcie mnie, zabijcie mnie”. To jest żalosne.

Ten wybuch, tak do niego niepodobny, przywołał

mnie do porządku. Nark Jong, podobnie jak Li Ok i Seng Ju, okazywał mi wyłącznie dobroć, tym bardziej więc te gniewne słowa zrobiły na mnie duże wrażenie.

– Tak jest, przepraszam – powiedziałam cicho. – Zrobię, co w mojej mocy.

15 stycznia 1988.

Przez kilka dni śledczy przygotowywali publiczne wystąpienie, mające ujawnić wyniki przeprowadzonego dochodzenia. Konferencja miała się odbyć w sali wykładowej Urzędu Bezpieczeństwa i mieli być na niej obecni dziennikarze z całego świata.

Nadszedł zimny, deszczowy poranek. Po drodze bardzo się denerwowałam. Gdy stanęliśmy przed budynkiem urzędu, samochód otoczyli dziennikarze. Poza trzema agentami przydzielono mi jeszcze dwóch dodatkowych ochroniarzy. Na miejscu było wielu policjantów.

Drzwi samochodu otwały się na oścież i poprowadzono mnie wśród tłumów. Potraćano mnie i niemal przewrócono. Wydawało się, że każdy woła mnie po imieniu, bez przerwy robiono zdjęcia. Ochroniarze torowali mi drogę do budynku i wreszcie udało nam się dostać do środka. Li Ok i jeszcze jedna agentka chwyciły mnie pod ramiona, a Nark Jong szedł zaraz za nami.

Kiedy weszliśmy do sali, oślepiły mnie flesze. Przez chwilę byłam zdezorientowana, eskorta poprowadziła mnie więc na miejsce.

Nie jestem w stanie przywołać szczegółów konferen-

cji. Pytania padały jedno po drugim; odpowiadałam najlepiej, jak umiałam. Niczego nie ukrywałam, mimo że bez przerwy dręczyła mnie myśl, że teraz, kiedy zeznawałam publicznie, mojej rodzinie nic już nie pomoże.

Kiedy konferencja się skończyła, byłam zupełnie odrętwiała i cieszyłam się, że wracam do spokojnego Namsanu.

Kilka dni później śledczy próbowali nieco mnie ożywić, organizując wycieczkę do parku rozrywki w South Seoul Park. Ku swojemu zaskoczeniu, bawiłam się wspaniale. South Seoul to wesołe miasteczko z najróżniejszymi atrakcjami. Podskakując i spadając co chwila, śmiałam się i aż piszczałam z uciechy. Przygnębienie gdzieś przepadło i przez kilka godzin żyłam wyłącznie chwilą. Wiedziałam, że zachowuję się dziecinnie, ale był to jeden z niewielu momentów w moim życiu, kiedy naprawdę świetnie się bawiłam.

Śledczy ucieszyli się, że poprawił mi się nastrój. Od czasu konferencji stali się jeszcze uprzejmiejsi i pomocni. Do mojego pokoju wstawiono telewizor. Różnorodność i dokładność przekazywanych wiadomości zadziwiała mnie. Słuchałam uważnie, bo zazwyczaj dotyczyły również mnie. Zdarzało się, że prezenter donosił o czymś całkowicie nieprawdziwym albo ponad wszelką miarę wyolbrzymiał nic nieznaczący szczegół. Wściekła, skarżyłam się wtedy Li Ok.

– Musisz nauczyć się to lekceważyć, Hyon Hui – uspokajała mnie. – Nie możesz panować nad wszystkim,

co się o tobie mówi. Zresztą w Korei Północnej pewnie o wiele bardziej nagłaśnia się sprawy, prawda?

– Może i tak – odcięłam się – ale przynajmniej nie atakuje się tam ludzi oszczerstwami.

– Nie, ależ skąd – wtrącił się Nark Jong. – Po prostu aresztują cię i załatwione.

– Albo zostajesz zastrzelony – dorzucił Seng Ju.

Za każdym razem, kiedy padały podobne słowa, odruchowo stawałam po stronie Korei Północnej. Mimo że Seul podbił moje serce, nie byłam w stanie tak szybko przełamać kształtowanych przez lata nawyków i ich złośliwe uwagi bardzo mnie denerwowały.

– Tylko spójrz na Kim Ir Sena – rzucił pewnego dnia Seng Ju. – Ten gnojek ma ze sto lat, a ciągle nie chce kopnąć w kalendarz.

– No cóż, mówi się, że źli zawsze żyją dłużej – odparł Nark Jong.

– To nie jego wina – warknęłam. – To jego podwładni wprowadzają go w błąd albo nie wykonują porządnie jego poleceń.

Słyszając to, wybuchnęli histerycznym śmiechem, co doprowadziło mnie do szału, ale i tak najgorsze były te chwile, gdy agenci potępiali obywateli Korei Północnej jako całość. Bardzo mnie to smuciło. Chciałam ich przekonać, że Koreańczycy są ludźmi z krwi i kości. Wydawało mi się okropne, że po obu stronach panuje kompletna niewiedza i że ludzie o tym samym dziedzictwie kulturowym są tak podzieleni. Łączyły nas język, zwyczaje,

wspólna historia, a mimo to skakaliśmy sobie do gardeł.

Wszelkie przywiązanie, jakim wciąż darzyłam Koreę Północną, znikło jednak, gdy pewnego dnia obejrzałam wiadomości. W ostatnich dniach krążyły opowieści o tym, że jako dziecko wręczałam kwiaty południowokoreańskiej delegacji. Pokazywano nawet zdjęcia z tego zdarzenia. Doskonale je pamiętałam. Ale tymczasem Korea Północna wypuściła właśnie taśmę wideo z nagraniem kobiety nazwiskiem Chung Hui Sun, która twierdziła, że to ona jest tą dziewczynką, która na fotografiach wręcza kwiaty Koreańczykom z Południa. Szyderczo zapewniała, że Południe szerzy jedynie propagandę, twierdząc inaczej.

Ale nie to było najgorsze. Korea Południowa oświadczyła zgodnie z prawdą, że wyrosłam na kogoś, kto wysadził samolot. Hui Sun pokrętnie stwierdziła, że Koreańczycy z Południa próbują zrobić ją w tę zbrodnię. Innymi słowy, skoro to ona jest dziewczynką z fotografii, a dziewczynka i terrorystka to jedna i ta sama osoba, to jak ona miałaby niby wysadzić samolot, skoro jest zwykłą nauczycielką z Pjongjangu. Słuchając tego dobrze wystudiowanego wystąpienia, przeciętny Koreańczyk z Północy wnioskuje, że ani ona, ani jego kraj nie mają absolutnie nic wspólnego z wybuchem i że Korea Południowa próbuje zrobić w to Północ. A ponieważ ani razu nie wspomniano mojego imienia, byłam niczym więcej niż fikcyjną postacią stworzoną przez Koreę Południową na potrzeby chwili.

Oglądałam telewizję zupełnie zszokowana. Mój kraj,

dla którego zabiłam sto piętnaście osób i o mało sama nie straciłam życia, odwrócił się ode mnie. Najpierw mnie wykorzystali, a teraz opuścili. Poczułam ogromną pustkę. Byłam zbyt zdruzgotana, by czuć gniew, więc tylko potrzasałam głową przed ekranem.

– Co o tym sądzisz? – zapytałam chyba właściwie samą siebie.

– Co sądzę o czym? – zdziwiła się Li Ok.

– O tej kobiecie.

– O niej? To standardowa taktyka Korei Północnej.

– Uważasz, że wygląda jak ja?

– Jest podobna do dziewczynki ze zdjęcia, mimo że nie przypomina cię obecnie. Pamiętaj jednak, że wyselekcjonowano ją właśnie ze względu na to podobieństwo. To czysta propaganda.

– A to gnojki – odparłam niemal szeptem, wpatrując się w telewizor. – Czy powinniśmy nadać sprostowanie?

– Ależ skąd. Oni tylko na to czekają. Próbują odwrócić uwagę od zamachu, skupiając się na czymś niematerialnym. Zostali przyparci do muru i teraz szukają drogi wyjścia. Najlepszym sposobem jest to ignorować. Zobaczysz.

Nie potrafię opisać, jak bardzo czułam się zdradzona. Wydawało się, że dwadzieścia sześć lat przeżyłam na darmo. I rzeczywiście w Korei Północnej już nie istniałam. Stałam się nieczłowiekiem. Moja rodzina także miała się stać n i e l u d ź m i.

Nigdy nie mogłabym zapomnieć moich krewnych ani porzucić nadziei, że ich życie zostanie oszczędzone. W tym samym czasie jednak nie mogłam nadal uważać się za obywatelkę Korei Północnej – nie jeśli odrodzenie, którego doświadczyłam po zażyciu trucizny, miało się dopełnić. Musiałam zapomnieć dzieciństwo, lata spędzone w szkole i na uniwersytecie, tak naprawdę wszystko, co wydarzyło się do momentu, gdy straciłam przytomność na lotnisku w Bahrajnie. I choć towarzyszył temu potworny żal, poczułam przypływ podniecenia, kiedy wypowiadałam słowa: Kim Hyon Hui, Koreanka z Południa.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Sądziłam, że po tym, jak przyznałam się do winy, wszystko stanie się prostsze i niebawem zostanę stracona. Pewnego dnia jednak, jakiś tydzień później, Nark Jong oświadczył mi, że wkrótce stanę przed sądem, gdzie zdecyduje się mój dalszy los.

– Proces? Przecież powiedziałam wam wszystko! Jestem winna! Nad czym tu jeszcze dyskutować?

– Obawiam się, że to nieuniknione – odparł. – Powinnaś być wdzięczna, że jeszcze nie zostałam zastrzelona, jak by to miało miejsce na Północy. W Korei Południowej każdy, kto jest oskarżony o popełnienie zbrodni, ma prawo do sprawiedliwego procesu, który określi jego winę lub niewinność i pozwoli wymierzyć odpowiednią karę. Nazywamy to sprawiedliwością.

– No cóż, ja nazywam to absurdem. Skoro do wszystkiego się przyznałam, wydaje się to zupełną stratą czasu.

Nie wyglądało na to, żeby moja sytuacja miała się w najbliższym czasie zmienić, nastawiłam się więc na długi pobyt w Namsanie. Tego samego dnia czytałam jeden z raportów Nark Jonga, który zostawił w moim pokoju. W większości opisywał w nim moje zachowanie od momentu przybycia do Namsanu oraz szczegóły dochodzenia. Kiedy jednak dotarłam do części zatytułowanej *Opinia*, poczułam, jak występuje na mnie zimny pot.

Ponieważ dostarczono wystarczających dowodów winy Hyon Hui, by potwierdzić każdy z zarzutów, uważam, że zaproponowana kara jest całkowicie uzasadniona.

„Ty gnoju – pomyślałam. – Ty kłamliwy, brudny gnoju”.

Poczułam się teraz podwójnie zdradzona i gorzko zapłakałam. Po co Nark Jong był dla mnie taki miły, skoro teraz zalecał, bym została stracona? Czyżby sympatia, którą okazywał mi od tyłu tygodni, była jedynie farsą?

Długo płakałam. Czułam się całkowicie opuszczona. Rozpaczałam, bo bez względu na to, jak mili wydawali się agenci, pewne fakty pozostawały niezaprzeczalne: byłam morderczynią, a morderców poddaje się egzekucji. Uprzejmości nic nie znaczą. Każde wyjście na zakupy czy zwiedzanie Seulu było jedynie zwodniczą migawką z życia, którego nigdy nie będę miała. Ale najbardziej bolało, że się myliłam, sądząc, że Nark Jong jest po mojej stronie. Sądziłam, że ze wszystkich ludzi na świecie on jeden rozumie mój ból i wspiera mnie. Najwyraźniej byłam w błędzie.

Jak się okazało, proces rozpoczął się dopiero po roku, 7 marca 1989. Poprzedzające go miesiące upływały bardzo powoli. Po przeczytaniu rekomendacji Nark Jonga przestałam rozmawiać ze wszystkimi agentami i tygodniami nie wychodziłam z pokoju. Zmiana w moim zachowaniu

wzbudziła niepokój, wezwano więc lekarza, by mnie zbadał. Nie stwierdził niczego poza uporczywą depresją, która była naturalna, biorąc pod uwagę okoliczności. Spędzałam czas, oglądając telewizję i czytając gazety. Czytałam też zachodnie książki, które przynosili agenci. Była to jednak pozbawiona radości egzystencja. W Seulu narodziłam się na nowo, ale wciąż byłam sierotą.

Proces – gdy wreszcie się zaczął – postępował bardzo szybko. Nie trzeba było sędziego, ponieważ przyznawałam się do winy we wszystkich stawianych mi zarzutach. Musiałam raz jeszcze powtórzyć wszystko, co wcześniej zeznałam, ale to była już tylko formalność. Ogłoszenie wyroku zaplanowano na 27 marca i jak już wspomniałam, zasądzono dla mnie karę śmierci. Ponieważ nie wyznaczono jeszcze daty egzekucji, musiałam wrócić do Nam-sanu i czekać. Teraz, kiedy śmierć stała się pewna, nie byłam w stanie wyrzucić jej z myśli. Całymi dniami wpatrywałam się w biały sufit. Pragnąć śmierci to jedno – co innego wiedzieć, że ona naprawdę niebawem nastąpi. Moje nowe życie w Seulu miało się okazać bardzo krótkie. Nie poświęcałam szczególnej uwagi artykułom mówiącym o możliwym akcie łaski ze strony rządu. Krewni ofiar protestowali przeciwko ewentualnemu ułaskawieniu. Kto by ich za to winił? Nikt nie mógł przywrócić życia ich bliskim, a jedyną formą odpłaty, jakkolwiek niesatysfakcjonującej, była moja śmierć. Tylko takie *katharsis* mogło pozwolić im na dalsze życie w poczuciu względnego spokoju.

Każdy dzień wydawał się bez znaczenia. Powiedziano mi, że wyrok zostanie wykonany w ciągu sześciu miesięcy, co przynajmniej dało mi pojęcie o czasie, jaki mi jeszcze pozostał. Pograżyłam się w głębokiej depresji. Powtarzałam sobie, że przecież miałam umrzeć w Bahrajnie i że moje nowe życie było jedynie dziełem przypadku. A jednak każdy człowiek za sprawą zwykłego instynktu ze wszystkich sił trzyma się życia. Tak podpowiada nam nasze ciało i nic na to nie poradzimy. Bałam się.

Każdy z nas widział w życiu zgryzotę innych i chociaż im wówczas współczujemy, to jednak w głębi duszy cieszymy się, że to nie my cierpimy, lecz oni. Ludzie odnoszą rany, zarażają się chorobami i czasami umierają – to oni muszą płacić tę cenę; to zawsze ktoś inny. Ale tym razem to byłam ja. Tym razem inni mieli się bezpiecznie przyglądać, jak ja umieram.

Co dziwne, Nark Jong wspomniął pewnego dnia, iż ma nadzieję, że zostanę ułaskawiona. Zastanawiałam się, czy zalecał stracenie mnie wyłącznie z prawnego punktu widzenia i od początku wiedział, że ułaskawienie jest możliwe. Może wyrok był jedynie formalnością. Może to była rola prezydenta, a nie sędziego, by okazać litość. A może Nark Jong po prostu zmienił zdanie. Niemniej wielką ulgą było poczuć, że mówi ze mną szczerze.

Tego samego dnia Li Ok rozmawiała z mojego pokoju ze swoją matką. Plotkowały sobie bez troski i strasznie jej zazdrościłam. Gdybym tylko była obywatelką Korei Południowej, mogłabym w tej chwili zadzwonić do mojej

mamy, może z własnego domu, z mężem i dziećmi. Jedyne, czego chciałam, było tym, czego zawsze mi odmawiano: zwyczajnym życiem.

Przypomniało mi się, jak matka mówiła, że płakała każdej nocy, odkąd powołano mnie do Partii. Opowiadała, że patrzy na moje zdjęcie i płacze tak długo, aż zaśnie. To było surowo zabronione. W dniu, w którym zostałam agentką specjalną, powinna była zniszczyć wszystkie moje fotografie. Ale nie mogła tego zrobić. Siostra mi wspominała, że matka potajemnie marzy, że pewnego dnia wyjdę za mąż. Gdyby tylko знаła prawdę. Zastanawiałam się, czy zdołałaby w nią uwierzyć.

W tym okresie w moim zachowaniu zaszła jedna wielka zmiana: zaczęłam się modlić do Boga. Chrześcijaństwo było popularne w Korei Południowej, pozbierałam więc strzępki wiadomości z książek, telewizji i rozmów innych osób. Modliłam się do Boga, bym mogła odpokutować grzechy. Modliłam się, by pozwolił mi żyć, abym mogła służyć innym. Gdyby nie wsparcie płynące z modlitwy, myślę, że zupełnie straciłabym nadzieję.

Zbliżała się wiosna, ale podczas gdy miasto spodziewało się końca długiej zimy, ja tkwiłam wciąż w swoim wilgotnym, zimnym lochu. Czekałam.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

W Seulu nastał kwiecień i każdy zaułek oddychał wiosną. Wzgórza wokół Namsanu pokryły się czerwonym, różowym i żółtym kwieciem azalii i forsycji. Wspaniale kwitnące wiśnie zdawały się przeczyć temu, że zima w ogóle kiedykolwiek istniała. Seul budził się do życia.

Pogłoski o ułaskawieniu przybrały na sile i moje przygnębienie przeszło w stan płaczliwego oczekiwania. Mimo mojej powściągliwości agenci nadal na ochotnika zabierali mnie od czasu do czasu poza obóz. Z nadejściem wiosny nie sposób było odmawiać.

Wygrzewałam się więc na słońcu i podziwiałam piękno otaczającej przyrody. Korea Południowa, podobnie jak Północna, jest przepięknym krajem. Są tu doliny o bujnej roślinności, wysokie góry, żyzne równiny. Marzyłam, że kiedyś będę mogła sama doświadczyć ich uroku.

Po powrocie do Namsanu zrzuciłam buty i włączyłam wieczorne wiadomości.

– Kolejny stracony dzień – powiedziałam do Li Ok, która miała przed sobą jeszcze dwie godziny pracy. Ale ona nic nie odpowiedziała. Gapiła się na wiadomości.

– Dziś rząd zagwarantował ułaskawienie Kim Hyon Hui, skazanej ostatnio za wysadzenie samolotu Korean Air lot 858. Prezydent stwierdził, że Kim Hyon Hui nie jest faktyczną winowajczynią, a jedynie niewinną ofiarą spo-

łeczeństwa, które wciąż łamie prawa człowieka i znajduje się pod rządami terroru. Zdaniem prezydenta to Kim Ir Sen powinien...

Ale ja już nic nie słyszałam. W tym momencie Li Ok podskoczyła wysoko i krzyknęła:

– **UŁASKAWILI CIĘ!!!**

Podbiegła, by mnie uściskać i poklepać po plecach. Wkrótce ta wieść rozeszła się po całym Namsanie i wszyscy przychodzili mi gratulować. Wszyscy wydawali się szczerze zadowoleni, nawet Nark Jong.

Byłam zbyt oszołomiona, by mówić, i wśród ogólnego radosnego gwaru rozmów na temat decyzji prezydenta wymknęłam się, położyłam na łóżku i płakałam. Nie potrafię opisać targających mną wtedy emocji – wdzięczności wobec władz, żalu nad moją rodziną, nadziei na przyszłość. Wyglądało na to, że moja samotność jest równie wielka jak moja radość. Szybko się pomodliłam:

„Dzięki ci, Boże, że dodałeś nowy rozdział do życia tej grzesznicy. Proszę, zanieś tę wiadomość moim rodzicom i im także okaz litość”.

Podszedł do mnie uśmiechnięty Nark Jong. Wydawał się zaskoczony moim płaczem, ale sądzę, że wyczuwał mój złożony stan emocjonalny i nie chciał się zanadto wtrącać.

– Co za szczęśliwy dzień, Hyon Hui. Już czas, żebyś zaplanowała swoje nowe życie tu, w Seulu. Wpadnę jutro i porozmawiamy o tym.

Przytaknęłam. Nie widziałam go wyraźnie przez łzy.

– Bardzo ci dziękuję. Myślałam, że zwróciłeś się

przeciwko mnie.

Wyglądał na zmieszanego i odpowiedział dopiero po chwili:

– To był trudny czas dla nas wszystkich, Hyon Hui. Coś takiego dawno już nam się nie zdarzyło. Przyznaję, że musiałem walczyć z własnym sumieniem i emocjami. Ale to nigdy nie była czarno-biała sytuacja, wiesz o tym. A decyzja prezydenta jest pewnie po części oparta na względach politycznych, nie tylko moralnych. Jesteś doskonałym przykładem tragedii, którą jest Korea Północna, ale to do nikogo nie dociera. Mimo wszystko uważam, że twoja egzekucja nie miałaby sensu. Nie zwróci to życia ofiarom ani nie ukarze prawdziwych winowajców, którymi są Kim Ir Sen i Kim Dzong Il. W północnokoreańskim społeczeństwie nigdy nie miałaś szansy, Hyon Hui, i uważam, że byłoby to straszne marnotrawstwo ludzkiego życia, gdybyś miała zostać po prostu zabita. To by niczego nie rozwiązało, a wiem, że szczerze żałujesz tego, co zrobiłaś. Poza tym nie sądzę, że stanowisz jakiekolwiek zagrożenie dla społeczeństwa. – Uśmiechnął się. – Mimo całego twojego przeszkolenia, myślę, że nie masz cech zbrodniarza. Sądzę, że każdy z nas zrobiłby to samo na twoim miejscu.

– Tak, ja też tak uważam – dodała Li Ok, która przyłączyła się do rozmowy i teraz trzymała mnie za rękę. – Wiesz, myślę, że cudzoziemcy nie rozumieją tej decyzji. Wydaje mi się, że trzeba przeżyć ból podziału Korei, żeby naprawdę ją docenić. Ludzie za granicą nie są w stanie wyobrazić sobie, co to znaczy, kiedy twój kraj zostaje podzielony i jedną z części rządzi okrutny tyran. Wielu z nas ma krewnych w Korei Północnej, których nigdy nie widzieliśmy. Ale nie wiadomo, co się wydarzy. Może ta twoja okropna misja jednak pomoże nam się zjednoczyć. Teraz jednak liczy się tylko ułaskawienie, Hyon Hui. Jesteś wolna.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Niczym jasny poranek, który przychodzi po długiej ciemnej nocy, tak i w moim życiu nastął dzień. Znajdowałam się w nowym pokoju, który miał okna, i poranne słońce było olśniewające. Otworzyłam okno, żeby wpuścić świeże wiosenne powietrze. Na zewnątrz rozciągała się głęboka dolina, która po drugiej stronie wznosiła się ku górze. Tego ranka kwiaty na zboczach wydawały się jeszcze barwniejsze.

W oddali dostrzegłam grupę alpinistów, słyszałam ich głosy niosące się w dolinie. Poczulałam impuls, by do nich zawołać, ale nie chciałam przeszkadzać Li Ok, która spała tuż obok.

Ktoś wsunął pod drzwiami poranną gazetę. Spojrzałam na okładkę: *kim hyon hui ułaskawiona*, głosił nagłówek. Te słowa bardzo mnie ucieszyły, bo ostatecznie potwierdzały, że ta wiadomość jest prawdą. Bałam się przeczytać cały artykuł.

Tego dnia poszliśmy do miasta, do Grand Parku, gdzie tłoczyły się grupy studentów i turystów. Cieszyłam się, że mogę się wtopić w tłum. Już nie czułam się obca. Byłam u siebie. To było wspaniałe uczucie.

Grupa dziewcząt bawiła się w Koniec Chusteczki. Przez chwilę obserwowałam je z zazdrością, a potem powiedziałam do Li Ok:

– Wiesz, ja też się w to dawniej bawiłam.

I to było dużo przyjemniejsze niż zabawy, których nauczyliśmy się po tym, jak Kim Ir Sen zakazał Chus-teczki, a w których śpiewaliśmy takie rzeczy jak „Naprzód, naprzód, maszerujemy, by zmiażdżyć Amerykanów”.

Pojechałyśmy do muzeum. Jak łatwo się domyślić, to było coś zupełnie innego niż muzea, które znałam z Korei Północnej. Po pierwsze połowa eksponatów nawiązywała do nagiego ciała, które na Północy stanowiło tabu. Przywoływały na myśl film, który jako agenci specjalni oglądaliśmy w obozie szkoleniowym – *To społeczeństwo bezkompromisowej walki!* Był to dokument mający przedstawiać perwersyjną dekadencję zachodniej kultury, który pokazywał artystów pokrywających swe nagie ciała farbą i turlających się po płótnach. Podczas takich scen musieliśmy mówić: „To naprawdę jest zwierzęcy świat”.

Eksponaty w muzeum okazały się jednak różnorodne i bardziej wytworne. Li Ok i pozostali szybko się zmęczeni i czekali, siedząc na ławkach, podczas gdy ja wędrowałam po muzeum jeszcze przez kolejne trzy godziny. Miałam ochotę skakać z radości.

Stopniowo rozpoczęłam nowe życie. Mimo że teoretycznie byłam „wolna”, musiałam przez jakiś czas pozostać w Namsanie. Wywiad otrzymał pocztą pantoflową wiadomość, że północnokoreańscy agenci w Seulu dostali rozkaz zamordowania mnie i że moje życie może się znaleźć w niebezpieczeństwie, jeśli nie będę miała odpowiedniej ochrony. Nie miałam nic przeciwko temu – dostałam nowy pokój, telewizor i ciągłe towarzystwo Nark

Jonga, Seng Ju i Li Ok. Zaczęłam również czytać o teologii wraz z wielebny Hanem, którego widywałam niekiedy w czasie procesu i który nauczył mnie kilku wersetów z Biblii.

– Otrzymałaś nową umowę na życie – powiedział pewnego dnia, kiedy spacerowaliśmy na wzgórzu w pobliżu Namsanu z agentami znajdującymi się o kilka kroków w tyle. – Może złożysz wyznanie wiary w moim zgromadzeniu? Byłabyś u nas mile widziana.

– O nie, wielebny – odparłam zawstydzona. – Nie zasługuję na to. Może i zostałam ułaskawiona, ale oboje wiemy, że jestem grzesznicą.

– Wszyscy jesteśmy grzeszni, Hyon Hui. A poza tym uważam, że jesteś żywym dowodem bożej łaski, jeśli mam być szczerą...

– Ale jak miałabym złożyć to... wyznanie?

– Po prostu powiesz na zgromadzeniu, że wracasz do wiary dzięki łasce Pana. Opowiedz im o swoim nawróceniu na chrześcijaństwo i o wierze w boże miłosierdzie. To naprawdę bardzo proste.

Rozmyślałam o tym podczas spaceru. Religia, jak już wspominałam, była w Korei Północnej traktowana z pogardą i wyszydzana. Wiedziałam jednak, że ustępy z Biblii, które wskazał mi wielebny Han, miały dla mnie głęboki sens. Wiedziałam, że chrześcijaństwo jest aktem wiary, a nie nauką, a Pismo Święte naprawdę przemawiało do mojego serca, mimo że pochodziłam ze Wschodu. Zaczęłam dostrzegać świadectwa dzieł bożych wszędzie

wokół mnie i swobodnie myślałam o sobie jako o chrześcijance.

Jednocześnie jednak często nie czułam się godna bożej miłości i w każdych okolicznościach przerażały mnie wystąpienia publiczne. Ale wielebny Han był dla mnie dobry. Nigdy mnie nie oceniał i zawsze dodawał mi otuchy. Z pewną obawą zgodziłam się więc na wyznanie.

Wielebny Han był zachwycony. Ustaliliśmy datę na 16 maja. Kiedy nadszedł ten dzień, Li Ok kupiła mi modny dwuczęściowy kostium, ale wahałam, się, czy go włożyć, bo miał dość krótką spódnicę. Wiele razy w życiu nazywano mnie piękną, ale nigdy w to nie wierzyłam. Brakowało mi też pewności siebie w kwestii mojej seksualności, bo przez większość życia surowo ją tłumiono. Cała sfera fizycznej atrakcyjności pozostawała dla mnie zupełnie tajemnicza.

Li Ok jednak nalegała i w końcu włożyłam kostium. Chwilę później wszedł Nark Jong i wydawał się oszołomiony moim wyglądem.

– Przyprawiasz tego młodzieńca o zawroty głowy – zażartował. Odpowiedziałam uśmiechem. Nark Jong miał pięćdziesiąt lat, był przystojny i nieżonaty, choć niewiele więcej o nim wiedziałam. Jego słowa sprawiły, że poczułam się zarazem dumna i onieśmielona i w końcu nic nie odpowiedziałam.

W drodze do kościoła ruch na ulicach był tak wielki, że ledwie zdążyliśmy na czas. Wielebny Han kazał mi poczekać w przedpokoju, a sam zapowiedział mnie,

a potem ze słowami otuchy wprowadził na mównicę.

Powitały mnie życzliwe brawa, co było wielkim zaskoczeniem. Obecnych było wielu dziennikarzy, ale jakimś cudem nie czułam się skrepowana. Stałam przy pulpicie z wyschniętym gardłem i odkaszlnęłam kilka razy. Wreszcie odzyskałam głos i rozpoczęłam:

– Witajcie. – Wsłuchiwałam się w swój głos wypełniający kościół i nagle poczułam, że jestem kimś wyjątkowym. – Pan pokazał mi swoje wielkie dzieła i cuda – powiedziałam, a potem wyrecytowałam przygotowaną mowę. Kiedy skończyłam, rozległ się cały chór głosów mówiących „amen”, a wielu parafian płakało. Czułam się oszołomiona przebaczeniem, którego dostąpiłam, i byłam wdzięczna za to, że u początku nowego życia dane mi było znaleźć tę świątynię Boga.

Prawdopodobnie najbardziej szokujące, ale i radosne wydarzenie miało miejsce kilka dni później. Wieczorem do mojego pokoju wpadł Nark Jong. Podziwiałam właśnie karmazynowe niebo i cieszyłam się wieczornym wietrzykiem. Gasnące światło dnia okrywało ciepłą łuną kwitnące wzgórze, a ja czułam się szczęśliwa, że żyję i mogę to oglądać.

– Spójrz tylko – powiedział, wciskając mi do ręki zdjęcie. – Poznajesz kogoś?

Zerknęłam na czarno-białą fotografię i oniemiałam.

– Mój Boże! Skąd to masz?

– A więc poznajesz? – dopytywał.

– Ależ oczywiście – odparłam. Było to zdjęcie mojej

mamy ze szkoły średniej, takie samo, jakie mi przed laty pokazywała. Natychmiast ją rozpoznałam i to było tak, jakbyśmy znów były razem. Do oczu napłynęły mi łzy. Tak bardzo za nią tęskniłam!

– Skąd to masz? – zapytałam raz jeszcze.

– Ach. – Uśmiechnął się. – To ciekawa historia. Wygląda na to, panno Kim, że masz w Seulu krewnych.

21 lipca 1989.

Spotkanie zorganizowano w sali Zarządu Pięciu Prowincji Północnych. Miało być wielu dziennikarzy, ale nie dbałam o to. Znaleźli człowieka nazwiskiem Im Kwan Ho, który rzekomo był kuzynem mojego dziadka ze strony mamy.

Gdy dotarliśmy na miejsce, serce mocno mi biło. W przestronnej sali konferencyjnej minęłam tłum reporterów, ledwie ich zauważając i lekceważąc ich pytania. Wzrok miałam utkwiony w dal.

I wtedy go zobaczyłam. Przez chwilę myślałam, że to brat mojego dziadka, wuj Kwan Shik. Zauważył mnie i pomachał, ale okazało się, że jeszcze nie wolno nam ze sobą rozmawiać. Na miejscu byli policjanci, którzy chcieli potwierdzić, że naprawdę jest moim krewnym. Zadano nam kilka biograficznych pytań, ale ja nie potrzebowałam więcej dowodów. Wyglądał zupełnie jak Kwan Shik.

Kiedy dopełniono formalności, podbiegłam doń i uściskałam serdecznie.

– Dlaczego mnie szukałeś, wujku? – mamrotałam

przez łzy. – Nie trzeba było, naprawdę. Po co się narażałeś na złą sławę?

On też płakał, ale słysząc moje słowa, roześmiał się.

– Jak mógłbym postąpić inaczej? – powiedział.

Zaprowadzono nas do innego pokoju, gdzie nie wpuszczono już dziennikarzy. Kwan Ho przedstawił mnie swojej siostrze i dzieciom, które tam na nas czekały. Potem usiedliśmy razem. Kwan Ho zaczął swoją historię:

– Twój dziadek, Hyon Hui, był wybitnym kaligrafem i jednym z najbogatszych ludzi w Kaesongu. Jego dom składał się z siedemdziesięciu pokoi. Jak wiesz, Kaesong po wojnie zostało wchłonięte przez Koreę Północną i oczywiście fortunę twego dziadka rozkradziono. Niektórym z nas udało się jednak uciec na Południe.

Niemniej twoja matka, która tak na marginesie była doskonałą tancerką, uczęszczała do chrześcijańskiej szkoły zwanej Houston Girls' High School. Zdjęcie, które widziałas, należy do pani Kim Bong Suk, jej szkolnej koleżanki.

Byłam tym wszystkim bardzo zaskoczona. Nic dziwnego jednak, że mama utrzymywała to w sekrecie przede mną. Wszystko, co właśnie wymienił, było przedmiotem nienawiści północnokoreańskich władz: chrześcijaństwo, bogactwo i ucieczka na Południe. Poruszyła mnie wiadomość, że mama była chrześcijanką. Kiedy byłam bardzo mała, zachorowałam na polio, z którego jakimś cudem ozdrowiałam. Mama przez wiele dni mówiła wtedy: „To Bóg ją ocalił” i „Bóg był dla nas dobry”. Wiedziałam, że

naprawdę w to wierzyła.

Przez wiele godzin rozmawialiśmy o naszej przeszłości. Byli zachwyceni, słysząc o moich rodzicach i rodzeństwie, a ja cieszyłam się niezmiernie, że mam krewnych w przybranym kraju. Na wszystkim jednak kładł się także cień: fakt, że reszta naszej rodziny żyje nadal na Północy, pod władzą tyranii.

Tego dnia postanowiłam, że moja nowo odzyskana wolność musi posłużyć najwyższemu celowi. Przy każdej okazji będę mówić prawdę o Kim Ir Senie i Kim Dzong Ilu. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by przyspieszyć zjednoczenie Korei, tym razem jednak z właściwej strony. Będę dawać wykłady i udzielać wywiadów na temat Korei Północnej i rządzących nią ludzi. Odwiedziłam wiele krajów: Rosję, Węgry, Austrię, Włochy, Chiny i inne. I nigdzie nie widziałam, żeby ludziom wiodło się gorzej niż w Korei Północnej.

Kim Ir Sen i jego rodzina po prostu ograbili naród północnokoreański z jego kultury i prawa do życia w wolności i szczęściu. Podzielili naród i nieodwracalnie skrzywdzili ludzi. To tragedia na naprawdę ogromną skalę.

I tak w Seulu, gdzie przyszło mi się odrodzić, siedziałam teraz z krewnymi. Były łzy żalu i łzy radości. Bo choć wreszcie się spotkaliśmy, wciąż niektórych z nas brakowało. Nie wolno nam było spocząć, dopóki rozłam między Północą a Południem nie zostanie ostatecznie zażegnany. Mogliśmy tylko pracować i mieć nadzieję, że nadejdzie dzień, gdy nasze rodziny i wszyscy Koreańczycy

znów się zjednoczą.

EPILOG

Drogi Ojczy, Droga Matko!

Tu Hyon Hui. Tak, żyję i mam się dobrze, choć trudno w to uwierzyć.

Prawdopodobnie rozpoznacie mnie już po piśmie. Wyobrażam sobie, jacy będziecie zaskoczeni, jeśli kiedykolwiek przeczytacie ten list.

Od naszego ostatniego spotkania minęły trzy lata. Każdego dnia na myśl o Was chce mi się płakać.

Często po tym, jak spotykam Was we śnie, budzę się z płaczem, zrozpaczona, że nie jestem z Wami naprawdę.

Matko, Ojczy, wiem, że nie byłam dobrą najstarszą córką. Popełniłam tyle błędów. Tuż po naszym rozstaniu powierzono mi tajną misję najwyższej wagi państwowej. Z jej powodu nie mogłam Was odwiedzać. Nie wolno mi było nawet wyjść poza podwórze nasze go obozu.

Otóż po tym, jak zostałam zwerbowana do Partii, przez lata szkoło no mnie na agentkę specjalną biura wywiadu. Wyznaczano mi misje na całym świecie. Po powrocie z Kantonu otrzymałam rozkaz wysadzenia południowokoreańskiego samolotu. Celem tego zadania było zapobieżenie organizacji igrzysk olimpijskich w Seulu w 1988 roku oraz doprowadzenie do zjednoczenia naszego kraju. Jak wiecie, żaden z tych celów nie został osiągnięty.

Zamiast tego misja, którą przedstawiono mi jako niezmiernie ważną dla naszej ojczyzny, sprowadziła na

mnie straszny wstyd i wielki żal. Bo jedna rzecz naprawdę się udała: samolot wybuchł i sto piętnaście osób poniosło śmierć.

Kilka dni później zostałam ujęta przez południowokoreańskich agentów i przekazana do Seulu. Tu przyznałam się do winy, zostałam osądzona i skazana na śmierć.

Cudownym zrzędzeniem losu, jak się właśnie dowiedziałam, zostałam ułaskawiona. Jestem teraz, jak to się mówi, „wolnym człowiekiem”.

Jak mam Wam to wszystko wyjaśnić? Jak wytłumaczyć, że wszystko, czego się nauczyłam w Korei Północnej, okazało się kłamstwem? Korea Południowa to piękny kraj, który może konkurować pod względem ekonomicznym z Ameryką, Japonią czy Europą. Choćbym nie wiem jak się starała, nie jestem w stanie opisać ogromu postępu, który się tutaj dokonał. Zwykle gospodarstwo domowe posiada kolorowy telewizor, odtwarzacz wideo, telefon, lodówkę, często nawet samochód.

Trudno tu znaleźć rodzinę, dla której problemem byłoby trzy posiłki dziennie, jak to ma miejsce na Północy.

Ludzie mają tu tyle wolności, że na początku trudno mi było zrozumieć, jak to możliwe, że kraj, w którym dopuszcza się tyle różnych opinii i idei, może w ogóle funkcjonować. A jednak to działa.

Słyszałam, jak rosyjscy turyści mówili, że Korea to prawdziwy raj na ziemi. Każdy tutaj szczerze pragnie zjednoczenia naszych narodów. Ja sama byłam tak oddana tej idei, że dałam się wplątać w makabryczną i chorą

sprawę i teraz do końca swoich dni będę żyła z krwią stu piętnastu ofiar na rękach.

Ludzie tu są dla mnie bardzo wyrozumiali. Mówią: „To nie tylko twoja wina. To Kim Ir Sen i Kim Dzong Il, którzy wydali ci rozkaz popełnienia tej zbrodni, muszą ponieść odpowiedzialność”. Niestety, nie mogę już nic zrobić, by zwrócić tych, którzy zginęli, ich rodzinom, ale dzięki życzliwości ludzi tutaj łatwiej mi było zrozumieć, że ostatecznie nie jestem jednak potworem bez serca.

Czytałam ostatnio o człowieku nazwiskiem Kim Man Chul, który wraz z rodziną uciekł z Korei Północnej łodzią i przekroczył trzydziesty ósmy równoleżnik. Zazdroszczę mu i żałuję, że i Wy nie możecie tu być.

Mam dla Ciebie niespodziankę, Mamo. Poznałam Twoich krewnych.

Niedawno spotkałam się z Twoim wujem Im Kwan Ho, a także z Hwang In Suk, Hwang Mun Suk, Hwang Young Suk i Kim Bong Suk. Powitali mnie jak bliską krewną i teraz często się widzimy. Dzięki temu łatwiej mi znosić samotność. Wiem, że oni też bardzo chcieliby Was zobaczyć.

Teraz, kiedy Niemcy się zjednoczyły, naprawdę wierzę, że i nasz czas niebawem nadejdzie. A kiedy to nastąpi, wreszcie Was zobaczę i znów będziemy rodziną. Za ciemnymi chmurami lśni bowiem gwiazda, a ukryte pod zmarzniętą ziemią czeka na wiosnę nowe życie. Nie wolno nam tracić nadziei.

Są tysiące rzeczy, które chciałabym Wam powiedzieć,

ale na tę chwilę wystarczy. Tak bardzo mi Was brakuje.

Tęskniąca za Wami w Seulu
Wasza najstarsza córka
Kim Hyon Hui
Maj 1991